

PRZE KRO

Aleksander Kwaśniewski

WITAMINY
-GROŻNE
DLA ZDROWIA
ZDROWIE
W TABLETKACH
s. 58.

Nr 17 / 3070 •
• 25 kwietnia 2004 •
• cena 4,50 zł •
/w tym 7% VAT/



Ryszard
Krauze

Namawiamy
oligarchę,
żeby zaczął
szantażować
rząd

s. 44.

PREZYDENT

coraz bardziej

MALOWANY

s. 28.



ISSN 0033-2488

9 770033 248045

NO-SPA®

ból brzucha pokonany



dla całej rodziny



także dla mężczyzn



natychmiastowa pomoc



zawsze pod ręką



No-Spa skutecznie usuwa większość bólów brzucha. Działa inaczej niż środki przeciwbólowe, które tylko tłumią ból.

No-Spa dociera do źródła bólu, usuwa jego przyczynę i ból ustępuje.

No-Spa jest bezpiecznym lekiem, który od wielu lat pomaga kobietom i mężczyznom cierpiącym na bóle brzucha.

Skład: chlorowoderek drotaweryny, tabletki 40 mg. **Wskazania:** stany skurczowe dróg żółciowych, stany skurczowe dróg moczowych, bolesne miesiączkowanie, stany skurczowe mięśni gładkich przewodu pokarmowego, zespół drażliwego jelita grubego, zaparcia na tle spastycznym i wzdęcia jelit. **Dawkowanie:** dorośli 1-2 tabletki 3 x dziennie.

sanofi-synthelabo

Sanofi-Synthelabo Sp. z o.o. ul. Domaniewska 41, 02-672 Warszawa

Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

na Czwartek **RACZKOWSKI**



Wymyślił i narysował MAREK RACZKOWSKI

w tym tygodniu **NIE PISZEMY:**

...o **przeforsowanym** jednym głosem raporcie speckomisji sejmowej na temat Zbigniewa Siemiątkowskiego, szefa agencji wywiadu, który dwa lata temu jako p.o. szefa UOP dezinformował sejmową komisję ds. służb specjalnych w sprawie zatrzymania prezesa PKN Orlen Andrzeja Modrzejewskiego. Bo skoro uważali tak tylko ci członkowie speckomisji, którzy dostrzegają różnicę między określeniami „czterech oficerów” i „15 oficerów”, to nie warto też wspominać, że pozostali członkowie speckomisji należą do SLD, SdPI i UP.

...o **naszym wciąż** premierze Leszku Millerze, który pytany, jak odebrał ustalenia speckomisji w kwestii dezinformujących wyjaśnień Zbigniewa Siemiątkowskiego, odpowiedział krótko, że jest to „opinia części członków komisji, a pozostali

uważają, że nie dezinformował”. Bo zabrakło nam argumentów.

...o **Wiesławie Kaczmarmku**, byłym ministrze skarbu, któremu ciągle się coś przypomina na temat tego, co kiedyś robił w rządzie. Bo chcielibyśmy o nim wreszcie zapomnieć.

...o **rzucaniu kłód** pod nogi Marka Belki, czyli zapowiedzi prezesa PSL Janusza Wojciechowskiego, że klub ludowców będzie jednolicie głosował przeciw udzieleniu wotum zaufania dla rządu Marka Belki. Bo nawet my nie potrafimy być tak destrukcyjni. Choć się staramy.

...o **tym, że** wicepremier i szef MSWiA Józef Oleksy gotów jest zostać marszałkiem Sejmu, ale tylko jeśli będzie miał pewność, że wygra głosowanie:

„Do zwykłego hazardu w głosowaniu matematycznym nie będę stawał”. Bo to miało być wyjaśnienie.

...o **zapowiedziach** Andrzeja Leppera, że jeśli Samoobrona dojdzie do władzy, to bezrobotni będą otrzymywali 900 złotych minimum socjalnego. Bo nie sprecyzował, jak często, ale znając gest przewodniczącego – pewnie co tydzień.

...o **sukcesie** Macieja Płażyńskiego, który na pomorską listę kandydatów do Parlamentu Europejskiego swojego Narodowego Komitetu Wyborczego Wyborców pozyskał Wałęsę. Bo to Jarosław Wałęsa, syn Lecha. Ma 28 lat. Wrócił w zeszłym roku do Polski po ośmiu latach spędzonych w USA. I taki to sukces.

CYTAT tygodnia

Jeżeli Jan Rokita nie ma domu pod Warszawą, to nie mógł wziąć łapówki w tej postaci.

ANDRZEJ BARCIKOWSKI, szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, o anonimowym donosie, jakoby Jan Rokita dostał dom za działania na rzecz pewnej firmy



Fot. MARIUSZ GRZELAK/PRZEGLĄD FORUM

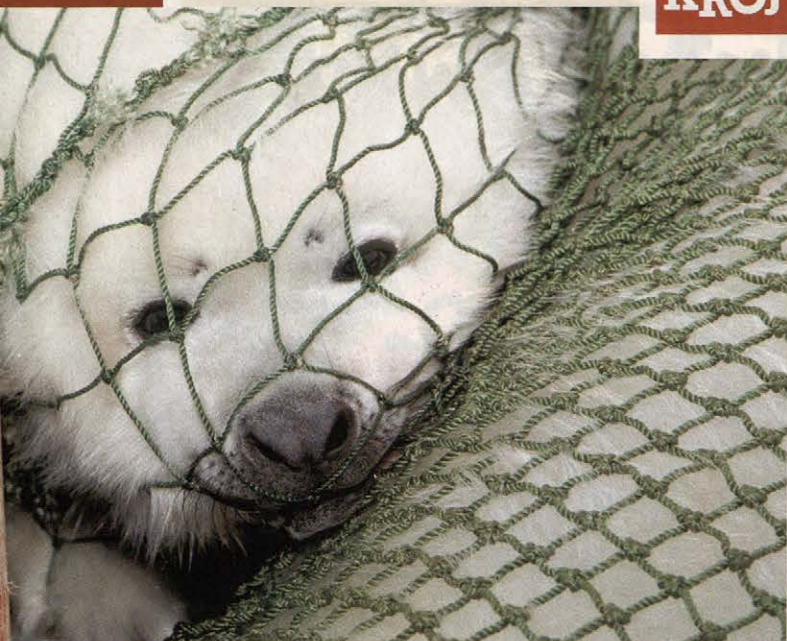
Jak zwykły
biurokrata został
szpiegiem

68

UWAGA!
NASTĘPNY NUMER
„PRZEKROJU”
W SPRZEDAŻY JUŻ
W ŚRODĘ 28 KWIETNIA



Fot. BETTMAN/CORBIS/FREE



Fot. ITAR-TASS/FORUM

12

Małe foki
są żywcem
obdzierane
ze swej
drogocennej
skóry

- 6 POWIĘKSZENIA**
Prawie złota Gołota;
Rzeź niewiniątek
- 18 PRZEKRÓJ TYGODNIA**
– wiadomości krajowe
i zagraniczne
- 24 PYTAMY**
Jana Wągę o jego prezesurę
w radzie nadzorczej Orlenu

- 25 ODESZLI**
- 26 KOMENTARZ**
- 27 RACZEJ RACZKOWSKI**

NAJSZTUB PYTA

- 28 Z WIZYTĄ W MUZEUM
SZACUNKU DLA REGUŁ**
Ale ja walczę, proszę pana!
– twierdzi prezydent
Aleksander Kwaśniewski
w rozmowie z Piotrem
Najsztubem

DOKUMENTY

- 34 ZABÓJCZA REKLAMA**
Reklama naprawdę może
zabić. Zwłaszcza w Rosji
- 36 CAŁUN STAWIA PYTANIA**
Nowe badania całunu
turyńskiego przynoszą więcej
zagadek niż odpowiedzi
- 38 ŚMIESZNY SZCZYT**
Europejskie Forum
Gospodarcze będzie
kosztować krocie i sparaliżuje
Warszawę. Czy ten szczyt
jest nam potrzebny?

OPINIA

- 42 ZBAWCY ŚWIATA
W TARAPATACH**
Co przeszkadza Bushowi
odnieść sukces w Iraku

LUDZIE!!!

- 44 PRZYCHODZI REDAKTOR
DO OLIGARCHY**
Ryszard Krauze trzęsie
polskim biznesem i polityką,
ale w rozmowie z Piotrem
Najsztubem upiera się,
że żaden z niego magnat
ani oligarcha
- 50 NIESFORMATOWANY**
Piotr Metz: ostatni wielki
człowiek starego radia
poszedł do telewizji
- 54 ŚWIECĄ LUB SPADAJĄ**



Fot. JOHN MACNEILL

NAUKA

- 56 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ**
- 58 TABLETKI NA ROZGRZESZENIE**
Czy to bardzo zdrowo brać
witaminy? Nie bardzo
- 62 GRA W BOGA**
Jak będzie wyglądał świat
za 10 lat? Spytaj komputera

64 INSPEKTOR GADŻET

SPORT

- 66 KILLERKA**
Marta Domachowska
– kolejna nadzieja polskiego
tenisa

PATRZĄC I CZYTAJĄC

- 68 SZPIEG Z PRYZWOITOŚCI**
Prawdziwa historia
najważniejszego szpiega
aliantów!

76 LISTY

77 TYDZIEŃ – KULTURALNIE POLECAMY

- 78 KSIĄŻKI** – Instrukcja obsługi
Krystyny Miłobędzkiej

80 FILM – „Kill Bill vol. 2”

82 MUZYKA – Fisz i Emade

84 TEATR – Jarzyna o zbrodni

85 WYSTAWY – Fizia wideoartystka

86 TELEWIZJA – Reality show po nowemu

ROZMAITOŚCI

88 KULINARNE PIÓRO POLSKI; WINNY BIEŃCZYK; krzyżówka, jolka

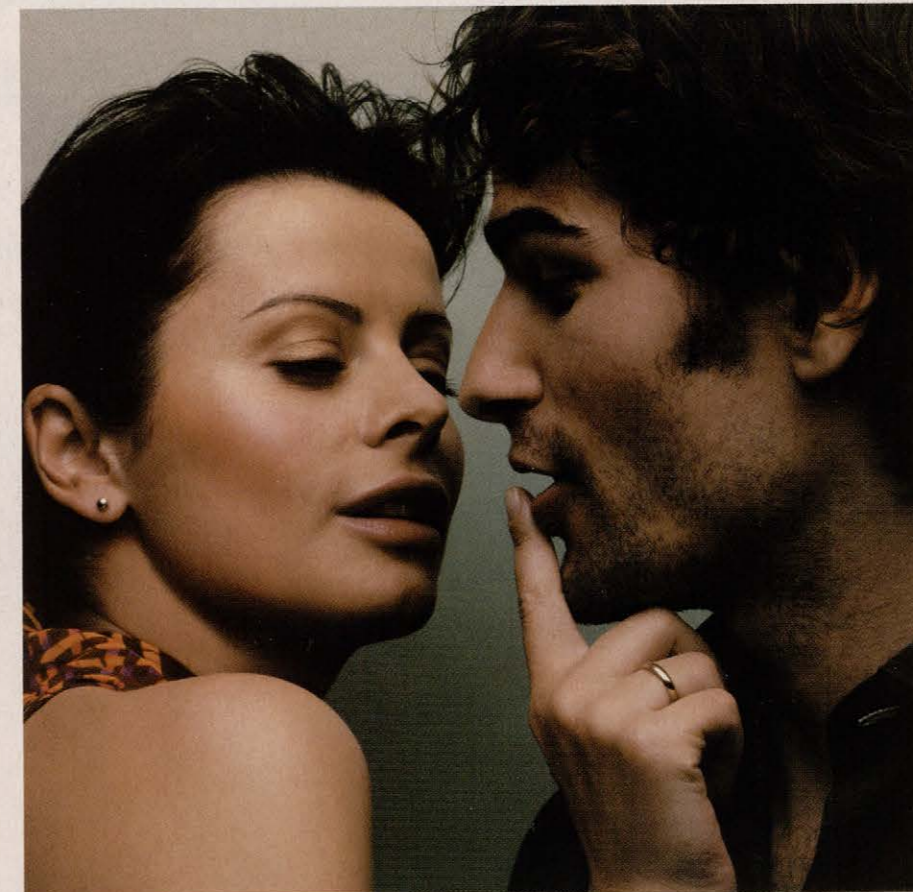
90 ZALEWAJKA KAZIMERZA KUTZA

62

Matrix istnieje!

Inspektor
Gadżet

64



nowe taryfy
MEGA

Pogadamy, jak zadzwonisz

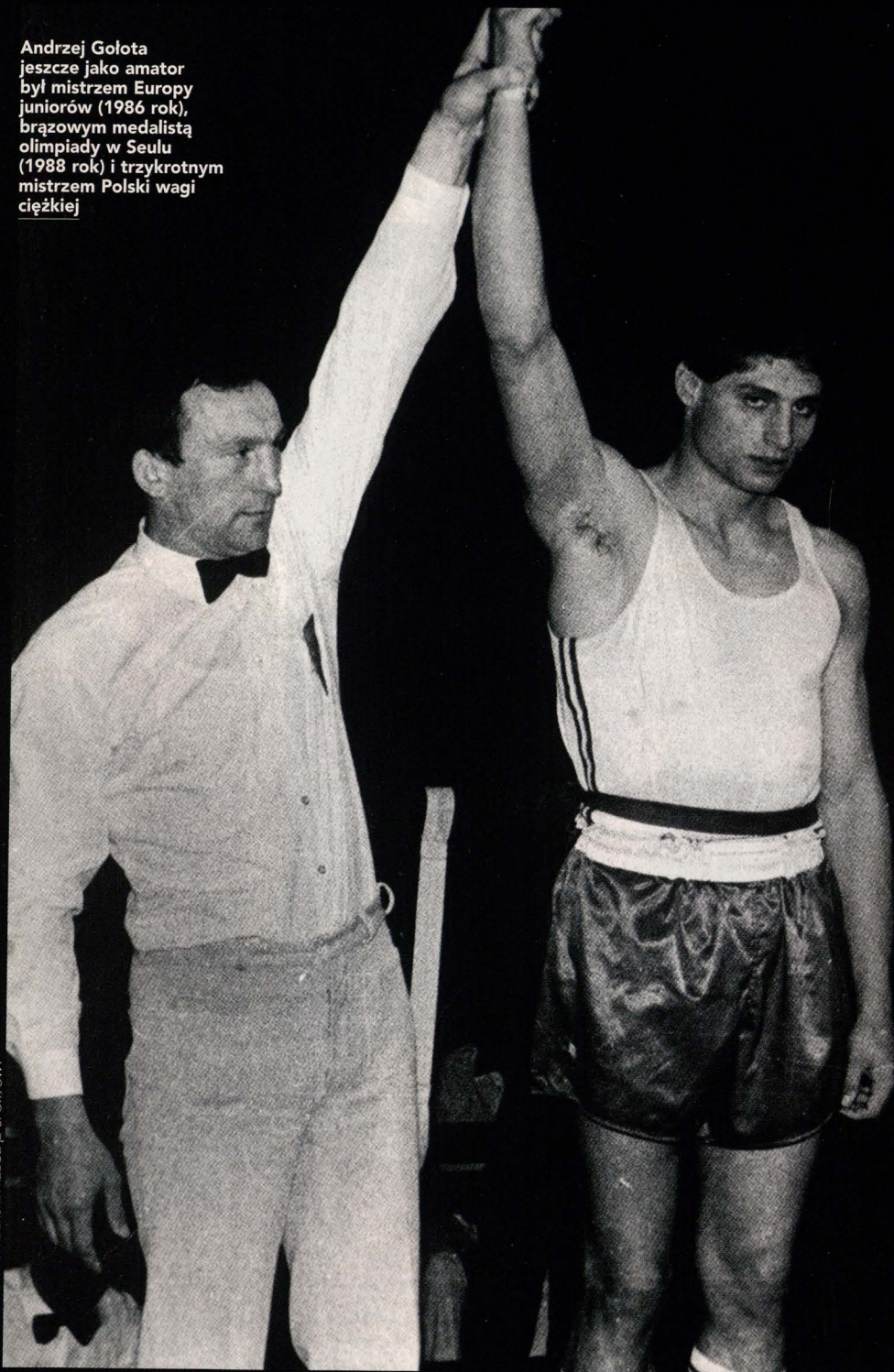
Nowe taryfy MEGA w Idei to megadługie rozmowy i miniceny. Możesz wybrać taryfę **MEGA 150** (co miesiąc aż 150 minut za 50 zł / 61 zł z VAT) lub taryfę **MEGA 350** (co miesiąc aż 350 minut za 100 zł / 122 zł z VAT). Po wykorzystaniu pakietu cena minuty już od 30 gr (37 gr z VAT).

A usługa 1-sekundowe naliczanie pozwoli Ci wykorzystać każdą chwilę.

Informacja Handlowa: 0 801 234 567; Koszt połączenia: 1 jednostka taryfikacyjna wg cennika TP SA; www.idea.pl

Łączy Cię z ludźmi

Andrzej Gołota
jeszcze jako amator
był mistrzem Europy
juniorów (1986 rok),
brązowym medalistą
olimpiady w Seulu
(1988 rok) i trzykrotnym
mistrzem Polski wagi
ciężkiej



Andrzej Gołota nie został mistrzem świata organizacji IBF. W Nowym Jorku zaledwie zremisował z Chrisem Byrdem. Najważniejsze jednak, że w glorii wraca na bokserskie ringi. I znowu ma szansę na trzy mistrzowskie pasy

PRAWIE ŻŁOTA GOŁOTA

MICHAŁ WÓJCIK



O remisie Gołoty z Chrisem Byrdem zdecydował jeden punkt sędzi w ostatnim starciu. Dwaj pozostali sędziowie uznali, że zdecydowanie lepszy był Gołota

Okazja do odkupienia” – tak promotor Gołota Don King reklamował pojedynek z Chrisem Byrdem – dla Polaka spotkanie ostatniej szansy. I rzeczywiście odkupienie win (blamaż w walce z Tysonem) i grzechów (reputacja faulującego Polaka) nastąpiło. Gołota stoczył dobry pojedynek, nie dał się sprowokować i cały czas trzymał nerwy na wodzy. Nerwy – i to nie jemu – puściły dopiero po walce. Najbliższy przyjaciel Polaka Ziggy Rogalski krzychał na sędziów i organizatorów: – Banda oszustów! Oszukali nas! Niech Gołota idzie na ryby!

Gdy w końcu ktoś uświadomił mu, że Don King już obiecał zorganizowanie kolejnej walki, wrzasnął: – Pier... taki rewanż!

Tuż po ostatnim gongu wyczerpany Gołota podniósł ramiona w górę i ob-

szedł cały ring jak gladiator po udanej walce. Niestety, w tym samym momencie sędzia Melvina Lathan popełniła największy błąd w swojej karierze. Przy nieznanym prowadzeniu Polaka w całej walce – w ostatnim starciu według dwóch pozostałych sędziów zdecydowanie wygranym przez Polaka – przyznała zwycięstwo Byrdowi. Ten jeden jedyny punkt wyrównał szalę na remis.

PO TRZY PASY?

Polak zamiast wygrać, musiał podzielić się wygraną z Byrdem. Ale mistrzowskiego pasa organizacji IBF nie otrzymał. Tym samym po raz kolejny nie postawił kropki nad „i”. Nadal jest tylko pretendentem i dalej musi szukać swojej szansy. W dalszym ciągu nie wiadomo, czy kiedykolwiek sięgnie po mistrzowski pas

i czy nie spali się nerwowo, czekając na kolejną szansę walki z najlepszymi. A to może być frustrujące. Tym bardziej że w opinii fachowców remis ewidentnie był ukartowany.

– Gołota to zaledwie trybik w wielkiej finansowej maszynie Dona Kinga – mówi bez ogródek Jerzy Kulej. Przyznaje, że o remisie mógł zdecydować wielki promotor, bo pojedynek rewanżowy może przyciągnąć miliony przed telewizory. I dopiero ta walka będzie gigantycznym sukcesem komercyjnym. I o ile Don King już zapowiada zorganizowanie takiej walki w czerwcu lub lipcu, o tyle z obozu Gołoty dają się słyszeć głosy o możliwości innej walki – bez pośrednictwa Kinga, w innej organizacji.

– To byłoby największe nieszczęście naszego boksera – przekonuje Jerzy Kulej.

AWODOWA KARIERA GOŁOTY TO POT, ŁZY I PARĘ MINUT PORYWAJĄCEGO BOKSU. NAJWAŻNIEJSZE WALKI W SWOJEJ KARIERZE POLAK PRZEGRZAŁ, A DO WALKI Z TYSONEM W OGÓLE NIE WYSZEDŁ

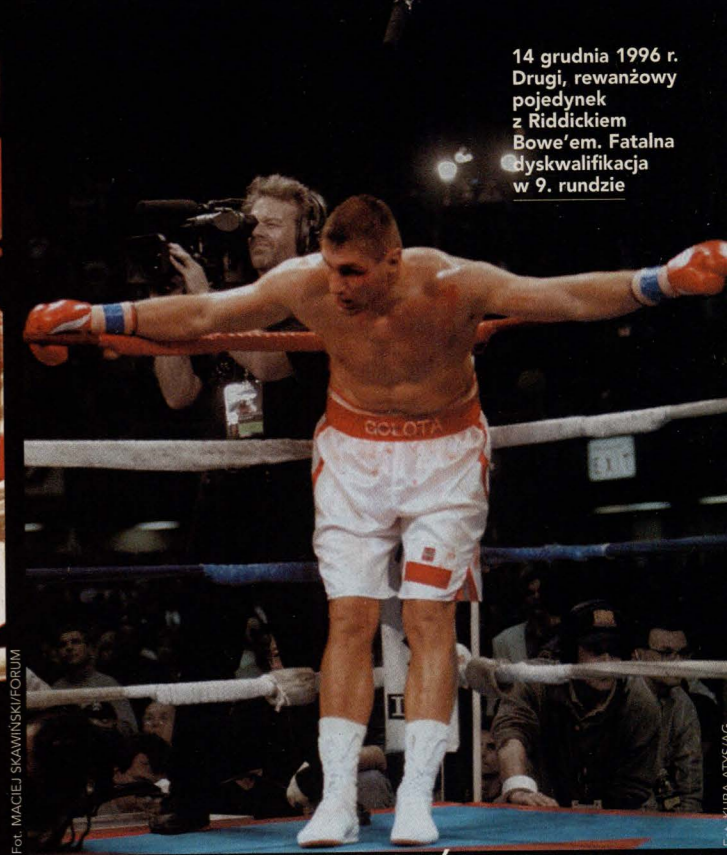
20 października 2000 r. Pojedynek z Mikiem Tysonem uznany za nieodbyty. Gołota, pobity przez ujaranego trawą Tysona, nie wychodzi na ring po drugim starciu



2 października 1998 r. Zwycięski pojedynek z Timem Witterspoonem we Wrocławiu



14 grudnia 1996 r. Drugi, rewanżowy pojedynek z Riddickiem Bowe'em. Fatalna dyskwalifikacja w 9. rundzie



4 października 1997 r. Koszmarne porażka z Lennoxem Lewisem. Gołota na deskach już w pierwszej rundzie pojedynku





Obserwatorzy pojedynku Gołoty z Byrdem byli jednogłośni: Byrd był szybszy, ale powinien wygrać Gołota. Zadał więcej ciosów i był lepiej przygotowany

Fot. KEITH BEDFORD/EPAPAPFORUM

ledzy namówili jednak 90-kilogramowego 25-latkę, by odwiedził słynną Windy City Gym i Boba Donella. To właśnie jemu Polak zawdzięcza start na zawodowym ringu. Pierwsze 10 zwycięskich pojedynków nie zainteresowało nikogo.

Dopiero w 1995 roku, gdy stanął naprzeciw Samsona Pouha, opinia publiczna była poruszona. Ratując się przed nokautem, Gołota gryzie wążącego 131 kilogramów Amerykanina w szyję, potem pięciokrotnie posyła na deski i w końcu wygrywa. Kolejny pojedynek z Danellem Nicholsonem rozstrzyga głową. Wali „z grzywki” tak skutecznie, że Murzyn nie ma siły walczyć i pada w dziewiątej rundzie. Sędzia znowu niczego nie widzi.

Gdy w 1996 roku Gołota spotyka się z Rid-dickiem „Big Daddy” Bowe’em, poprzedza go już sława fightera, który lubi nieczyste zagrania. Nikt nie przypuszcza, że pojedynek z „Foul Pole”, czyli Faulującym Polakiem, skończy się jego dyskwalifikacją, zamieszka-mi na trybunach i serią dowcipów o „jajcarskim” poczuciu humoru Gołoty.

DO 45 RAZY SZTUKA

Po tym pojedynku „nadzieja białych” może już przebiegać w propozycjach. Rezygnuje z roli w filmie „Dzień Szakala”. Pod koniec roku ponownie boksuje z Bowe’em, po raz kolejny traci panowanie nad sobą i tym razem trzykrotnie atakuje jego krocze. Znowu dyskwalifikacja, ale w październiku 1997 dostaje szansę w walce z Lennoksem Lewisem. Następuje słynny blamaż. Gołota jest na deskach już w pierwszej minucie walki.

Potem kilka wygranych pojedynków i znowu pojedynek o wszystko: z Michaeliem Grantem, dwumetrowym kolosem, już ogłoszonym przyszłym mistrzem świata trzech kategorii WBC, WBA i IBF. W pierwszej rundzie Murzyn z bliska oglądał buty Gołoty. Niestety – w ostatniej to on jest górą. Znowu klęska i „Polish Quitter” (nowa ksywka: Polski Pod-dający się) dostaje szansę walki z Tysonem.

Odurzony marihuaną Mike zmiata Polaka z ringu. Niesławny pojedynek, mimo że uznany przez Komisję Bokserską stanu Michigan za „nieodbyty”, to gwóźdź do trumny boksera niespełnionych nadziei.

Potem o polskim bokserze było głośno tylko w kontekście sądowych spraw za pobicie. W październiku 2002 roku Gołota nokautuje opieszałego pasażera taksówki w Sopocie i pogrąża się w domowych awanturach. Gdy wydaje się, że to jego koniec, z niebytu wyciąga go największy promotor wszech czasów Don King. Jeżeli zorganizuje kolejną walkę Polaka, Gołota znowu zacznie zarabiać miliony dolarów. A jeżeli wygra rewanżową walkę z Byrdem, to po raz pierwszy w swojej karierze zostanie mistrzem świata.

MICHAŁ WÓJCİK

– Gołota potrzebuje opieki Kinga. Tylko on może wprowadzić niezbędną stabilizację w jego karierze, tylko on może być regulatorem Gołoty. Sytuacja w boksie jest taka, że jeżeli Gołota pokona Byrda w rewanżu, może walczyć o trzy pasy wagi superciężkiej naraz. Pamiętajmy, że nie ma już Tysona, nie ma Lennoksa Lewisa i nie ma Holyfielda. Jest Gołota i Kliczko, a w ich pojedynku stawiam każde pieniądze na Polaka. Sytuacja jest wymarzona: Gołota jest w świetnej formie, a przeciwnicy w zasięgu jego możliwości.

Widocznie sędzia również czekał na większe przewinienie. I takie rzeczywiście w końcu nastąpiło. Polak uderzył Amerykanina poniżej pasa, ale ten, widocznie skupiony na walce, sam nie zauważył ciosu, rwąc się do dalszego bok-sowania. Jednak protestował, gdy Polak co chwila przydeptywał mu stopę. A nie powinien narzekać – wiadomo, że właśnie tym skutkuje walka praworęcznego z leworęcznym.

Generalnie jednak walka była czysta i elegancka. Nie wiadomo tylko, na co liczył Byrd, kilkakrotnie pokazując Polakowi w czasie walki język. Z kolei taniec korpusem na boki i wysuwanie głowy do przodu przypłacił silnym ostrzałem uszu. – Ani razu nie byłem w niebezpieczeństwie – mówił po walce. – Na pewno nie przegrałem. Owszem, spuchło mi trochę oko, ale tylko trochę.

Ulubioną migawką amerykańskich stacji w relacjach z walki było potem pokazywanie maltretowania wielkiej śliwy, jaką nabił mu pod okiem Gołota. Żeby bokser jako tako wyglądał na konferencji prasowej, trener próbował usunąć opuchliznę. Specjalną metalową blaszką tak ugniatał ranę, aż ta otworzyła się i na twarz boksera chlusnęła struga krwi.

RING ZAMIAST TIRA

Ewentualny rewanż byłby 45. walką Gołoty na zawodowym ringu. Jeżeli rzeczywiście odbędzie się latem, ten rok będzie już 14. sezonem Gołoty w jego „amerykańskim śnie”.

Pięściarz wyjechał z Polski na trzy dni przed końcem 1990 roku. Osiedł w Chicago i początkowo miał być kierowcą tira. Ko-

UGNIATANIE ŚLIWY

Do tego, że Gołota rzeczywiście jest w doskonałej formie, nikogo w sobotę w hali Madison Square Garden nie trzeba było przekonywać. Holyfield, który po ostatecznym werdykcie znacząco kręcił głową, osobiście pogratulował Polakowi sukcesu. Tyson uchylił się od odpowiedzi, ale przyznał, że Polak powinien być dumny i zadowolony. Tak samo Lennox Lewis.

15 tysięcy kibiców, w tym zdecydowana większość Polaków, zgotowało polskiemu bokserowi po walce owację. Kibice dziękowały za „zwycięski” remis i nieprawdopodobną kondycję psychiczną polskiego fightera.

Byrd robił bowiem wiele, aby wytrącić Gołotę z równowagi. W czasie walki opuszczał ręce i dyndał nimi beztrzesko, pochylał głowę do przodu i kilka razy boleśnie nacierał własnym kolanem w kolano Polaka. Gdy w trzeciej rundzie Gołota grzmotnął go solidnie w ucho, Amerykanin opuścił rękawice i zaśmiał się szyderczo. Gdy dziewięć minut później dwa potężne ciosy Polaka spadły na tył jego głowy, Murzyn z miną brzdąca, któremu koledzy ukradli resortówkę, uparcie pokazywał sędziemu, że był



Czy masz już kartę Visa? Czy wiesz, że płacenie kartą Visa jest wygodne i bezpieczne? Visa jest sponsorem ruchu olimpijskiego, więc na wiosnę przygotowaliśmy szereg olimpijskich promocji. Możesz wygrać jeden z kilkunastu wyjazdów na Igrzyska Olimpijskie ATENY 2004 oraz tysiące innych nagród. O szczegóły promocji pytaj w Twoim banku.

www.PromocjaVisa.pl



ŚWIAT JEST TWÓJ

RZEŹ NIEWINIĄTEK

JAKUB MIELNIK

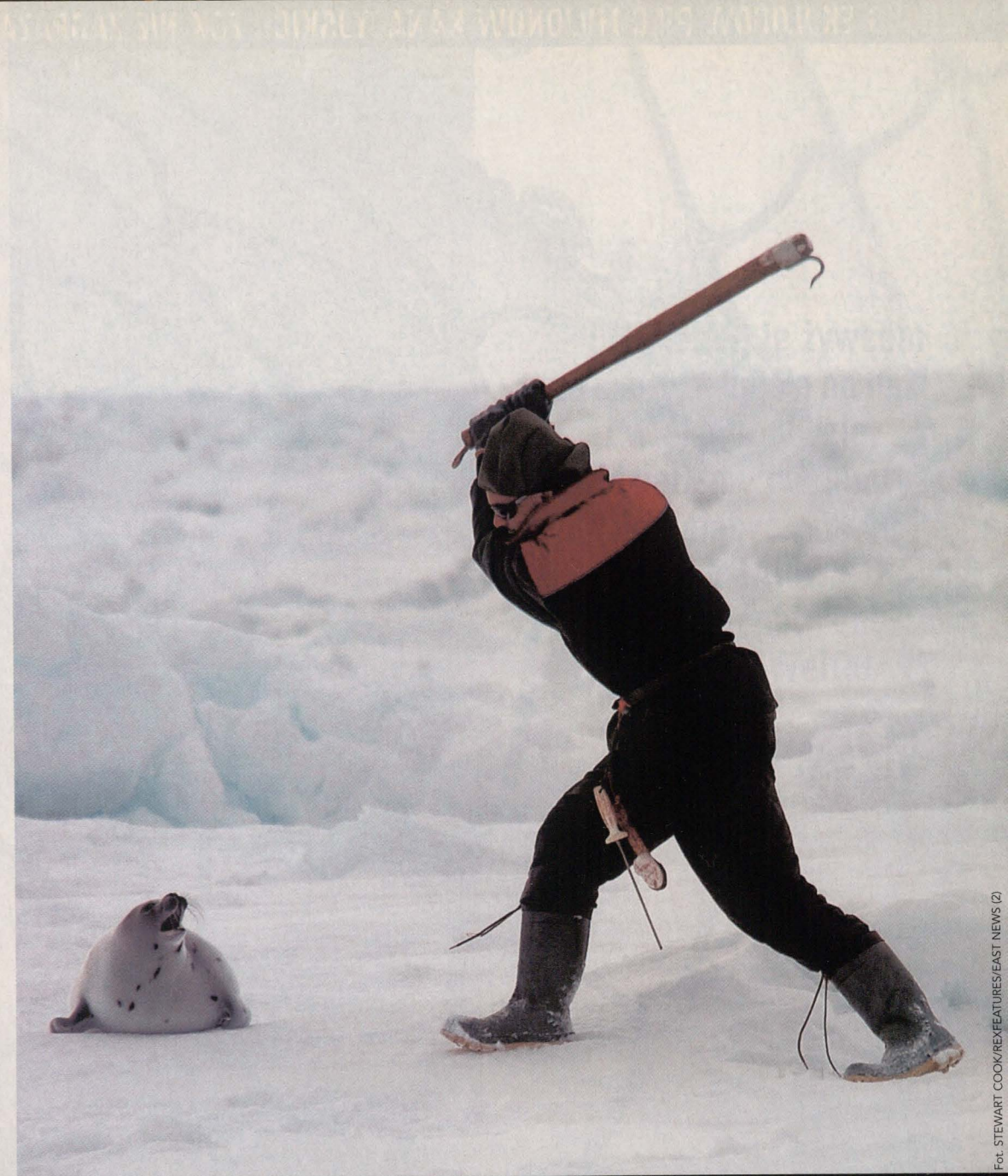
W Kanadzie zaczęto się największe od pół wieku polowanie. W ciągu niespełna dwóch dni zatluczono tam 140 tysięcy fok. Do końca roku od pałek myśliwych ma zginąć jeszcze 350 tysięcy tych ssaków. 80 procent to zwierzęta poniżej trzeciego tygodnia życia

Wiosną na foki poluje się od Alaski, Syberii (na zdjęciu) i Norwegii po Kanadę

Fot. NIKOLAJ GALIJEV/REUTERS/FORUM



Rzeź ma charakter przemysłowy. Pozwolenie na zabicie w tym roku 350 tysięcy fok da zarobek 12 tysiącom myśliwym z Quebecu



PHOT. STEWART COOK/REXFEATURES/EAST NEWS (2)

MŁODE KARMIONE JESZCZE PRZEZ MATKI NIE POTRAFIĄ PŁYWAĆ I NIE MOGĄ UCIEC POD LODZĄ SĄ ŁATWYM CELEM DLA MYŚLIWYCH, KTÓRZY MIAŁDZĄ IM CZASZKI CIĘŻKIMI PAŁKAMI

Wiosną na krach w Zatoce Świętego Wawrzyńca nie widać niczego poza fokami wygrzewającymi się w promieniach słońca. To pora lęgowa. Młode foki potrzebują dwóch, trzech tygodni, by nabrać sił i usamodzielnąć się po urodzeniu. Zanim zrobi się za ciepło i stada ruszą na północ w kierunku Grenlandii, nad zatoką pojawi się 12 tysięcy myśliwych z Quebecu. Przyjeżdżają po miękkie białe futra foczych noworodków. Muszą działać szybko. Sezon wylęgu fok trwa krótko, a już pod koniec drugiego tygodnia życia foczki zaczynają zmieniać kolor i futro staje się znacznie mniej wartościowe.

Polowanie na foki to łatwa sprawa. Sprawdzają się do metodycznej rzezi bezbronnych zwierząt, które nie mają szans na ucieczkę. Młode żywią się mlekiem matki i nie potrafią pływać, są więc łatwym łupem dla myśliwych, którzy jednym lub dwoma ciosami ciężkiej pałki miażdżą zwierzętom czaszki. Żywe jeszcze i wijące się w konwulsjach zwierzęta nabija się na haki, wlecze do burt statków i na miejscu obdziera ze skóry.

Po kilku godzinach pracy myśliwych na lodzie piętrzą się hałdy obdartych ze skóry korpusów. Focze mięso jest bez wartości, bo ma zbyt charakterystyczny zapach. Mimo wielomilionowych rządowych dopłat do produkcji nikt nie chce go przetwarzać.

Dołącz do protestu przeciwko rzezi kanadyjskich fok. Informacje pod adresami www.hsus.org www.ifaw.org

RYBY WAŻNIEJSZE OD FOK

Takiego polowania jak tegoroczne nie było w Kanadzie od pół wieku. Od połowy lat 50. przemysł myśliwski systematycznie się kurczył. Organizacje ekologiczne protestowały przeciw masowemu wybijaniu stad, a opinia publiczna na całym świecie była zaszokowana zdjęciami krwawej jatki, jaką urządzali myśliwi.

W latach 70. importu foczych produktów z Kanady zakazały Stany Zjednoczone, a 10 lat później Unia Europejska. Zmalał też popyt na focze futra – głównie dzięki skuteczności kampanii, w którą włączyły się gwiazdy formatu Brigitte Bardot.

W ostatnich latach rząd Kanady zezwalał na zabijanie zaledwie 15 tysięcy fok rocznie.

Polowali na nie głównie Eskimosi. Jednak w ciągu ostatnich 30 lat liczba kanadyjskich fok urosła do ponad pięciu milionów sztuk. Według rządu i organizacji rybackich ssaki zagrażają ławicom ryb łowionych w zimnych arktycznych wodach. Dlatego od kilku lat władze systematycznie podwyższają limit zwierząt, które można zabić.

Plan wybijania miliona sztuk w ciągu trzech lat zjeżył włosy na głowach ekologom. Według nich nie ma dowodów na to, by foki miały związek ze znikaniem ryb. – Polowania o takiej skali nie mają uzasadnienia naukowego. – To kwestia polityki i wymagań rynku – mówił kanadyjski badacz fok David Lavigne w wywiadzie dla „New Scientist”.

Po kilku dekadach zastoju futra znów są w modzie. Popyt w Rosji i Chinach powoduje, że cena skóry zdartej z kilkudniowej foki przekracza dziś 40 dolarów. Zyski z rzezi idą więc w miliony dolarów, o ile oczywiście rząd nie ulegnie naciskom ekologów i tak jak kilkadziesiąt lat temu znów nie ograniczy polowań. A naciski są, i to silne.

BARANEK FOCZY

Prawo nakazuje myśliwym, by przed zdarciem skóry upewniali się, czy foka jest martwa, ale w praktyce mało który myśliwy się tym przejmuje. – Obdzierają je żywcem w naszej obecności, nabijają jeszcze żywe na haki i wloką po lodzie, widzieliśmy całe góry



– Obdzierają je żywcem ze skóry, nabijają na haki i wloką po lodzie, widzieliśmy całe góry konających fok
– Rebecca Aldworth, International Fund for Animal Welfare

konających fok – mówiła Agencji Reutera Rebecca Aldworth, aktywistka International Fund for Animal Welfare (IFAW).

A amerykańska organizacja Human Society wykupiła w czołowych gazetach USA całostronicowe ogłoszenia, w których domaga się bojkotu wakacji w Kanadzie. IFAW zwraca uwagę przede wszystkim na metody stosowane w czasie polowań. Również kanadyjscy weterynarze, zazwyczaj dalecy od emocjonalnego podejścia do polowania, protestują przeciwko sposobowi, w jaki zabijane są foki.

„To białe bezbronne stworzenie ze swoimi niewinnymi oczami, leżące na lodzie, jest odpowiednikiem Baranka Bożego” – pisał na początku XX wieku Wilfred T. Grenfell, misjonarz nawracający Eskimosów z Labradoru. Sto lat później przedstawiciel urzędu rybołówstwa na Nowej Fundlandii ma do fok już zupełnie inne podejście. – Chciałbym zobaczyć je wszystkie martwe i sprzedane. Im więcej się ich zabije, tym bardziej będę je kochał – mówił zimą John Efford. Kilka tygodni później pałki myśliwych poszły w ruch.

JAKUB MIELNIK

WYSZEDŁ I OSKARŻA

WIECZERZAK, OSKARŻONY O WIELOMILIONOWE MALWERSACJE, PO TRZECH LATACH OPUŚCIŁ ARESZT I OSKARŻA PROKURATORA O MANIPULACJE

Proces Grzegorza Wieczerzaka, byłego prezesa PZU Życie, zamienił się w farsę: główny oskarżony stał się oskarżycielem szefa Prokuratury Apelacyjnej w Warszawie. – Trzymać kogoś w więzieniu przez trzy lata i nie móc mu przedstawić racjonalnych zarzutów to klęska wymiaru sprawiedliwości – mówił Wieczerzak, przechodząc przez bramę aresztu na warszawskiej Białolece. Wyszedł dzięki dwumilionowej kaucji wpłaconej przez brata i ojca. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie kompromitujący popis biegłej księgowej, która przed sądem nie potrafiła uzasadnić aktu oskarżenia.



Wieczerzak wychodzi z aresztu ze swoim telewizorem

Fot. WITOLD ROZBICKI/REPORTER

– To, co znajduje się w aktach sprawy, zostało zmanipulowane przez pana Kapustę – podsumował Wieczerzak. Zapowiedział, że na początku maja ujawni „kilka afer, które Kapusta zataił”. Prokurator nie miał chyba nic na obronę, bo nie chciał komentować tych wypowiedzi. Zresztą już 15 kwietnia podał się do dymisji. Jeśli prokuratura będzie dalej tak pracować, Wieczerzak zostanie uniewinniony i będzie mógł się ubiegać o odszkodowanie za straty moralne. A może ktoś złoży w Sejmie projekt powołania komisji śledczej do zbadania doniesień Wieczerzaka? Jeśli ten ujawni „afery, które zataił Kapusta”, będzie nowy show: śledzenie poczyniań aż dwóch bohaterów skandalu – Wieczerzaka i Kapusty.

JOANNA GORZELIŃSKA



Fot. ROMAN JOCHERVAG

Jeden zepsuty Żuk to tańsze paliwo dla dwóch sprawnych furgonetek

ZMYŁKA WE WZORZE

KIEROWCO – NIE DZIWI SIĘ, JEŚLI PO ZNAKU ZAKAZU WYPRZEDZANIA PRZEZ SAMOCHODY CIĘŻAROWE PRZEGONISZ CIĘ KOPARKA LUB DŹWIG. ZGODNIE Z NOWYM PRAWEM TO AUTA OSOBOWE

Podpisana przez prezydenta ustawa o podatku od towarów i usług wprowadza niejasne rozgraniczenie między samochodami osobowymi a ciężarowymi. Owo rozgraniczenie opiera się na tak zwanym wzorze Lisaka (od posła UP Janusza Lisaka) określającym minimalną ładowność samochodu, jaka pozwala uznać go za ciężarówkę. Wzór jest tak nieszczyśliwie sformułowany, że dochodzi do absurdów: ciężarówką jest na przykład Fiat Doblo i Renault Kangoo, ale Peugeot Partner i Citroën Berlingo już nie, choć wszystkie pod względem użytkowym są niemal identyczne. – Za ciężarówkę może być za to uznany Ford Mondeo i niektóre wersje Hondy Accord – wy-

licza Wojciech Drzewiecki z monitorującej rynek samochodowy firmy Samar.

Tymczasem od zaklasyfikowania auta zależy, czy firma odliczy zawarty w paliwie podatek VAT. Już pojawiły się plotki, że gwałtownie wzrósł popyt na stare żuki i nysy. Mając takie auto ukryte w krzakach, można brać na nie rachunki za paliwo, a jednocześnie używać nawet dwóch (żuki są paliwożerne) furgonetek, które miały pecha być uznane za osobowe.

Przygotowana jest już nowelizacja ustawy, ale zanim uda się ją wprowadzić, czeka nas minimum kilka tygodni kombinowania. Także ze strony importerów aut, którzy pewnie będą zawyżać ładowność pojazdów, wprowadzając mniej czy bardziej prawdziwe zmiany w konstrukcji.

Jeżeli skrupulatnie zastosować się do zapisów ustawy, za samochód osobowy można też uznać ciągnik siodłowy (część tira, która ciągnie naczepę), dźwig samobieżny albo koparkę. Nie mają określonego parametru „ładowność”, według „wzoru Lisaka” są więc... osobowe. Poseł broni się: – Chodzi o to, by wolno było odliczać podatek tylko od aut naprawdę użytkowych, a nie limuzyn udających ciężarówki. Mam nadzieję, że w urzędach skarbowych nie znajdzie się nikt, kto tak dosłownie potraktuje zapis – tłumaczy. Czy na pewno? Urzędnicy nie muszą znać się na samochodach, a w urzędach skarbowych łatwiej o nieżyczliwość niż zrozumienie.

MAX SUSKI

SZOKUJĄCA SEKCJA

RODZICE STUDENTA Z PUŁAW, PRÓBUJĄCY ROZWIKAĆ ZAGADKĘ ZABÓJSTWA SYNA, ZNÓW SĄ W SZOKU – TYM RAZEM Z CIAŁA CHŁOPAKA ZNIKŁA NERKA

O śmierci Kamila Bartosza pisaliśmy w „Przekroju” w styczniu. W październiku 2003 roku chłopak nie wrócił z dyskoteki w restauracji Katedralna w Puławach. Przypadkowy kierowca znalazł jego zmasakrowane ciało na środku drogi. Policja i prokuratura przyjęły, że przejechał go tir, ale rodzice twierdzą, że studenta zamordowali ochroniarze restauracji. Sekcja zwłok w Zakładzie Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Lublinie potwierdziła wersję prokuratury. Ale rodzice zażądali ekshumacji i kolejnej sekcji. W marcu ciało przewieziono do Krakowa, do patologów z Uniwersytetu Jagiellońskiego. 13 kwietnia Alicja i Tadeusz Bartoszek otrzymali wyniki tej sekcji. – Wykazała dobitnie, że patologzy z Lublina zrobili fuszerkę albo celowo sfalszowali wyniki badań – mówi Tadeusz Bartoszek, ojciec Kamila. Okazuje się, że pracownicy AM w Lublinie nie zauważyli łańcuszka w przewodzie pokarmowym Kamila oraz złamania kości gnykowej, które mogło być efektem duszenia. Rodziców zszokował też brak jednej nerki i nadnercza. 14 kwietnia ojciec Kamila w doniesieniu do prokuratury oskarżył AM w Lublinie o bezprawne pobranie narządu. – Nerka ze zwłok do niczego się nie nadaje. Na pewno nie była użyta do przeszczepów. Mogła być pobrana do badań, możliwe też, że laborant nie włożył jej z powrotem przy zszywaniu ciała. Ale to może wyjaśnić tylko AM w Lublinie – mówi nam profesor Aleksander Dubrzyński z AM w Warszawie. Z raportu krakowskiej sekcji zwłok przekazanego rodzinie wynika, czy Kamil został zabity, czy zginął pod kołami samochodu.

MARCIN FABJAŃSKI



Marsz Milczenia ku pamięci Kamila, Warszawa, grudzień 2003 r.

Fot. ANNA BEDIŃSKA/AG

HOP z GŁÓWKI

CZY JEDEN OSIEM L ZNUDZIŁ SIĘ TWORZENIEM BITÓW I PRZECHODZĄ NA POBICIA?

Płocką grupę Jeden Osiem L opisaliśmy szerzej w tekście o hip-hopie w 13. numerze „Przekroju”. O ile jednak wtedy miałem wątpliwości, o tyle teraz już nie mam: płocczanie pracują głową. Choć w szczególny sposób, kojarzący się raczej z remizą niż z hip-hopem.

16 kwietnia odbierali w Łodzi nagrody Radia Eska za najlepszy zespół polski roku i hit roku. Wieczór ten członkowie formacji wykorzystali do spotkania z Dawidem Muszyńskim, dziennikarzem „Przekroju”, który współpracował ze mną przy pisaniu tekstu



Ta radość z nagród Eski szybko przeszła w nastawienie bojowe

Fot. PIOTR FOTEK/REPORTER

„Hip-hopolo”. Najpierw Łukasz, raper Jeden Osiem L, wyraził dość spokojnie wzburzenie naszą publikacją. Potem wrócił w towarzystwie kolegów, by nastraszyć Dawida, że spuszcza go w klozecie. W finale jeden z członków grupy zaatakował naszego kolegę ciosem „z główki”. Interweniowała ochrona. Niniejszym potwierdziła się teza o tym, że Jeden Osiem L to zupełnie nowy styl w kulturze hiphopowej, choć już nie styl bycia, tylko raczej styl bicia.

W artykule o Jeden Osiem L pisaliśmy o przywłaszczeniu przez tę grupę fragmentów cudzych kompozycji i to wzbudziło kontrowersje muzyków. Po publikacji tekstu nie otrzymaliśmy jednak żadnego oficjalnego stanowiska od zespołu. Obrażeni muzycy nie napisali nawet listu do redakcji. Woleli rękoczyny. Smutny przykład dla fanów grupy, która dostała niedawno złotą płytę za 35 tysięcy sprzedanych egzemplarzy płyty „Widoczek”.

BARTEK CHACIŃSKI

Fot. M. JÓZEFOWICZ/REPORTER



Sam remont rozbitego rok temu Sokola to wydatek 5 milionów złotych

SIŁA SIECI

INTERNAUCI WYWALCZYLI REALNE PIENIĄDZE DLA GÓRSKICH RATOWNIKÓW

Posłowie przyjęli poprawkę do ustawy o ochronie przyrody, zgłoszoną przez inicjatorów internetowej akcji „Śmigło dla Tatr”. 15 procent pieniędzy z biletów wstępu do parków narodowych ma iść na wsparcie specjalistycznych organizacji ratowniczych. – Sam TOPR otrzyma dodatkowo 600–800 tysięcy złotych rocznie, które odłoży na zakup śmigłowca – mówi Jacek Rządowski, inicjator akcji. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji (które finansuje TOPR) nie ma pieniędzy na rządowe śmigłowce, a co dopiero na górskie. To dlatego alpinista Kacper Gradoń i Jacek Rządowski wraz z kolegami z forum www.wspnianie.pl zorganizowali „Śmigło dla Tatr”. Pod listem otwartym do parlamentu podpisało się ponad 7500 osób, a poprawkę zgłosił senator Franciszek Bachleda Księżdział. Senat przyjął poprawkę jednogłośnie, trudniej było z posłami. Teraz ustawa trafi do prezydenta. My, turyści, liczymy na jego podpis. (JOGA)



Radio 24/7

Gala

DOKONA SIĘ SŁODKA ZEMSTA...
...NA KTÓRĄ WSZYSCY CZEKAJĄ

NAJNOWSZY FILM QUENTINA TARANTINO

KILL BILL
VOL. 2

W KINACH OD 23 KWIECZNIA

KILL BILL



CZAS ZEMSTY
do wygrania zegarki



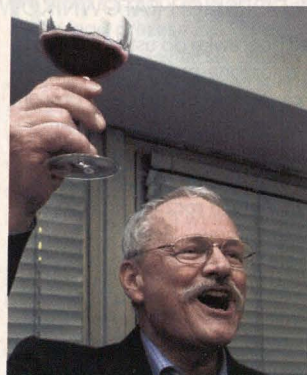
*szczegóły w opakowaniach
www.monolith.com.pl

W TYM ROKU PO RAZ OSTATNI będziemy oglądać w TVP sopocki festiwal piosenki. Od przyszłego roku

jego organizacją i transmisją zajmie się TVN

SŁOWACKA NIESPODZIANKA

NIEDZIELNE WYBORY PREZYDENCKIE NA SŁOWACJI WYGRAŁ NIESPODZIEWANIE BYŁY PRZEWODNICZĄCY PARLAMENTU IVAN GASZPAROVICZ



Ivan Gaszparovicz wznosi toast po zwycięstwie w drugiej turze

Fot. PETR DAVID JOSEK/JAP

W wyborach Gaszparovicz pobili Vladimira Mecziara – swojego długoletniego sojusznika politycznego, trzykrotnego premiera i czolowego słowackiego populistę. Wygrał zdecydowanie, choć przy frekwencji na poziomie zaledwie 43 procent. Miejscowe media i politycy nazywają go „mniejszym złem”. Na dwa tygodnie przed wejściem do Unii Słowacy najwyraźniej przestraszyli się powrotu Mecziara do władzy.

Sam Gaszparovicz jeszcze dwa lata temu był jego bliskim współpracownikiem i jako przewodniczący parlamentu popierał wszystkie autorytarne posunięcia Mecziara: konflikt z węgierską mniejszością narodową, atak na niezależność państwowych mediów, bezprawne działania służb specjalnych (między innymi porwanie syna prezydenta). Pokłócili się w 2002 roku o miejsce Gaszparovicza na liście kandydatów do parlamentu. Choć przed obecnymi wyborami Gaszparovicz przeprosił publicznie za większość swoich politycznych błędów, jak mówią słowaccy komentatorzy, cieszyć można się jedynie z przegranej Mecziara.

Zaprzyśiężenie nowego prezydenta 15 czerwca.

(AK)



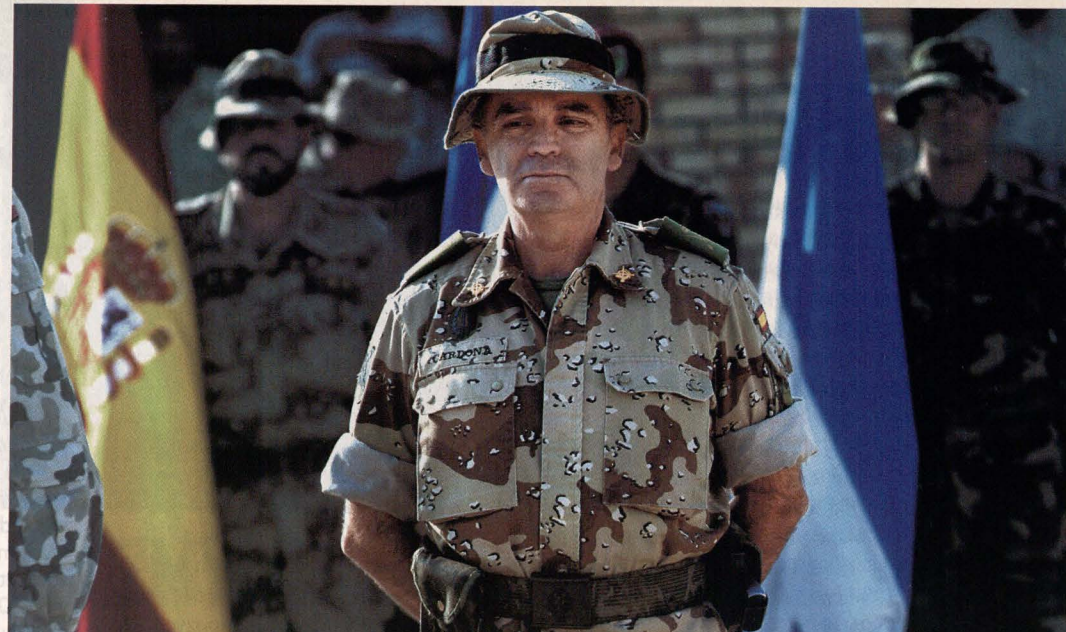
Fot. NICK DOUGLAS/PIKNA

Heath Ledger

JAMES BŁĄD

0 to nowy Bond, James Bond... Z tłumu aktorów kandydatów na agenta 007 producenci wybrali 25-letniego Australijczyka Heatha Ledgera. Jak widać na zdjęciu, nowy kandydat odbiega od tradycyjnego modelu agenta Jej Królewskiej Mości. Jest za młody, co może wpłynąć na klimat filmu. Ledger ma na koncie role w filmach „Patriota”, „Zakochana złoźnica” i „Monster's Ball: Czekać na wyrok”. Jeszcze przed Bondem zagra w filmie o kowboju, który zakochuje się w koledze z rancza. Z konkurencji wypadli między innymi Orlando Bloom i Colin Farrell. Ledger zastąpi czterokrotnego Bondy Pierce'a Brosnana.

(DM)



Hiszpański generał Alfredo Cardona (na zdjęciu) dostał już od premiera Zapatero rozkaz ewakuacji wojsk z Iraku

Fot. GETTY/EAST NEWS

HISZPANIE WYCHODZĄ

WYCOFANIE HISZPAŃSKICH ŻOŁNIERZY Z IRAKU TO POCZĄTEK KOŃCA KOALICJI, KTÓRA MIAŁA NADAĆ MIĘDZY-NARODOWY CHARAKTER AMERYKAŃSKO-BRYTYJSKIEJ OKUPACJI

Wyjdziemy tak szybko, jak się da – ogłosił hiszpański premier José Luis Rodrigues Zapatero. Premier zrobił to, co obiecywał podczas kampanii wyborczej i czego chcieli od niego Hiszpanie. Ewakuacja będzie szybka – główną hiszpańską bazę w Diwanii dzieli od Kuwejtu jedynie 11 godzin jazdy.

Według ekspertów w ślad za Hiszpaniami Irak opuśćą następne kontyngenty. Wycofania służących w strefie brytyjskiej policjantów nie wyklucza Portugalia. Niemal na pewno wyjadą też służący z Hiszpaniami żołnierze państw latynoamerykańskich.

Hiszpanie to oprócz Ukraińców i Polaków główna siła wielonarodowej dywizji stacjonującej w centralnym Iraku. Jednak z militarnego punktu widzenia wyjazd 1300 hiszpańskich żołnierzy nie ma większego znaczenia, gdyż – jak pokazały choćby niedawne starcia – ciężar okupacji spoczywa przede wszystkim na barkach Amerykanów.

Opuuszczając Irak, Zapatero zadaje natomiast polityczny cios egzotycznej koalicji

państw Europy, Ameryki Łacińskiej, Bałkanów, Pacyfiku i republik dawnego ZSRR, która wspomaga USA i Wielką Brytanię w Iraku. Dopóki koalicja istniała, Amerykanie mogli mówić o międzynarodowym charakterze interwencji, która nie została zaprzeczona przez ONZ, a przez większość krajów świata uznawana jest za nielegalną. Teraz będzie to o wiele trudniejsze.

Pewnie dlatego w przeddzień ogłoszenia decyzji o wyjeździe Hiszpanów Bush i Blair niespodziewanie poparli plan, by to ONZ (a nie koalicja) sprawowała kuratelę nad procesem przekazywania Irakijczykom władzy nad Irakiem. Według roboczego planu posłuszna Amerykanom i niepopularna Rada Zarządzająca ustąpi do końca czerwca, a USA prześlą władzę w ręce przejściowego rządu irackiego, który ma doprowadzić kraj do wyborów w styczniu 2005 roku. Wyłonią go wspólnie ONZ, członkowie Rady Zarządzającej, koalicja i grono irackich sędziów.

JAKUB MIELNIK

Co ich tu przyciąga?



ZA 117 500 DOLARÓW sprzedano na aukcji w Dallas gitarę Kurta Cobaina. To pierwszy instrument lidera Nirvany

wystawiony na sprzedaż po jego śmierci



Rantissi, współzałożyciel Hamasu, był bezpośrednio odpowiedzialny za wiele zamachów na Izraelczyków

Fot. ADEL HANAWAP

POKÓJ Z WIDOKIEM NA WOJNĘ

IZRAEL ZABIŁ KOLEJNEGO SZEFA HAMASU. KILKA DNI WCZEŚNIEJ PREMIER ARIEL SZARON ZYSKAŁ POPARCIE AMERYKI DLA PLANU WYCOFANIA IZRAELA Z TERYTORIÓW PALESTYŃSKICH

Jeśli mam zginąć od helikoptera Apache albo na zawał, to wolę to pierwsze – powiedział po egzekucji szejka Jassina jego następcą na czele Hamasu Abdel Aziz al-Rantissi. W ubiegłą sobotę, niespełna miesiąc po zamachu na szejka, Rantissi podzielił jego los. Egzekucja na dłuższy czas unieszkodliwi Hamas, ale zaszkodzi też przedstawionemu tydzień temu kontrowersyjnemu planowi wycofania się Izraela z terytoriów okupowanych. Kilka dni przed zamachem Szaron przekonał do niego George'a W. Busha. Plan zakłada likwidację osiedli w Strefie Gazy (7,5 tysiąca osadników), włączenie do Izraela sześciu osiedli z Zachodniego Brzegu (92 tysiące osadników) i zakazanie arabskim uchodźcom powrotu do Izraela.

Bush poparł plan Ariela Szarona wbrew opinii własnego Departamentu Stanu, oburzeniu państw arabskich i krytyce ze strony ONZ, Unii Europejskiej, a nawet brytyjskich sojuszników.

Skąd tak powszechny sprzeciw? Przedstawiane dotąd plany pokojowe zakładały utworzenie państwa palestyńskiego w granicach z 1967 roku, tymczasem włączenie do Izraela osiedli na Zachodnim Brzegu naruszy tę granicę.

Tryumf Szarona w Waszyngtonie spotkał się za to z entuzjastycznym przyjęciem w samym Izraelu. Izraelczycy są zmęczeni nieustannymi atakami terrorystycznymi i brakiem perspektyw na pokój. Dlatego popierają inicjatywę, która zmierza do jednostronnego rozwiązania sporu granicznego i odcięcia Izraela od Palestyńczyków.

Rozgoryczenie manifestują tylko osadnicy z Gazy, którzy będą musieli porzucić swoje domy. Ich organizacje rozpoczęły już działania zmierzające do storpedowania planu. Teraz w wewnętrznym głosowaniu musi go przyjąć rządząca partia Likud, a potem Kneset.

ANDRZEJ ŁOMANOWSKI

WYZWOLONY PRZEZ WETERANÓW

PO 607 DNIACH OD PORWANIA EMERYTOWANI AGENCI KGB UWOLNILI HOLENDRA ARJANA ERKLA, PRACOWNIKA ORGANIZACJI LEKARZE BEZ GRANIC

Koordinator Lekarzy bez Granic (MSF) na Kaukaz Północny został uprowadzony w stolicy Dagestanu Machaczkałe 12 sierpnia 2002 r. przez trzech uzbrojonych mężczyzn. Podczas prawie dwuletniej gehenny Holender Arjan Erkel był przetrzymywany w sześciu różnych piwnicach, rzadko mógł wychodzić na zewnątrz. Porywacze kilkakrotnie dawali mu książki, z rzadka informując go też o tym, co dzieje się na świecie (wiedział na przykład, że rok temu USA zaatakowały Irak). Erkel umówił się ze swoimi oprawcami, że w razie egzekucji zastrzelą go jednym strzałem w czoło.



Arjan Erkel już po powrocie do Holandii

Fot. ITAR-TASS/FORUM

Przedstawiciele MSF twierdzą, że do uwolnienia Erkla doszłoby o wiele szybciej, gdyby nie opieszałość rosyjskich władz i służb specjalnych. W toku śledztwa jeden z rosyjskich oficerów został aresztowany za współpracę z porywaczami innej osoby. Zdesperowani lekarze wynajęli w końcu emerytowanych rosyjskich agentów ze Związku Weteranów Wywiadu.

Po półrocznych poszukiwaniach w niedzielę wielkanocną Erkel został uwolniony w Dagestanie. MSF zaprzecza, jakoby organizacja zapłaciła okup, nie wiadomo też, kim byli porywacze. Pierwsze, o co spytał uwolniony Holender, to czy jego kraj zakwalifikował się do Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej. Niestety, nikt z pasażerów samolotu z Machaczkały do Moskwy nie potrafił odpowiedzieć mu na to pytanie. (AK)

DZIKI SHOW

Już dwa miliony Niemców ogląda najnowsze niemieckie reality show. Bohaterami programu „Pig Brother”, dostępnego poprzez stronę www.wildtiere-live.de, nie są jednak ludzie, tylko dziki – 3 odyńce, 3 lochy i 50 warchlaków. Program odbiera już widzów telewizyjnym „Big Brotherowi”. Być może dlatego, że start w kolejnej edycji ogłosił brat kanclerza Schrödera, na którego Niemcy nie mogą już patrzeć. (MAGO)

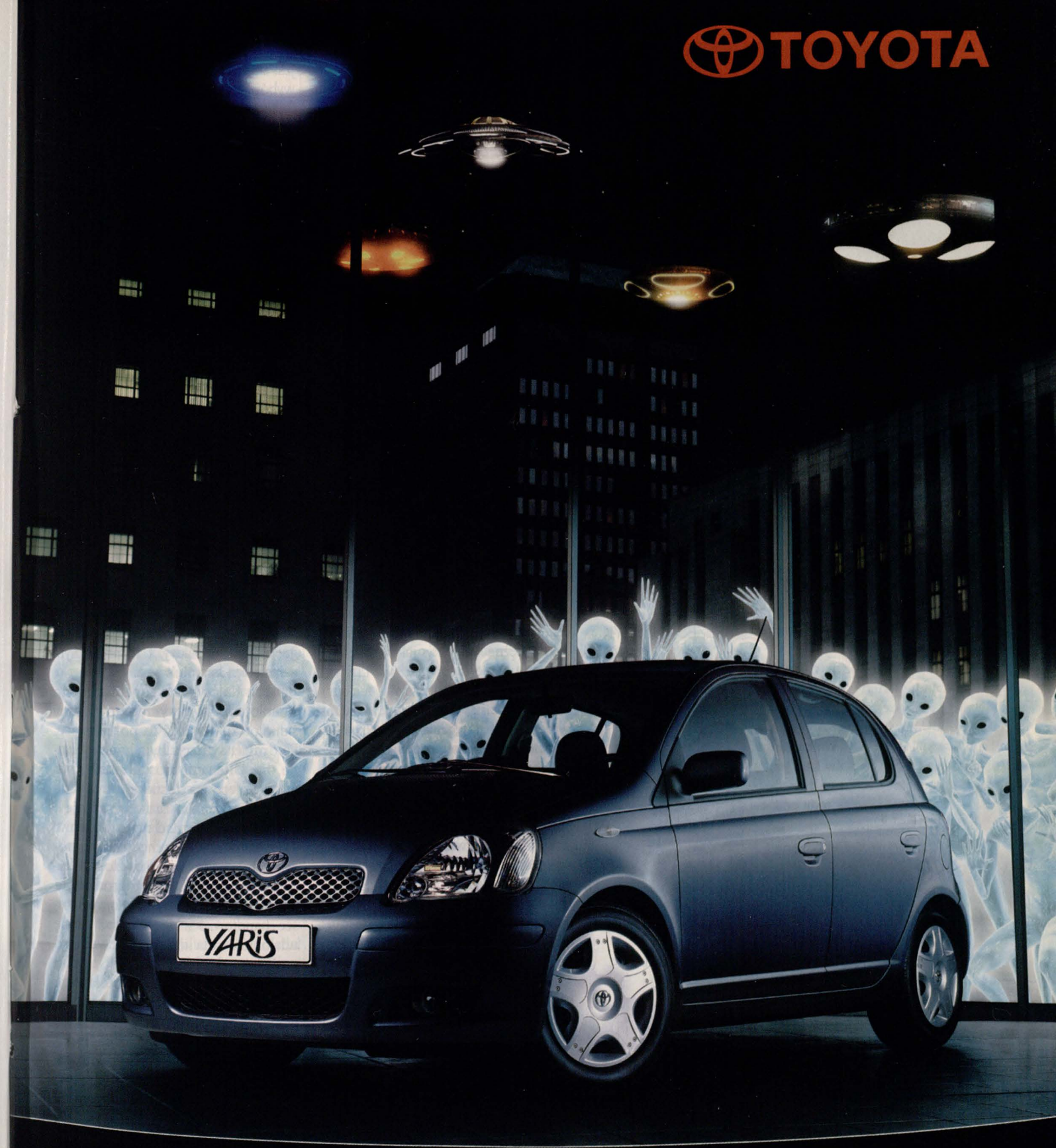


Fot. HORST NIESTERS/WWW.WILDTIERE-LIVE.DE

Bohaterowie niemieckiego „Pig Brothera”. Od lewej...

JEDEN PROCENT SWOICH PODATKÓW możesz jeszcze do końca kwietnia przekazać samodzielnie wybranej organizacji charytatywnej. Wybierzesz je z listy na www.jedenprocent.pl

TOYOTA



TOYOTA YARIS BLUE KOSMICZNA WERSJA Naprawdę jest co podziwiać: z daleka sportową linię nadwozia w kolorze blue metalik, a z bliska niesamowity silnik i obszerne, elegancko wykończone wnętrze. Obszyta skórą kierownica z wmontowanym modulem sterowania radiem, chromowana gałka dźwigni zmiany biegów i tapicerka z elementami blue – tworzą intrygujące połączenie. Można powiedzieć: atrakcja na kosmiczną skalę. www.toyota.pl



FOT. PAVEŁ TERLIKOWSKI/SUPER EXPRESS, PIOTR MAŁECKI/NEWSWEEK/FORUM

NIE PRZYWIĄZUJECIE DO MNIE ZBYT WIELKIEJ WAGI

KATARZYNA KOLENDĄ-ZALESKA: Chyba dużo ma pan pracy w Kulczyk Holdings?

JAN WAGA: Dużo, ale nie narzekam. Od początku kariery chciałem ostro pracować i zawsze mam sporo pracy.

Wierzę. Umówił się pan ze mną bardzo precyzyjnie. O 17.20. Wraca pan ze spotkania. Za chwilę znów pan jedzie na kolejne spotkanie. Po co panu było jeszcze stanowisko szefa rady nadzorczej PKN Orlen?

– Mamy w Orlenie zaangażowane duże pieniądze.

Jak duże?

– O pieniądzach nie rozmawiamy. Szkoda.

– Skoro zainwestowaliśmy w Orlen nasz kapitał, to musi być tam ktoś, kto pilnuje tej inwestycji.

Pilnuje pan interesów Jana Kulczyka?

– Nie. Pilnuję interesów wszystkich akcjonariuszy. Dla nas najważniejsze jest zbudowanie wartości całej firmy.

I dlatego macie w Orlenie uprzywilejowaną pozycję?

– Nie. Pozycja każdego akcjonariusza wynika z tego, ile ma akcji.

Ale wy macie 6 procent. W porównaniu ze skarbem państwa, z Naftą Polską to tyle co nic.

– My jesteśmy największym prywatnym inwestorem. I ze względów merytorycznych się zgodziłem, a nie dla splendorów. Byłem przecież wice-

CO ROBI PREZES KULCZYK HOLDINGS JAKO PREZES RADY NADZORCZEJ ORLENU?

– PYTA



KATARZYNA KOLENDĄ-ZALESKA

przewodniczącym w poprzedniej radzie, a w sytuacji gdy są rozważane tak potężne projekty jak Unipetrol i ewentualnie węgierski MOL, potrzebna jest ciągłość pracy.

Wszedł pan do rady w 2002 roku. To wtedy jej skład, zgodnie z tym, co mówi Wiesław Kaczmarek, miał być ustalany i zatwierdzany na tajnym spotkaniu z udziałem prezydenta, premiera i pana bezpośredniego szefa Jana Kulczyka.

– Wie pani, ja nic nie wiem o tym, żeby mnie wysuwało jakieś konklawe.

Wiesław Kaczmarek zwariował, ma omamy, jak sugeruje premier?

– Nie oceniam ludzi. Nie jestem człowiekiem polityki, a zachowań niektórych polityków nie traktuję w kategoriach racjonalnych. Nie znam tych reguł.

Rozumiem, że pan jest od robienia interesów, a Jan Kulczyk od tworzenia odpowiednich warunków, bo aż trudno uwierzyć, aby nie chciał mieć w Orlenie swojego człowieka. Trudno uwierzyć, że Jan Kulczyk o to nie zabiegał, biorąc pod uwagę jego zażyłość z najważniejszymi osobami w państwie.

– Jako akcjonariusz Kulczyk Holdings ma prawo do obecności w radzie nadzorczej. Ale nic nie wiem, aby jej skład ustalał na jakichś tajnych spotkaniach. Zresztą na walnym zgromadzeniu akcjonariuszy poparło mnie ponad 75 procent zgromadzonych, a przeciw było niecałe 2 procent. I to

jest odpowiedź na pytanie, czy to był wybór merytoryczny, czy polityczny.

Ale minister skarbu trochę ułatwił wam życie, nie zgłaszając własnego kandydata do RN PKN Orlen. Skarb państwa oddaje takie stanowisko walkowerem. Przyzna pan, że to trochę dziwne i podejrzane?

– Nie, nie przyznam. Może wreszcie komuś zaświtała świadomość, że trzeba budować wartość firmy, bo w ten sposób buduje się również wartość udziałów skarbu państwa. A my jako inwestor finansowy gwarantujemy dobre zarządzanie pieniędzmi. Wierzę, że już zaczynają się liczyć racjonalne decyzje.

A może jednak są to decyzje polityczne?

– Ale co ja mogę w tym Orlenie? Mam tylko jeden głos, tak jak każdy inny członek rady. Pracuję w wielu radach nadzorczych wielu spółek giełdowych. W TP SA. W Warcie. Nigdy nie spotkałem się z zarzutem, że członek rady nadzorczej reprezentuje konkretnego akcjonariusza. Nikt nie może być uprzywilejowany.

Ale pan jest. Pan reprezentuje Kulczyk Holdings. To pan z prezesem zarządu Orlenu panem Wróblem jeździ na negocjacje do Moskwy, i to prywatnym samolotem Jana Kulczyka.

– Pan Kulczyk lata zupełnie innym samolotem. My wycarterowaliśmy samolot z Niemiec. To po pierwsze. Po drugie, sytuacja była nadzwyczajna, bo Orlen nie dostał żadnej poważnej oferty na dostawę ropy i rada nadzorcza uznała, że konieczny jest specjalny nadzór nad negocjacjami.

Przełamaliśmy niechęć dużych rosyjskich koncernów. Jukos złożył ofertę, Lukoil nie. Rolą tego wyjazdu było przekonanie Rosjan, że można w Polsce handlować z Orlenem. I to się udało. Jeśli rada kontroluje, czy zarząd w Polsce działa na korzyść spółki i zgodnie z procedurami, to dlaczego nie mamy tego nadzorować także za granicą, w Moskwie czy gdziekolwiek indziej. A ja trochę znam realia zawierania kontraktów międzynarodowych.

Prywatne samoloty?

– A co pani myśli? I to jeszcze w Rosji! Lecieliśmy na spotkanie z szefami koncernów, a nie ze średnim personelem technicznym. W Rosji ceremoniał zawsze był ważny. A co? Mieliśmy stać w kolejce na Szeremietiewie i czekać, jak nas łaskawie przeprowadzą przez odprawę? Tak się nie załatwia interesów. Nigdzie! I po raz pierwszy delegacja Orlenu nie była na niczym garnuszku. Byliśmy sa-

modzielni. Wyciąganie tych spraw to tylko element politycznej walki.

Pan się nie spotyka z politykami?

– Oczywiście, że się spotykam. Z niektórymi nawet się przyjaźnię.

Ciekawe, z kim na przykład?

– Bez nazwisk.

Szkoda. To, co najciekawsze, to pan zachowuje w tajemnicy.

– Niech pani nie żałuje. Powiem pani szczerze, że w naprawdę dużym biznesie to polityk nic nie może załatwić. Ani premier, ani minister. To nie oni prowadzą przetargi.

Ale mogą wiele ułatwić. Łatwiej dotrzeć do ważnych informacji, a w biznesie informacja to potęga.

– Nie. Od początku polskiej prywatyzacji jestem na rynku jako menedżer. I najwięcej do powiedzenia mają ci, którzy przygotowują warunki przetargów, doradcy, średni szczebel – on przygotowuje decyzje.

Ale oni też od kogoś zależą. A patrząc na aktywność Jana Kulczyka w środowiskach politycznych, można domniemywać, że nie robi tego tylko dla przyjemności.

– A może to politycy zabiegają o dobre kontakty z panem Kulczykiem?

Ale po co? Zresztą Jan Kulczyk się nie wzbrania od zażyłości z politykami.

– Czy osoba, która dostarcza tylu atrakcyjnych pomysłów dla polskiej gospodarki, czy firmy, które dostarczają tylu pieniędzy z podatków, mają być traktowane jak nie wiadomo co? Jakieś zło. Niech pani popatrzy na świat. Rząd rosyjski wspiera firmy rosyjskie, francuski – francuskie, amerykański – amerykańskie, tak jak w Iraku. Czy to coś dziwnego, nagannego?

Ale wygląda na to, że polski rząd to wspiera nie firmy, ale jedną konkretną firmę. Kulczyk Holdings.

– Rząd Leszka Millera nie sprzedał grupie Kulczyk Holdings ani jednej firmy. Ani jednej przez trzy lata.

Czemu pan się śmieje? Bo chyba to pana nie cieszy?

– Ja bym powiedział w ten sposób: my i tak będziemy funkcjonowali, bo my wiemy, jak się robi biznes. Etap prywatyzacji w Polsce już się kończy, a przed nami nowe wyzwania. Ale jak już startujemy w jednym z ostatnich przetargów na państwową firmę, to na wywieszce z napisem: „sprzedaż” nie może być dopisku „sprzedać, tylko nie Kulczykowski”. To jest chore w kraju prawa. My jako jedyni zostaliśmy na przetargu przy prywatyzacji grupy G8. Można nam było powiedzieć, że się naszej oferty nie przyjmuje. A nie zwo-

dzić nas od września. Dlaczego przez pół roku trzyma się nas w niepewności, mrozi nam pieniądze?

Widzę, że rząd Leszka Millera represjonuje holding Jana Kulczyka.

– Po co ta ironia? Dokładnie tak jest. **A to się uśmieją wszyscy, jak to przeczytają.**

– Ale to właśnie chcę powiedzieć. Może nawet nie rząd, ale minister skarbu przyjął politykę niesprzedawania nam czegokolwiek.

Wiesław Kaczmarek?

– Nie mówię o osobach, ale o ministrze konstytucyjnym.

Ale jednak pan, przedstawiciel akcjonariuszy, był w czasie negocjacji w Rosji. To jednak trochę niezręczna sytuacja z etycznego punktu widzenia. Bo pan musi dbać o interesy Kulczyk Holdings.

– Byłem delegowany jednomyślnie przez radę PKN Orlen, bo nie ma żadnego konfliktu interesów.

A teraz nie będzie? Pan jako szef rady nadzorczej PKN i jako prezes Kulczyk Holdings.

– My nie jesteśmy pośrednikami w handlu ropą. My jesteśmy inwestorem finansowym. Dla nas najważniejszym celem jest wzrost wartości inwestycji. I to samo jest w interesie Orlenu. Każdy chce zarobić. Kolidzi interesów nie ma i nie rozumiem całej tej wrzawy. My kupujemy akcje Orlenu legalnie, na giełdzie, przez biura maklerskie.

Chce pan doprowadzić do połączenia Orlenu z węgierskim MOL-em.

– Chciałbym z Orlenu stworzyć ośrodek konsolidacji w regionie. Nie da się interesów prowadzić samotnie. Nie udało się doprowadzić do fuzji z Rafinerią Gdańską, no to trzeba szukać gdzie indziej. Patrzymy wokół – na Czechy, na Węgry. Ktoś, kto nie zajmie dziś pozycji aktywnej, pozycji rozgrywającego, zginie. Nie można stać w kącie jak ta sierota i czekać, kto ją przygarnie. Trzeba działać. Jeśli Orlen nie będzie aktywnym graczem na rynku fuzji i przejęć, to przegra i straci swoją historyczną szansę. To jest ostatnia w Polsce firma, która ma jakąś szansę w światowym biznesie.

Powinna powstać komisja śledcza do zbadania tych wszystkich zawirowań wokół Orlenu?

– To jest sprawa, czy parlament wierzy w skuteczność instytucji prawa w Polsce. Jako obywatel chciałbym, aby wyjaśniono całą sprawę. Ale bez szkody dla spółki, bo biznes potrzebuje spokoju, a nie awantur.

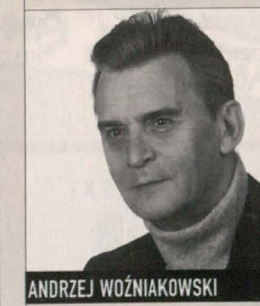
KATARZYNA KOLENDĄ-ZALESKA,
TVN24

ODESZLI



JAN SZCZEPAŃSKI

Jan Szczepański, 91, światowej sławy socjolog, były rektor Uniwersytetu Łódzkiego. W 1964 roku został wiceprezesa Polskiej Akademii Nauk, zaś od 1966 do 1970 roku był prezydentem Międzynarodowego Stowarzyszenia Socjologicznego. Profesor Szczepański specjalizował się w socjologii ogólnej – napisał ponad 1500 publikacji poświęconych teorii i historii socjologii oraz badaniom nad przekształcaniami struktury społecznej. Jego najbardziej znane prace to „Socjologia. Rozwój problematyki i metod”, „Elementarne pojęcia socjologii” i „Socjologiczne zagadnienia wyższego wykształcenia”. Doctor honoris causa uniwersytetów w Brnie, Warszawie i Łodzi.



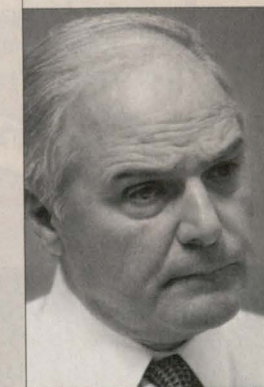
ANDRZEJ WOŹNIAKOWSKI

Andrzej Woźniakowski, 69, kompozytor. Już w czasie studiów komponował muzykę dla studenckiego kabaretu satyrycznego we Wrocławiu. W 1966 roku został nagrodzony na konkursie w Opolu za muzykę do piosenki „Pustka po tobie”. Rok później otrzymał także nagrodę w Radiowej Giełdzie Piosenki za kompozycję do słów „Jak cię miły zatrzymać” Adama Kreczmara. Komponował dla kabaretu Hybrydy. Pisał muzykę do filmu „Paryż – Warszawa bez wizu”, sztuki „Hyde Park” wystawianej w Teatrze Syrena i do „Podwieczorku przy mikrofonie”. W sumie skomponował prawie 300 utworów. Działał w władzach ZAiKS-u i ZAKR-u. Był członkiem Unii Wolności i radnym warszawskiego Żoliborza.



JUAN VALDERRAMA BLANCA

Juan Valderrama Blanca, 87, hiszpański śpiewak flamenco. Używał pseudonimu Juanito. Jego ojciec był rolnikiem z regionu Jaen w południowej Hiszpanii. Juanito zaczął śpiewać jako chłopiec. Popularność zyskał w czasie wojny domowej, w której brał udział po stronie republikańskiej. Koncertował wówczas w szpitalach polowych dla rannych żołnierzy. Jedną z jego najpopularniejszych piosenek był utwór „Emigrant”, oda do tysięcy Hiszpanów opuszczających kraj po zwycięstwie zwolenników Franco. Nagrał ponad 300 piosenek, wystąpił w siedmiu filmach.



JIM CANTALUPO

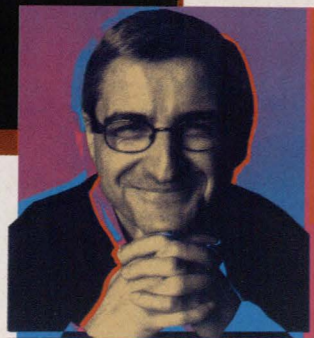
Jim Cantalupo, 60, prezes zarządu i dyrektor generalny firmy McDonald's. Zmarł nagle na atak serca podczas dorocznej konferencji McDonald's w Orlando na Florydzie, na którą przyjeżdżają właściciele barów z całego świata. W firmie pracował przez 28 lat, zaczynając od posady kontrolera. Szybko awansował. W 1985 roku został szefem McDonald's w Chicago, w 1987 roku trafił do zarządu, a od początku 2003 roku zaczął kierować całym przedsiębiorstwem. Był powszechnie szanowany i chwalony za wyprzedzenie na prostą firmy, która wcześniej borykała się z trudnościami finansowymi.

FOT. BALLESTEROS/EFE/PAP, CAF/ADM, JEAN MARC GIBOUX/GETTY IMAGES/EAST NEWS, ZANKS

a właściwie
to...

JACEK KOWALCZYK

Obryzgni



Czy „Wprost”, którego pierwszy numer ukazał się w grudniu 1982 roku, powstał za pieniądze KGB? Jak się dowiedzieliśmy z pewnych źródeł, nic nikomu o tym nie wiadomo. Nawet wieloletni rezydent sowieckiego wywiadu w Polsce potwierdził, że też nic o tym nie słyszał. A jednak mówi się... albo pisze się..., co się chce. Przynajmniej taki pomysł ma rzeczony „Wprost”.
W numerze z zeszłego tygodnia już na okładce postawiono pytanie: „Czy Jan Rokita żyje z absolwentką kursu KGB?”, by wewnątrz wyjaśnić, że tak naprawdę chodzi o plotkę kolportowaną przez jakiegoś posła i powtórzoną (ku przestrodze?) Janowi Rokicie przez szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego

Andrzeja Barcikowskiego. Nie mam zamiaru stawiać skompromitowanego zbyt częstym użyciem pytania: „Komu to służy?”. Rozumiem, że służy to głównie zabawie i przyciągnięciu uwagi czytelnika. W końcu tekst znalazł się w rozrywkowej części pisma i podpisany jest przez świetnych skądinąd prześmiewców naszego politycznego światka. Tyle że w takiej wersji (z tytułem na okładce) to już nie jest tylko głupia zabawa. „Wprost” z rozmachem walnęło w czyjąś kupę, bezmyślnie licząc na to, że uniknie obryzgnięcia. A ochlapało wszystkich. Czytelników i dziennikarzy. Nic już nie pomoże poważniejszy ton w kolejnym wydaniu pisma. I tylko dlatego krytykuję kolegów z konkurencji. Ostrą reprymendę w tej sprawie

zamieściła też zesłopiátkowa „Gazeta Wyborcza”. Już miałem zrezygnować z poruszania tematu, gdy zdałem sobie sprawę, że w tym samym numerze „Gazety” mamy do czynienia z bardzo podobną sytuacją. Dziennik (zaczynając notką na pierwszej stronie!) opisuje sprawę domniemanego udziału litewskich koszykarzy w mordowaniu Żydów w 1941 roku. Punktem wyjścia jest program TV w amerykańskiej stacji sportowej. „Gazeta” postępuje formalnie według wszelkich reguł: opowiada, co było w programie, prosi o komentarz osoby z autorytetem. Jedna z nich mówi: „Historii nie można udowodnić, ale nie można też zdementować”. No właśnie! To tak jak z tą głupią plotką. Co chcieli, a co osiągnęli redaktorzy „Gazety”, publikując obszerny materiał na temat nierzetelnego programu w amerykańskiej TV? Każdy z czytelników wymyśli własną interpretację, na ogół pewnie niepocholebną dla „Wyborczej”. Media znalazły się w pułapce własnej racji istnienia – musimy relacjonować, co się dzieje, kto co mówi. Więc przy okazji upowszechniamy insynuacje, półprawdy i zwykłe kłamstwa, którymi chętnie posługują się nie tylko politycy. Zapominamy, że odwrotną stroną wolności słowa jest odpowiedzialność za słowo. Jakkolwiek górnolotnie to brzmi, jest prawdą. Możemy, ale nie o wszystkim musimy pisać. Nie bądźmy niewolnikami własnej wolności.

JACEK KOWALCZYK

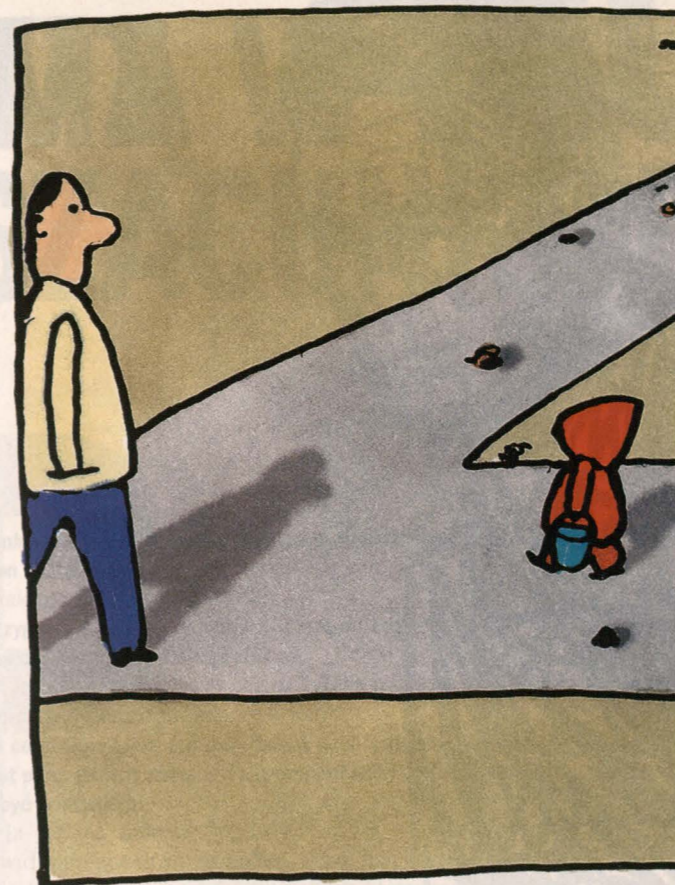
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO „P”

MACIEJOWSKI



© MARCIN MACIEJOWSKI/METIER-KAENER GALLERY

raczej RACZKOWSKI



WMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

Na pewno nic już nie zepsuje,
ale też niewiele naprawi.
Bo mimo że sytuacja
dojrzała do działań
niekonwencjonalnych i szybkich
– prezydent nie znajduje
w sobie ani grama rewolucjonisty.
Z ALEKSANDREM KWAŚNIEWSKIM
rozmawia Piotr Najsztab

ILUSTROWAŁ CYPRIAN KOŚCIELNIAK



Z WZRYTĄ W MUZEUM SZACUNKU DLA REGUŁ

Panie prezydencie, mam dla pana propozycję pracy. Może by pan został publicystą „Przekroju”. Co pan na to?

– Jak pan to sobie wyobraża?

Rezygnuje pan z prezydentury i pisze do mnie co tydzień artykuł na dwie kolumny. Dobrze zapłacę.

– Ciekawa propozycja, a czy to byłoby możliwe dopiero po zakończeniu przeze mnie urzędowania?

Po co czekać? Pan ma duży talent publicystyczny, analityczny, to jest pana główny nerw, a nie prezydentura! Pan już dawno przestał być politykiem!

– Ja też się martwię czasami tym, że większość moich przewidywań i ocen się sprawdza. A jak pan chce zapytać, czy nie brakuje mi umiejętności zmieniania biegu wydarzeń politycznych, to oczywiście...

Nie tyle umiejętności, co ochoty chyba panu brakuje.

– Ochoty mi nie brakuje. To miejsce prezydenta w polskim systemie jest takie, że on bardziej może sugerować, proponować, niż czynić.

Reguły konstytucyjne znamy, ale poza nimi jest jeszcze spore pole do działania. Z podziwem na przykład patrzę, jak pan ciuła zaufanie publiczne, jak jest pan cały czas na szczycie rankingów, tylko nie bardzo rozumiem, po co pan to robi? Dla własnego samozadowolenia? Nigdy pan nie skorzystał z tego kredytu społecznego. Nie zawalczył pan na przykład, odwołując się do opinii społecznej, o odpolitycznienie mediów publicznych.

– Po pierwsze, nie ciułam punktów w sondażach. Jeżeli coś mnie cieszy w związku z tak wysokim poziomem poparcia, to fakt, iż mimo podejmowania niełatwych decyzji, które choć leżą w interesie państwa, to są niepopularne – udało się właśnie prezydenturę ulokować wśród tych instytucji państwa, do których jest zaufanie i szacunek. Po drugie, kilka razy użyłem swojej popularności, żeby przeprowadzić trudne operacje: referendum konstytucyjne w 1997 roku, referendum europejskie. I kilka razy dla ustabilizowania rządów, które przeżywały kłopoty, ale musiały działać.

Ale nigdy nie zaangażował się pan w naprawianie doraźne, naprawianie ważnych instytucji, na przykład mediów publicznych.

– Oczywiście, że się zaangażowałem. Nie doszłoby do tej zmiany, gdyby nie moje zaangażowanie.

A do czego doszło?

– Jednak telewizja się zmieniła, i to w drodze konkursu wyłaniającego zarząd. To, że zawsze na końcu drogi pojawia się jakiś układ polityczny, to, niestety, nadal świadczy o chorobie, tylko nie wiem, czy to jest choroba polska, czy ogólnoswiatowa.

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI URODZIŁ SIĘ 15 LISTOPADA 1954 R. W BIAŁOGARDZIE. STUDIOWAŁ NA WYDZIALE EKONOMIKI TRANSPORTU UNIWERSYTETU GDAŃSKIEGO, ALE STUDIÓW NIE UKOŃCZYŁ. W LATACH 70. BYŁ WE WŁADZACH SOCJALISTYCZNEGO ZWIĄZKU STUDENTÓW POLSKICH. W LATACH 1981–1984 PEŁNIŁ FUNKCJĘ REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA „ITD”, OD 1984 DO 1985 ROKU – DZIENNIKA „SZTANDAR MŁODYCH”. W RZĄDZIE ZBIGNIEWA MESSNERA BYŁ MINISTREM DS. MŁODZIEŻY (1985–1987), A DO CZERWCA 1990 ROKU – PRZEWODNICZĄCYM KOMITETU MŁODZIEŻY I KULTURY. W RZĄDZIE MIECYSŁAWA RAKOWSKIEGO PRZEWODNICZYŁ KOMITETOWI SPOŁECZNO-POLITYCZNEMU RADY MINISTRÓW. UCZESTNICZYŁ W OBRADACH OKRĄGŁEGO STOŁU. CZŁONEK PZPR, POTEM SDRP. WSPÓTWORZYŁ SOJUSZ LEWICY DEMOKRATYCZNEJ. JAKO POSEŁ PRZEWODNICZYŁ KLUBOWI PARLAMENTARNEMU SLD. JEST PREZYDENTEM OD 1995 ROKU. DRUGA KADENCJA JEGO PREZYDENTURY KOŃCZY SIĘ W GRUDNIU 2005 R.

Ale pan mógłby to przerwać.

– W jaki sposób?

Na przykład mógłby pan codziennie o tym mówić, krzyczeć wręcz do polityków, żeby się władzy nad mediami publicznymi wyrzekli.

– Pan potrzebuje działań spektakularnych...

Bo są skuteczne.

– Nieprawda. One są jak zapalka, której ogień zabyśnie, a później już nikt o tym nie pamięta. Naprawdę skuteczne są te działania, które można zakotwiczyć, które znajdują swój fundament w obowiązujących regułach. Jeżeli coś po tych dziewięciu latach uważam za słabość urzędu prezydenckiego, to to, że za mało mam instrumentów kreowania rzeczywistości. Nie chodzi mi tu o codzienne wpływanie na politykę, bo to by całkowicie zmieniło system polityczny w Polsce, do czego nie jesteśmy w ogóle przygotowani. Układ prezydentcko-rządowo-parlamentarny musi jeszcze potrwać, zanim ukształtuje się albo bardziej parlamentarny, bo będzie bardziej ustabilizowany parlament, albo bardziej prezydencki, bo taka będzie potrzeba...

Może nie ma na co czekać, któraś ze stron musi narzucić innym...

– Nie, musimy do tego dojrzywać. Dzisiaj największym argumentem za wzmocnieniem roli prezydenta jest kłopot z parlamentem. Byłem przekonany, że po kilkunastu latach demokracji dojdziemy do europejskiego układu parlamentarnego, z silną lewicą, z partią ludowo-konserwatywną, czyli chadecką, po drugiej stronie, że będziemy mieli jakieś ugrupowanie liberalne w środku i jeszcze tradycyjną partię chłopską, o takim charakterze narodowym.

Na takie dojrzenie się nie zanosi. Zanim dojrzelśmy, zgnilśmy.

– Nie, to takie za łatwo rzucane tezy, bez pokrycia! Mamy ewidentne wyczerpanie niektórych mechanizmów, a nawet – już trzymajmy się tego słowa – procesy gnilne, ale poza tym wiele elementów rozwojowych, o których się nie pisze, bo są trudne do opisania. Nie można dzisiaj powiedzieć o polskiej gospodarce, że jest w stanie zapaści!

Zacytuję panu „Nie”: zadłużenie zagraniczne wzrosło od czasu rządu Millera o prawie sto procent, rzeczywiste bezrobocie wzrosło o 10 procent, wpływy z VAT wzrosły o 20 miliardów złotych, co oznacza, że jesteśmy coraz bardziej fiskalni, a wpływy z podatków od firm zmalały o 50 procent. Pan często mówi: „Nie popadajmy w czarnowidztwo”, a chyba czas się obudzić, panie prezydencie.

– Mógłbym dyskutować z tymi danymi, ale przede wszystkim ze zdumieniem widzę, że już nie dość, że „Nie” jest autorytetem w sprawach aferałnych, to jest teraz autorytetem od spraw ekonomicznych!

To dawny pański kolega partyjny, namawiam do umiaru w krytyce, panie prezydencie. A poza tym, czy gdyby to nie były dane opublikowane u Urbana, tylko w innej gazecie, to coś by to zmieniło?

– Dzisiaj „urbanizacja” polskich mediów postąpiła tak głęboko, że rzeczywiście zaczyna się cytować „Nie” jako autorytet ekonomiczny. Ten rząd za chwilę odejdzie i nawet z przyzwyczajenia należy pokazać drugą stronę medalu, że ze stagnacji ekonomicznej wchodzimy w rozwój na poziomie sześciu procent, co będzie oznaczało również i więcej miejsc pracy, że udawało się utrzymać duży eksport, że mamy ustabilizowane finanse, inflacja jest niska, złoty jest wymierny i przewidywalny.

A może Polska jest takim krajem, gdzie wskaźniki makroekonomiczne nie przekładają się na codzienność. Nie spada bezrobocie, społeczeństwo nie ma szans odczuć dobrodziejstw rządów Millera.

– Bo to jest efekt odłożony. Jeśli zaś chodzi o bezrobocie, to właściwość współczesnej gospodarki polega na tym, że jej rozwój odbywa się bez konieczności zatrudniania ludzi. Czarnowidztwo czy uznawanie, że Polska jest krajem stojącym na skraju przepaści, jest grubą przesadą, a poza tym buduje nastrój pesymizmu, który z kolei staje się usprawiedliwieniem dla braku aktywności, dla różnych przekrętów. Bo jak jest tak źle, do niczego, no to właściwie hulaj dusza, piekła nie ma! Ta filozofia jest zabójcza!

Myslił pan, że ta filozofia zdecydowała, że rząd rękami ministra skarbu, pana Kaniowskiego, zgodził się na przejęcie kontroli nad Orlenem przez akcjonariusza mniejszościowego, czyli Jana Kulczyka?

– To jest gruba przesada w interpretacji. Nie twierdzi, że przewodniczącym rady nadzorczej powinien być przedstawiciel akcjonariusza mniejszościowego, ale przecież ta rada nadzorcza podejmuje decyzje większością głosów, gdzie skarb państwa ma nadal odpowiednią ich liczbę – w stosunku do swoich udziałów.

Nie widzi pan w tej całej rozgrywce złego działania rządu, który mimo nawoływań swojej partii, opozycji, kandydata na premiera Marka Belki śpieszy się zdecydować o losie największego polskiego koncernu paliwowego?

– Ten rząd nie powinien rozpoczynać „nowych tematów”. Natomiast nie mogę powiedzieć rządowi, żeby nie wykonywał swoich uchwał sprzed roku – chodzi o stworzenie wraz z węgierskim MOL-em środkowoeuropejskiego koncernu paliwowego. Rząd sam wcześniej wybrał taką strategię i raczej powinniśmy pytać, dlaczego rząd tak opieszale realizuje swoje decyzje sprzed roku. A jeżeli odkłada czy rezygnuje, to niech wyjaśni dlaczego.

Panie prezydencie, czy są w Polsce oligarchowie?

– Na pewno w Polsce mamy grupę ludzi biznesu, którzy stworzyli potężne firmy i którzy pośrednio czy bezpośrednio są zainteresowani polityką.

Ale czy są na tyle mocni, że państwo musi się z nimi liczyć?

– Słowo „oligarchowie” mnie się kojarzy z Rosją i gdybym miał porównywać tych tak zwanych polskich oligarchów i rosyjskich, to o czym my dyskutujemy!? Protestuję przeciwko takiej metodzie myślenia, że ludzie, którym nigdy nie udowodniono, iż ich działalność biznesowa jest niezgodna z prawem, i którzy osiągnęli sukcesy, traktowani są jak czarne owce czy jakies podejrzane typy. To byłoby w istocie przekreślenie całej rewolucji rynkowej, którą rozpoczęliśmy w 1990 roku. Mijamy trochę szacunek dla ludzi, którzy zdecydowali się na taką działalność i mają osiągnięcia.

Polskim oligarchom zarzuca się układy z politykami prowadzące do sukcesów w biznesie.

– Kapitalizm ma właśnie taką cechę – jest styk biznesu i polityki. Wszyscy mają z tym kłopot, ale nie da się oddzielić murem tych dwóch światów.

A może te dwa światy w Polsce nawzajem trzymają się w klinchu, za bardzo zależą jeden od drugiego? Żadna ze stron nie

Biznesmeni budują wolny rynek i kapitalizm. Takich ludzi potrzebujemy. Trzeba do nich mieć szacunek, nie wolno ich niszczyć. Dla mnie lista „dziesięciu najbardziej nienawidzonych”, bogatych, ludzi sukcesu, wydrukowana w „Newsweeku”, była zwyczajnym skandalem



W całym życiu politycznym i administracyjnym mamy taki syndrom reprezentacji piłki nożnej: trzeba grać, a nie za bardzo jest kim

uzyskała przewagi i muszą ze sobą pertraktować, zawierając nie-dobre dla wszystkich kompromisy. Może oddać już tym oligarchom władzę, w końcu są to prawdziwi ludzie sukcesu, i mieć z tym „stykiem” wreszcie święty spokój?

– To jest zbyt naiwne, dlatego że w pewnym sensie ten kliniec jest też częścią równowagi. Pańska propozycja właściwie brzmi: nie wybieramy parlamentu, niech stu najbogatszych nami rządzi!

Może to jest dobry pomysł.

– To jest zła koncepcja, święty polityki i biznesu muszą żyć według osobnych reguł. Biznesmeni budują wolny rynek i kapitalizm. Takich ludzi potrzebujemy. Trzeba do nich mieć szacunek, nie wolno ich niszczyć. Dla mnie lista „dziesięciu najbardziej nienawidzonych”, bogatych, ludzi sukcesu, wydrukowana w „Newsweeku”, była zwyczajnym skandalem.

Wróćmy do rządów biznesu. Niektórzy publicyści mówią, że oni i tak już współrządzą, bo to ta setka najbogatszych wywiera tak wielki wpływ na polskie życie gospodarcze i polityczne. Może zamienimy chory kapitalizm polityczny na czysty kapitalizm?

– To jest nieprawda, że oni współrządzą. Mogą się troszczyć, co jest naturalne, o te ustawy czy regulacje prawne, które dotyczą ich rynku. Sądzę nawet, że są gotowi walczyć z politykami o zachowanie swoich interesów, na przykład wobec napływu zagranicznego kapitału czy konkurencji. Jednak parlament jest wyłaniany demokratycznie i naprawdę wyborcy decydują o tym, kto tam jest. Mamy niezależne instytucje: bank centralny, giełda – oceny tych instytucji w świecie są bardzo wysokie. Mamy banki i ich normalną politykę kredytową, która się odbywa według umowy między klientem a tym bankiem. Natomiast co zrobić, żeby stan instytucji państwa był lepszy, i co zrobić, żeby trafiali tam ludzie bardziej moralni i lepsi, żeby nie było...

Nie mamy takich.

– To jest bardzo istotne pytanie i trzeba z całą stanowczością powiedzieć, że to jest nasz główny problem. Takich ludzi mamy za mało, po drugie, my takich ludzi nie szanujemy. Po trzecie, nie tworzymy wzorów. Po czwarte, nie dajemy im czasu, żeby mogli się odpowiednio wykształcić, przygotować. W całym życiu polityczno-administracyjnym mamy taki syndrom reprezentacji piłki nożnej: trzeba grać, a nie za bardzo jest kim. Poważnym problemem jest to, że administracja przez 15 lat nie zapewniła sobie dopływu wykwalifikowanej kadry, która byłaby ceniona, szanowana, a nie zmieniana po każdej wymianie ekipy na szczytach władzy.

Rękę do tego przyłożył też premier Miller, pański niegdysiejszy kolega partyjny, który obsadzał administracyjne stolki kolegami kolegów, ignorując ustawę o służbie cywilnej. Nie słyszeliśmy wtedy pańskiego krzyku w obronie tej służby.

– Nie krzyczałem, dlatego że uważam, że mądrej głowie dość dwie słowie. I prowadziłem na ten temat rozmowy z premierem Buzkiem, a później z Leszkiem Millerem. Sam Miller, w kampanii w 2001 roku, używał takiego określenia: „My dobrze wiemy, że nie wszystkie orły są pod naszym dachem”. To dla mnie była zapowiedź tego, że będą sięgać po ludzi dobrych, kompetentnych. Jednak nastrój triumfu politycznego SLD w roku 2001 był tak silny, że powtórzono błąd AWS.

Znowu odzywa się w panu publicysta analityk. A pytam pana jako prezydenta, który widząc, co się dzieje, nie ogłosił publicznie: urzędnicy, moja służbo cywilna, jeżeli gdzieś wam się dzieje krzywda, przychodźcie do mnie z każdą sprawą, ja będę interweniował, bo korpus cywilny jest najważniejszą rzeczą w tym kraju!

– To prawda. Przysnaję, że za bardzo wierzyłem w siłę argumentacji i perswazję, wierzyłem, że takie błędy nie zostaną popełnione. Muszę jednak jeszcze raz przypomnieć, że wpływam

na rzeczywistość, staram się ją stabilizować, na ile to jest możliwe. Jednak muszę respektować reguły, bo prezydent, który nie respektuje reguł, staje się zarzewiem konfliktu. Kiedy słucham pana i innych pańskich kolegów, którzy mówicie: powinien pan coś, jakoś zrobić, zapobiec. Rozmawiamy konkretnie: co? Rozwiązać parlament – niemożliwe, odwołać rząd – nie ma mechanizmu. Co zostaje? – przekonywać. To czyniłem.

Ale nie ogłosił się pan obrońcą tego korpusu, a to by nie było niezgodne z konstytucją.

– Przecież takie deklaracje padały i ze strony ministra spraw wewnętrznych, i premiera! Czy ktoś kiedykolwiek ogłosił, że zniszczy korpus cywilny? Zawsze w słowach jest najwięcej szacunku dla korpusu, a praktyka bywała inna.

Mam wrażenie, że pan z tego wyjechał, z prezydentury, zrobił Muzeum Szacunku dla Respektowania Reguł.

– Bardzo ładnie pan to nazwał. Może nie muzeum, ale przystań dla takiego szacunku oczywiście tak.

I widzę, że pan do końca swojej drugiej kadencji nie wykorzysta już tego zaufania, które pan ma, tylko będzie się w nim tak kąpał i kąpał, jak w mleku kozim.

– Namawia mnie pan do rewolucji, do której pan mnie nie mówi. I ze względu na konstytucję, i ze względu na mój charakter, bo ja rewolucję uważam za błąd. Natomiast weszliśmy niewątpliwie w jakiś szczególny okres, kiedy można zaryzykować z rządem fachowców, ludzi, którzy nie są bezpośrednio uwikłani w działalność partyjną czy polityczną. Będę próbował przekonać siły polityczne do zaakceptowania takiego rządu.

Pan jeszcze wierzy, że te znane karty jeszcze można przetasować, inaczej rozdać i to może coś przynieść. Ja w to już nie wierzę, więc zostawmy ten temat.

– To jest ważne, co pan powiedział, tylko niekonsekwentne. Uważam, że mamy moment, w którym powinno nastąpić naturalne wycofywanie się z polityki dotychczasowych graczy, oni sami są już chyba znużeni tymi flagami, pod którymi od lat maszerują. Powoli ustępują miejsca, w tę pustkę niewiele nowego wchodzi. Posiłem, namawiałem, apelowałem, żeby przy okazji wyborów europejskich stworzyć listę obywatelską, która zebrałaby takich ludzi, którzy już tej starej polityki mają dosyć, ale jednocześnie chcą się zaangażować w tę nową. I nikt nie był tym zainteresowany. Ale ten proces jest nieunikniony, już wybory w 2005 roku będą przełomowe, a w 2009 roku ten proces się zakończy.

Piękną pan nakreślił perspektywę, ale moim zdaniem – jeśli chodzi o przyszłość – to da nam pan kobietę, niepolityka, własną żonę, jako ewentualnego prezydenta.

– Nie, to ja pana uspokajam. Myślę, że ten scenariusz jest po prostu nierealny. Oczywiście to będzie decyzja mojej żony. Wystąpię tu jeszcze raz jako nieskromny prorok.

Ale to pan ponosi winę za to, że Polacy myślą, że prezydent nie musi być politykiem, może być kobietą niepolitykiem, dziennikarzem niepolitykiem – musi tylko być stabilny i przewidywalny. No i nie robić nam wstydu w świecie.

– Pan źle odczytuje mój sposób na prezydenturę. Prezydent oczywiście jest politykiem, nie da się prezydentury oderwać od polityki, ten, kto myśli inaczej, głęboko się myli. Po tych prawie dziewięciu latach uważam natomiast, że formuła prezydentury ponadpartyjnej jest dla Polski jedyną szansą, bo partyjniactwa jest wystarczająco dużo.

Że apartyjni to dobrze, ale dlaczego apartyjni?

– Ależ walczę, proszę pana! Gdyby tylko pan zechciał zobaczyć, ile spraw już wywalczyłem. Przecież nam się udało, mimo tego całego...

Wiem, wiem, referendum konstytucyjne, europejskie...

– Nie o to nawet chodzi.

Ale tu się państwo rozpada!

– Nic się nie rozpada! Co się rozpada?! Za chwilę jesteśmy w Unii Europejskiej!

I równocześnie dowiadujemy się, że premier wysłał Urząd Ochrony Państwa, żeby usunąć niewygodnego menedżera.

– Ale przecież na pewno pan tego nie wie.

Usłyszałem to od byłego ministra tego rządu! Pan w to nie wierzy?

– Uwierzyłbym, gdyby on to powiedział i zaprotestował przeciwko temu w roku 2002, czyli wtedy, kiedy się to jego zdaniem zdarzyło. Musiało minąć sporo czasu, żeby to sobie przypomniał.

Może trzeba było czasu, żeby odczuł skrucę.

– Mam nadzieję, że to skrucza, a nie zemsta.

Może zemsty, ale jest mi, szczerze mówiąc, wszystko jedno, z jakich pobudek ludzie władzy odkrywają jej śmierdzące tajemnice. Może, jeśli chodzi o prawdę, możemy już tylko liczyć na zdracców polityków?

– Gdyby tak było, to byłaby to tragedia, jeżeli moglibyśmy tylko liczyć na nich, to dopiero psulibyśmy standard życia publicznego, społecznego, międzyludzkiego!

Ale przynajmniej prawda jakaś wyjdzie na jaw.

– Za taką prawdę, która wychodzi po latach i tylko wtedy, kiedy nastąpi się jakiegoś politykowi na odcisk, to ja dziękuję!

A ja bardzo o nią proszę!

– Bo pan jest dziennikarzem!

Ale przynajmniej się czegoś dowiem!

– Ale pan się dowiaduje często zafałszowanych rzeczy, bo frustracja czy chęć rewanżu powodują również częściową ślepotę. Oczywiście błędem jest, kiedy się o czymś nie mówi z powodu źle rozumianej lojalności, a to jest problem wielu partii, to jest lojalność, która prowadzi do katastrofy. Natomiast struktury polityczne i struktury władzy powinny być na tyle zdrowe, że o takich rzeczach się mówi od razu i jawnie. A przez to, że się o tym mówi, nie mogą być zrealizowane. Że nie nasyła się UOP, kiedy się chce zrealizować cele polityczne. A jeżeli ten fakt miał miejsce w roku 2002, to trzeba go było ujawnić w roku 2002, bobyśmy już byli zdrowsi w roku 2003 i 2004!

A jak już jesteśmy przy prawdzie, to czy brał pan udział w opisanych przez prasę nadradach, kto ma zostać szefem rady nadzorczej Orlenu? Popierał pan kandydaturę Kluczyka?

– Nie popierałem. Zgadzałem się ze stanowiskiem ówczesnego ministra skarbu Wiesława Kaczmarska. On przede wszystkim mnie informował i przedstawiał swoje koncepcje.

Akcja UOP wobec byłego prezesa Orlenu nie była jedyną akcją państwa przeciw obywatelowi. Przypomnijmy sprawę prezesa Optimusa, którego próbowała zniszczyć administracja skarbowo...

– Po pierwsze, państwo musi chronić prawa i chronić obywateli.

To są truizmy.

– To nie są truizmy, państwo ma tak działać. A jeżeli są nadużycia władzy czy poszczególnych urzędników, to one muszą być nazwane, muszą być opisane.

Ale żyjemy w kraju, w którym urzędnicy są bezkarni!

– Mam nadzieję, że ci urzędnicy z izby skarbowej, którzy według wszystkich znanych już faktów niesłusznie oskarżali pana Kluskę, poniosą odpowiedzialność.

O czym pan mówi? Nawet nagród, które dostali za „złapanie” Kluski, nie musieli zwrócić.

– Skorzystam z „Przekroju”, żeby powiedzieć, że liczę na to, że konsekwencje będą wyciągnięte. Nie ma niczego gorszego jak urzędnik, który działa przeciwko obywatelowi, i jeszcze niezgodnie z prawem.

Panie prezydencie, zaskoczyło pana to, że raportem komisji jest raport pani Błochowiak?

– Zaskoczyło, bo moim zdaniem to jest kontrproduktywne.

Piękne słowo, ale go nie rozumiem.

– Po prostu to było bez sensu.

Dlaczego pan tak od razu nie powiedział?

– Bo kontrproduktywne lepiej mówi o tym, że to się obróci przeciw temu raportowi i tym, którzy ten raport popierali, przyniesie skutki odwrotne do oczekiwań autorów.

A pan za którym raportem podniósłby rękę?

– Uważam, że raport przewodniczącego Nałęcza jest tym, który przedstawia fakty i nie przesadza w ocenach. Daleki jest od politycznego rewanżyzmu.

Wierzy pan w istnienie grupy trzymającej władzę?

– Nie w takim rozumieniu, jak to się zwykle mówi, że mieliśmy do czynienia z grupą, która miała cały plan precyzyjnie rozpisany i konsekwentnie go przeprowadzała. To byli ludzie zainteresowani rynkiem mediów, którzy realizowali przy tym swoje częściowe interesy, a wszystko to odbywało się w takiej atmosferze wręcz niespektowania procesu legislacyjnego.

Ale to pan na szerokie wody wypchnął Roberta Kwiatkowskiego, on pomagał w pańskiej kampanii wyborczej, dzięki czemu został potem prezesem telewizji. Czuje pan zawód w związku z jego osobą?

– Zdecydowanie tak, dlatego że liczyłem, szczególnie w jego drugiej kadencji, że skupi się na stworzeniu wzoru misyjnej telewizji publicznej. Niestety, było inaczej.

Ale nie zabiegał pan o dymisję Kwiatkowskiego.

– Muszę powiedzieć, że nie doś, że zabiegałem, to uważam, że gdyby mnie posłuchał...

Pan mu mówił: odejdz, a on odpowiadał: wypchaj się?

– Rozmawialiśmy bardziej kulturalnie, jego argumenty były bardziej „ludzkie”. Na początku poczucie niewinności: dlaczego mam się dymisjonować, skoro jestem niewinny? Po drugie, nie mogę, bo to uznane by było za przyznanie się do winy. Po trzecie, na koniec postawa znana z psychologii: jak oni mi tak, to ja im pokażę! A wreszcie słyszałem: ja się nie dam, bo walczę o honor, zostałem opuszczony, osamotniony, nikt mnie już nie broni.

Przyjaźni się pan nadal z Adamem Michnikiem?

– Myślę, że tak. Nie wiem, czy on by tak to określił, choć nasze kontakty są nieporównanie bardziej rzadkie. On był zajęty, ja byłem zajęty i może trochę też byliśmy zmęczeni tą sytuacją, tą sensacją wokół naszych kontaktów. Ale ja bardzo go cenię, uważam, że to jest jedna z najwybitniejszych postaci współczesnej Polski, niezależnie od tego wszystkiego, co się dzieje.

Mógłby być prezydentem?

– Nie.

Dlaczego?

– Bo nie ma do tego cierpliwości. Ta praca wymaga dyscypliny, cierpliwości, nawet jak się po raz setny wręcza nominacje sędziowskie czy profesorskie – to trzeba to po prostu zrobić jak najlepiej.

A pan to lubi?

– To się lubi dzięki temu, że można spotkać się z ludźmi i chwilę z nimi porozmawiać. Natomiast jeśli chodzi o całą stronę ceremonialną, to nie mogę tego uznać za osobisty moment spełnienia. To są ważne momenty dla tych ludzi. Trzeba mieć szacunek, trzeba to robić zawsze jak dobry aktor, który gra po raz tysięczny Hamleta i nie ma prawa zejść poniżej pewnego poziomu.

Panie prezydencie, co prawda namówiłem pana na tę rozmowę pod pretekstem tematu Polska a Unia Europejska, ale wolałbym o to nie pytać, bo co możemy sobie powiedzieć? Że to wspaniale, że wchodzimy, że Polska dostaje szansę...

– To niech mi pan zada inteligentne pytanie.



Uważam, że raport przewodniczącego Nałęcza jest tym, który przedstawia fakty i nie przesadza w ocenach. Daleki jest od politycznego rewanżyzmu

Pan chce mnie upokorzyć!

– Nie, chcę pana sprawdzić.

No dobrze. Nie mówmy o szansach, z których nam się uda lub nie uda skorzystać. Spróbujmy zastanowić się, czy jest jakieś ewentualne życie „po Unii”. Czy rozważa pan scenariusz rozpadu UE? Na przykład z powodu różnych reakcji państw Unii na wojnę w Iraku czy w ogóle politykę Stanów Zjednoczonych.

– Czysto teoretycznie to jest możliwe. Ale takie pytanie przypomina mi czasy, w których chodziłem z moją córką do cyrku. Kiedy linoskoczek chodził po linie, to ona, przytulając się do mnie, mówiła: „Tata! On spadnie, na pewno spadnie!”. Jak ktoś kładł głowę w paszczę lwa, to mówiła: „Odgrzyzie mu ją, odgrzyzie!”. Pan zachowuje się mniej więcej jak moja córka – to się musi rozpaść! W czasie kampanii referendalnej byłem pytany, czy będziemy mogli z Unii wyjść. Odpowiadałem: teoretycznie tak, ale mnie bardziej by martwiła sytuacja, gdyby na przykład zdecydowali się wyjść z Unii Europejskiej Niemcy czy Francuzi! To byłby rzeczywisty kłopot, bo kto by nas wtedy finansował i kto by troszczył się o jedność europejską? Uważam, że Unia Europejska się nie rozpadnie dlatego, że to będzie wielki rynek, i jeżeli w świecie globalnym Europa chce mieć znaczenie, to musi stworzyć jeden organizm, który mógłby być partnerem dla Ameryki Północnej, dla Chin.

Nie sądzę, żeby również sprawa iracka tak istotnie podzieliła Unię, bo jeżeli Amerykanie doprowadzą 30 czerwca do przekazania władzy Irakijczykom, to będzie to w duchu myślenia europejskiego. Poza tym Europa nie może się wycofać z tamtych regionów, bo tam rozstrzyga się nasze bezpieczeństwo, tam dokonuje się spotkanie religii i cywilizacji, tam jest ropa i gaz i w końcu tam są prawdziwe pieniądze.

A co będzie, jeżeli następnym prezydentem Stanów Zjednoczonych nie będzie pana kochał?

– Zobaczymy. A cóż to ma do rzeczy? Polskę i tak będzie musiał traktować jako poważnego partnera, tym bardziej że strategicznie polityka amerykańska się nie zmienia.

W Stanach jest pan postrzegany jako prezydent europejskiego kraju bardzo emocjonalnie związany z Bushem, popierający go.

– Tak samo było z Clintonem, a po wyborach ktoś taki jak Bush, antyclintonista, uczynił co najwyżej parę uszczypliwych uwag o relacjach Clinton – Polska, przecież nigdy ich nie zakwestionował. Kerry tej polityki zasadniczo nie zmieni, ale gdyby nawet nie miał wielkich chęci do kontaktów ze mną, no to raptem popracujemy razem tylko rok. On zostanie – jeśli wygra – prezydentem w styczniu, a ja kończę w grudniu, więc to sprawa 11 miesięcy.

Myśli pan, że prezydenta Leppera by polubił?

– To dla mnie zagadka.

A potrafi pan sobie wyobrazić Andrzeja Leppera urzędującego w tym pałacu? Jak się przechadza rumiany po złotych salach?

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Natomiast są w życiu narodów takie epizody, które trzeba przeżyć. My niewątpliwie jakiś incydent populistyczny musimy przeżyć.

Zamknijmy oczy i zaciśnijmy zęby, i szybko to przeżyjmy?

– Byłoby tylko dobrze, żeby to był incydent na poziomie dwudziestu pięciu, dwudziestu paru procent poparcia społecznego, a nie więcej.

Ale, panie prezydencie, już tak po ludzku... Lepper przechadza się po Pałacu Namiestnikowskim, kąpie się w pańskiej wannie...

– Naród wybierze. Ale to nie byłby mój sukces... Chyba więcej. To byłoby dla mnie bardzo przykre.

Borys Goldman odbiera rosyjską nagrodę Media Manager za rok 2003



Fot. VALERY LEVITIN/KOMMERSANT/EAST NEWS



ZABÓJCZA REKLAMA



W Moskwie zginął szef jednej z najbardziej znanych agencji reklamowych Rosji. To już szóste zabójstwo w wojnie urzędniczych mafii, które chronią firmy reklamowe



Fot. NFO (4)

Z lewej: Płonące volvo Goldmana i rozbity motocykl zamachowca. W dachu samochodu widoczna wyrwa po bombie

Obok: Kadry z telewizyjnej reklamy Nivei nakręconej przez NFO. Pokazywano ją również w Polsce

no go „z powodu upływu terminu śledztwa”. Trzy lata temu złapano go w pobliżu miejsca kolejnego wybuchu i ponownie zwolniono. Obecnie prokuratura uznała Mamurkina za „poszkodowanego i świadka”. Gdy dziennikarze zapytali go, jakim cudem tyle razy był w pobliżu miejsc zamachów, odpowiedział krótko: – Mam złą karmę.

WOJNA „DACHÓW”

Ludzie z branży reklamowej nie wierzą, by Goldman padł ofiarą Spektora albo któregoś z rozszluszczonych klientów. – To wojna pomiędzy „kryszkami” poszczególnych firm reklamowych – mówi jeden z nich.

„Krysza” – po rosyjsku „dach” – to wysoki urzędnik państwowy lub cała ich grupa, która w zamian za haracz ochrania daną firmę przed bezprawiem innych urzędników. Dobrowolna lub przymusowa „opłata” sięga do 25 procent zysków. Jak mawiają w Moskwie, „urzędnik to u nas najbardziej dochodowy biznes”.

„Krysze” pojawiły się w Rosji po rozpadzie ZSRR. Branża reklamowa miała je od początku, bo zawsze była związana z politykami. Teraz „krysze” firm reklamowych zaczęły walkę o dominację. Sprowadza się ona do tego, że jeden klan pozbawia drugi źródeł haraczu. Czyli zabija biznesmenów, którzy je płacą. Ci, którzy przeżyją, zarabiają więcej. I płacą więcej za „ochronę”.

Kim są ludzie, których wpływy otwierają milicyjne areszty i zapewniają nietykalność zabójcy? „W ostatnich czasach z biznesmenami, którzy nie chcą się dzielić pieniędzmi, nie rozmawiają już »ludzie z miasta«, ale ludzie w pagonach – napisał jeden z komentatorów na stronie Grani.ru. – I nagle taka eksplozja. Pojawia się mnóstwo pytań. Większość należy kierować do Łubianki [siedziba rosyjskiego kontrwywiadu – przyp. red.], która prawie jawnie »kryszkuje« najbardziej dochodowym częściom stołecznego biznesu”.

ANDRZEJ ŁOMANOWSKI

Jak gruchnęło, to pomyśleliśmy, że to salwa honorowa z okazji Dnia Kosmonauty – mówią mieszkańcy domu przy ulicy Ulianowa, w którym w ubiegły poniedziałek wyleciały wszystkie szyby. Chwilę wcześniej nieopodal kamienicy zatrzymało się opancerzone volvo S80. Gdy kierowca czekał na zielone światło, z tyłu podjechał motocyklista i położył na dachu volva dyplomatkę. Teczka eksplodowała, zanim zdążył odjechać, a siła wybuchu rzuciła 24-letniego motocyklistę na chodnik po przeciwległej stronie ulicy. W samochodzie splonęli żywcem kierowca, ochroniarz i 39-letni Borys Goldman, założyciel najstarszej firmy reklamowej w Moskwie. Wybuch rozerwał tajną skrytkę za tylnym siedzeniem, z której wyleciało 70 tysięcy dolarów w studolarowych banknotach.

MORDUJĄ ŻOŁNIERZE

Borys Goldman założył firmę reklamową NFO 12 lat temu. Dziś jest to jedna z niewielu nowych rosyjskich firm, które przetrwały lata 90. Jej roczny obrót wynosi około 20 milionów dolarów, a wśród klientów są takie marki jak Mercedes-Benz, Nivea i Bosch. – NFO nie jest dziś zaliczana do największych agencji reklamowych w kraju, ale należy do pierwszej dwudziestki – mówi człowiek z rosyjskiej branży reklamowej.

W samej tylko Moskwie działa około 90 firm reklamowych, których roczny obrót wynosi od

jednego do 112 milionów dolarów. To łakomy kęs zarówno dla biznesmenów, jak i ludzi żyjących z „ochrony” firm. W ciągu ostatnich dwóch lat w ośmiu zamachach zamordowano sześciu szefów rosyjskich firm reklamowych. Pierwszy zginął w 2002 roku Władimir Kaniewski, właściciel jednej czwartej tablic reklamowych w Moskwie. Kolejni ginęli raz na kwartał.

Milicja złapała sprawców tylko jednego zamachu. Michaiła Tkaczewa, szefa należącej do Ruperta Murdocha agencji News Outdoor, zamordowało pięciu żołnierzy ro-

syjskich wojsk wewnętrznych. Prokuratorowi nie udało się już jednak ustalić, kto zlecił zabójstwo.

MAM ZŁĄ KARMĘ

Goldman wiedział, że zabójcy na niego polują. W październiku ubiegłego roku na tej samej ulicy przeżył pierwszy, nieudany, zamach. – Prokuratorzy powiedzieli wtedy mojemu synowi, że sam go sfingował, by mieć powód do rozejścia ze zniechęconym współnikiem – wspomina matka reklamowego magnata.

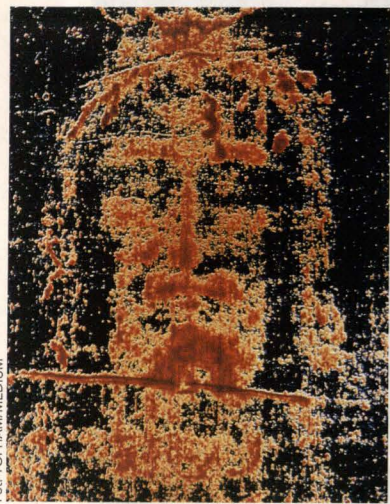
Kilka miesięcy wcześniej Aleksander Spektor założył własną firmę AdPeople, przejmując większość kontraktów Goldmana. Mimo kłopotów Goldman zdobył w 2003 roku tytuł Menedżera Roku w branży reklamowej. Obawiał się o życie. Nie mógł liczyć na policję, więc wzmocnił prywatną ochronę i wynajął opancerzone volvo za 800 dolarów dziennie. Ale i to nie pomogło.

Siła wybuchu uszkodziła pięć innych samochodów. W stojącym przed volvo żiguli wyleciała tylna szyba. Jego kierowca powie-

dział milicjantom, że widział jakiegoś człowieka, który po eksplozji szybko odszedł. Ale jeden z milicjantów zobaczył w zdemolowanym żiguli krótkofalówkę. Taką samą miał przy pasie zamachowiec. Były nastrojone na tę samą częstotliwość.

Na posterunku okazało się, że kierowca to 39-letni Władimir Mamurkin, były saper wojsk powietrznodesantowych i weteran Afganistanu. 10 lat wcześniej siedział już w areszcie za zbudowanie bomby użytej w jednym z zamachów w Moskwie. Zwolnio-

Fot. ALBERT GARNELIS/TASS/FORUM



Fot. TOPHAM/MEDIUM



Dwie strony całunu turyńskiego. Po lewej poddana komputerowej obróbce wewnętrzna, eksponowana do tej pory strona wizerunku. Po prawej – zewnętrzna strona tego samego odbicia. Niebieską linią zostały zaznaczone te fragmenty, które zdaniem naukowców różnią obydwie obrazy

Fot. FRANCO PANELBY/COURTESY OF MAGAZINE „JOURNAL OF OPTICS”/EPA-PAF/FORUM

CAŁUN STAWIA PYTANIA

Najnowsze odkrycie włoskich naukowców potwierdza najbardziej sensacyjną wersję powstania całunu. To efekt działania nieznannej energii

Kolejne badania całunu, których wyniki opublikowano w najnowszym numerze „Journal of Optics A”, mnożą znaki zapytania. Nie rozwiązują najbardziej intrygującej zagadki. Do kogo należy odcisnięty na płótnie wizerunek? Naukowcy wiedzą już, że nie należał do Jezusa Chrystusa. W błędzie jest jednak ten, kto uważa, że odkrycia nie są sensacyjne. Potwierdzają bowiem, że wizerunek zmaltretowanego mężczyzny powstał w cudowny sposób.

KRWAWIŁ NA ZEWNĄTRZ

Dokładnie dwa lata temu, po groźnym pożarze katedry świętego Jana Chrzciciela w Turynie, słynny całun został oddany do kolejnej już w swojej historii renowacji. Tym razem dwaj włoscy profesorowie z Uniwersytetu w Padwie – Giulio Fanti i Roberto Maggiolo – poddali analizie zakrytą do tej pory zewnętrzną stronę materiału. Aby przeprowadzić to badanie, musieli odpruć kawałek płótna przyszytego w XVI wieku do nieeksponowanej części wizerunku. To, co zauważyli na „rewersie” materiału, początkowo nikogo nie zaskoczyło. Znajdował się tam

bowiem nieco słabiej „odbity” obraz tej samej sylwetki. Włoscy naukowcy po wykonaniu wielu zdjęć i dokładnej ich analizie orzekli jednak, że ślady te i ich odpowiednik na awersie nie są identyczne. Nieco się różnią. Na przykład oba nozdrza odbitej postaci na tylnej stronie płótna są odcisnięte bardzo dokładnie, na przedniej lepiej widoczna jest natomiast tylko lewa dziurka. Dlaczego? Na to pytanie w razie nie ma odpowiedzi. Zaskakuje także coś innego.

Do tej pory naukowcy uważali, że krew zmasakrowanego człowieka, który spoczywał w całunie, przesiąknęła na drugą stronę. Tymczasem po dokładnym zbadaniu lnianych włókien wydobytych z najbardziej zkrwawionych miejsc – w okolicy twarzy – wyszło na jaw coś, co przeczy zdrowemu rozsądkowi. Cieniutka warstwa pomiędzy wewnętrzną i zewnętrzną stroną płótna nie jest zbrukana tak jak obie widoczne strony zewnętrzne. Co to oznacza? Że krew nie przeciekła na wylot. Pytanie: jak to możliwe?

DROBNIAKI PIŁATA

Całun nigdy nie poddał się niedowiarkom. Ale kłopotliwy był również dla naukowych au-

torytetów. Gdy w 1988 roku trzy osobno pracujące instytucje naukowe ostatecznie orzekły, że płótno z wizerunkiem powstało około 1325 roku, chwilowo zatrzymfowali sceptycy. – To fałsyfikat – orzekli. Przy tej okazji po raz kolejny odezwali się zwolennicy starej hipotezy amerykańskiego iluzjonisty Joe Nickella opublikowanej przed laty na łamach „The Humanist”.

Magik twierdził, że średniowieczny oszust poszedł po linii najmniejszego oporu. Wyrzeźbił leżące ciało, dla efektu skatował drewno prawdziwymi biczami o haczykowatych zakończeniach, zalał rzeźbę ludzką krwią, przykrył całunem i zostawił tak na dwa-trzy dni. Krew miała w ten sposób dostać się do włókien materiału i utrwalić na wieki. Pomóc w „podkolorowaniu” całości miała jeszcze mieszanina pigmentów na bazie zwierzęcego białka. Na próżno kolejni naukowcy twierdzili, że żadna analiza chemiczna nie potwierdziła w śladach krwi obecności białka zwierzęcego.

Inni gardłowali już, że na materiale odkryto pyłki roślin występujących tylko na Bliskim Wschodzie. Kolejna ekipa ustaliła, że zamordowany mężczyzna został pochowany zgodnie z żydowskim obrządkiem. Na jego przymkniętych powiekach żalobnicy mieli położyć dwie antyczne monety. Dyskusja otarła się o absurd, gdy po komputerowej obróbce obrazu kolejny autorytet orzekł, że na płótnie odcisnęły się leptony – drobne monety wybijane przez... Poncjusza Piłata. Ktoś ujrzał bowiem zarys odpowiedniego napisu.

Najnowsze badania mocno hamują ten galopujący spór. Potwierdzają, że wizerunek na materii to obraz ciała umęczonego człowieka. Pojawia się tylko pytanie: do kogo należało odcisnięte ciało i dlaczego zostawiło ślad w tak przedziwny sposób?

NIEZWYKŁA ENERGIA

Kolejne tygodnie przyniosą zapewne falę najdziwniejszych hipotez. Powróci również ta, która w razie godzi zważnione obozy. Mówi o niczym innym jak o... fotografii. Ale nie takiej zwykłej. Według tej hipotezy całun turyński to protofotografia, coś w rodzaju próby generalnej przed wykonaniem pierwszego historycznego dagerotypu. Zakłada ona, że anonimowy mężczyzna został poddany działaniu jakiejś energii. Promieniowaniu? Falom magnetycznym? Energii świetlnej? Nie wiadomo. Energia była na tyle silna, że utrwaliła rysy jego twarzy, szczególnie anatomiczne całego ciała i makabryczne ślady „pasji”. Ostatnie pytanie powinno dotyczyć kwestii, jak na ciało oddziaływały tajemnicze fale? Jaka technologia pozwoliła je naświetlić w XIV wieku?

Wydaje się, że aby zostawić takie ślady, promieniować musiało samo ciało. Może w momencie zmartwychwstania? Ale jak?

Na odsiecz nadchodzą miłośnicy Leonarda da Vinci. Gdy w latach 80. profesor John Jackson, fizyk z uniwersytetu w Colorado, orzekł,

że odcisnięty wizerunek jest trójwymiarowy, fani geniusza z Toskanii zawyli z zachwytu. To przecież ich patron prowadził zaawansowane badania nad optyką, to on zestawiał zwierciadła w lunety, to on w końcu wpadł na pomysł naświetlania przez szkła optyczne obrazów na ściany, dzięki czemu powstała „camera obscura”. Jeśli zatem założyciel, że całun jest dziełem geniusza, to wiele wskazuje na to, że tylko Leonardo mógłby próbować zrobić zdjęcie przypominające odbitkę rentgenowską, co jednak wydaje się mało prawdopodobne.

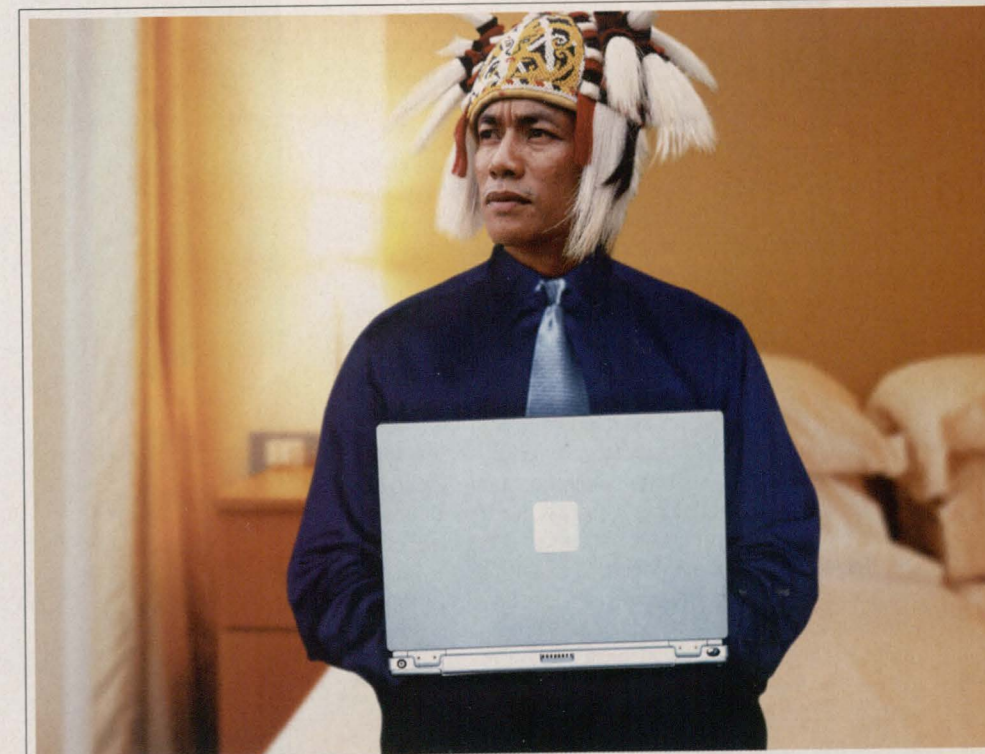
Czy kiedykolwiek dowiemy się, jak było naprawdę? Do tej pory żaden z naukowców nie zdecydował się na przeprowadzenie eksperymentów polegających na napromieniowaniu zmasakrowanego ludzkiego ciała zawiniętego w płótno. A tylko badania laboratoryjne mo-

gą dać odpowiedź na lawinę pytań, która po-nownie pojawi się po badaniach Włochów.

A DNA?

Efekty badań profesorów Fantiego i Maggiola rozpętają kolejną burzę wokół całunu. Na razie wiadomo, że na odwrotnej stronie materiału znajduje się wizerunek twarzy i prawdopodobnie rąk. Co z resztą ciała? Bez względu na pojawiające się kolejne znaki zapytania trzeba być wdzięcznym Kościołowi, że w ogóle udostępniła relikwię naukowcom. Kolejny krok to badania genetyczne. Na razie Kościół mówi „nie”, ale jeszcze kilkadziesiąt lat temu nawet mowy nie było, aby wydobyć płótno ze srebrnej szkatuły i oddać w ręce ateuszki od „szkiełka i oka”.

MICHAŁ WÓJCİK



Wszyscy czują się u nas jak u siebie w domu...

Z tego jesteśmy znani. Profesjonalna obsługa, prawdziwie domowa atmosfera oraz standard naszych pokoi i sal konferencyjnych przyciągają gości z różnych stron świata. Mamy tym samym powód do dumy, a odwiedzający pewność, że dokonali najlepszego wyboru. Zaufanie naszych gości to doskonała rekomendacja. Zapraszamy.

ORBIS HOTELS

ORBIS
GRUPA HOTELOWA

SOFITEL

NOVOTEL

Mercure
ALLCON

ibis
ALLCON

ORBIS HOTELS

Rezerwacja: www.orbisonline.pl www.orbis.pl

INFOLINIA: 0 801 606 606 0 502 805 805

PAWEŁ WIECZOREK, STEFAN MAKUŁA, RYB

SMIESZNY SZCZYT

Europejskie Forum Gospodarcze w Warszawie zignorowali najbogatsi i najbardziej wpływowi. Będzie to uciążliwe dla mieszkańców wesołe spotkanie najważniejszych polityków Wschodu z drugim i trzecim garniturem polityków Zachodu

Spotkanie w Warszawie ma być ukoronowaniem prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego jako łącznika Wschodu z Zachodem, a także jego ewentualną trampoliną do europejskiej kariery. To on w czasie Światowego Forum Gospodarczego w Davos zaproponował stolicę Polski na gospodarza europejskich spotkań gospodarczych. Oficjalnie jednak Forum ma być ogromną szansą na promocję Polski: mamy eksponować swoją rolę w jednoczącej się Europie, przypomnieć zasługi i pokazać, że warto robić tu interesy.

Spójrzmy jednak na listę gości. Wygląda na to, że pochwalimy się prezydentom krajów, które i bez Forum mogłyby nam zazdrościć: Albanii, Serbii i Czarnogóry, Armenii, Chorwacji, Rumunii. Co z tego, że będzie też prezydent Niemiec Johannes Rau, skoro w swoim kraju nie podejmuje żadnych znaczących decyzji? Z Wielkiej Brytanii przyjedzie tylko minister do spraw europejskich, z Holandii minister gospodarki, a z Irlandii wicepremier. Nikt nie zamierza reprezentować rządów Francji, Belgii, Hiszpanii ani Włoch.

Dlaczego nie będzie najważniejszych polityków Europy? – Oni rzadko jeżdżą – wyjaśnia Andrzej Jonas, rzecznik warszawskiego Forum. – Zaś następnego dnia po zakończeniu Forum jest szczyt Unii Europejskiej, a tam obecność wszystkich głów państw jest obowiązkowa – dodaje.

Ważne decyzje w Warszawie nie zapadną więc, bo nie mogą. Politycy i biznesmeni z 35 krajów porozmawiają sobie o problemach integracji i przyszłości Unii.

– Szczyt okazał się znacznie skromniejszy, niż oczekiwano – mówi Janusz Lewandowski, poseł i ekspert gospodarczy Platformy Obywatelskiej. – Nie ma katastrofy, bo to pożyteczne spotkanie. Ale skala kłopotów spowodowana organizacją szczytu może być znacznie większa niż osiągnięte korzyści – dodaje Lewandowski.

Ireneusz Jabłoński, ekspert gospodarczy z Centrum imienia Adama Smitha, uważa wprost, że takie spotkania nie mają wpływu ani na życie obywateli, ani na gospodarkę. – Mają tylko wymiar propagandowy – mówi Jabłoński. – Nawet sami uczestnicy chcą wierzyć, że biorą udział w czymś ważnym. Chcą sprawić wrażenie, że pochylają się nad problemami i próbują sobie z nimi radzić. Ale gdyby to potrafili, toby to zrobili, a nie o tym dyskutowali – twierdzi Jabłoński. Jego zdaniem takie inicjatywy jak Forum wynikają z polskich kompleksów. – Centrum takiego myślenia jest prezydent Kwaśniewski, który lubi zapraszać





Fot. ANDREW WINNING/REUTERS/FORUM

- Jeśli szczyt kompletnie niszczy normalne życie w mieście, to nie warto czegoś takiego organizować

do siebie europejską śmietankę. Jak nie ma pomysłu na nic innego, to i to dobre. Ale jesteśmy zbyt biednym krajem, by to finansować – mówi Jabłoński.

SMUTNY SPEKTAKL

Prezydent Warszawy Lech Kaczyński już żądał od rządu zwrotu 18 milionów złotych, które miasto wydało na przygotowanie szczytu, w tym na płotki odgradzające strefy, na roboty pirotechniczne dla policji, na druk tymczasowych rozkładów jazdy i przepustek, a także na rekompensaty za spadek wpływów z płatnego parkowania w centrum.

W dniach szczytu, od wtorku do piątku, życie stolicy i jej mieszkańców zostanie bowiem podporządkowane potrzebom ponad 900 gości Forum. Nie będzie można nawet spacerować po Łazienkach, bo w położonej w parku restauracji uczestnicy forum spożyją posiłek. Wokół budynków w sercu Warszawy dostępnych wyłącznie dla forumowiczów powstanie rozległa, za to niemal martwa strefa (oznaczona numerem 1). Nie można do niej wjechać samochodem, nie można w niej parkować, w strefie nie będzie kursować komunikacja miejska. Położone tam teatry, muzea, galerie będą zamknięte, bo i tak wstęp do strefy będą mieć tylko jej mieszkańcy, pracownicy firm (ze specjalną „forumową” przepustką) i uczniowie. Zostaną zamknięte leżące w strefie wydziały Uniwersytetu Warszawskiego i Akademia Sztuk Pięknych.

W strefie znajdują się setki sklepów i centra handlowe, niedostępne w tych dniach dla klientów spoza strefy. Osoba niezameldowana w strefie, która wyjdzie w tych dniach z mieszkania i zostanie schwyta przez policję, będzie odstawiona do granicy strefy. Do domu wróci po zakończeniu Forum.

Uczniowie w większości pozostaną w domach. Na części boisk szkolnych będą urządzane parkingi dla aut należących do mieszkańców strefy numer 1. Władze miasta początkowo próbowały masowo wysłać dzieci za miasto, na zielone szkoły, aby zapobiec włączeniu się uczniów w demonstracje alterglobalistów.

Wokół strefy numer 1 mamy też numer 2 – strefę wzmoczonej aktywności policji. Będą tam liczni czujni funkcjonariusze legitymujący poruszających się po strefie obywateli.

Policjanci odwiedzili kilkadziesiąt tysięcy osób mieszkających na trasie przejazdu forumowiczów. Pytali o plany wyjazdowe na koniec kwietnia, o liczbę okien i o posiadaną broń.

Pracownicy firm namawiani są do brania urlopów. Liczba koszy na śmieci w mieście zostanie zwiększona z dziewięciu do dziesięciu tysięcy. Te w centrum będą opróżniane sześć razy dziennie. Z ulic znikną handlarze, a strażnicy miejscy będą surowo upominać dozorców, którzy nie dbają o wyjątkową czystość wokół posesji. Trawniki nie będą malowane.

Jeśli szczyt kompletnie niszczy normalne życie w mieście, to nie warto czegoś takiego organizować. Kilka tego typu spotkań na najwyższym szczeblu w ostatnim czasie zakończyły się fiaskiem. Na wiele sposobów stały się smutnymi spektaklami – powiedział nam profesor Tim Besley, wybitny ekonomista i politolog z London School of Economics and Politics.

GETTO FORUMOWICZÓW

Alterglobaliści uważają, że Forum Gospodarcze jest okazją dla przedstawicieli wielkich korporacji do zmiękczenia polityków. W Warszawie będzie kilkunastu przedstawicieli najwyższego szczebla takich korporacji. Alterglobaliści wyliczają im nawet butelki szampana wypitego podczas szczytu.

– To naiwne myślenie – twierdzi Andrzej Jonas, rzecznik warszawskiego Forum. – Trudno sobie wyobrazić, by ci wszyscy ludzie przyjeżdżali do Polski, bo sprawia im przyjemność zjadanie wędzonego łososia. Mają dość bankietów i pławienia się w luksusie – zapewnia.

– Takie szczyty wiele osób traktuje jako okazję do zawarcia znajomości, wymiany wizytówek. Dzięki temu bywalcy mają większe możliwości niż ci, którzy nie bywają – wyjaśnia Ryszard Petru, dotąd ekspert Banku Światowego, od 26 kwietnia główny ekonomista Banku Przemysłowo-Handlowego.

– Biznesmeni przyjeżdżają na takie spotkania ze snobizmu: by poznać kogoś ważnego lub by nawiązać bliższy kontakt z kimś, od kogo zależy ich pozycja w biznesie – mówi Ireneusz Jabłoński. – Nie mają szans na poznanie kraju, bo siedzą w dobrze strzeżonym getcie. Nawet telewizji i radia nie słuchają, bo nie znają języka. Tylko wtedy zainwestują w Polskę, jeśli będą mogli tu zarobić,

a do tego trzeba stworzyć im warunki. Na co się nie zapowiada – podkreśla Jabłoński.

– W czasie Forum prowadzi się głównie rozmowy, zawiera znajomości i ustala wspólny punkt widzenia na najważniejsze problemy – przyznaje Jonas.

Nic więc dziwnego, że opis korzyści z warszawskiego Forum jest dość mętny i ogólny. – Cała sztuka polityki polega na tym, że jak nie jest się potęgą gospodarczą, to trzeba walczyć o prestiż. A jak ma się prestiż, to ma się pozycję w światowej polityce. A organizowanie takiego szczytu ma wpływ na poprawienie naszego prestiżu – tłumaczy Andrzej Jonas.

Jerzy Koźmiński, główny organizator Forum, mówi zaś o promocji Polski w świecie, zaprezentowaniu się jako kraj, w którym warto robić interesy. Ma to być też wielka szansa dla Warszawy: jeśli miasto spodoba się forumowiczom, to wrócą tu z pieniędzmi.

Tyle że wielu uczestniczących w Forum biznesmenów reprezentuje już działające w Polsce korporacje.

SPIRALA STRACHU

Arkadiusz Zajączkowski, alterglobalista i organizator antyszczytu w Warszawie, twierdzi, że organizatorzy wybrali stolicę Polski tylko dlatego, że liczyli na słabość i niezorganizowanie polskiego ruchu alterglobalistycznego.

– Gdy Bush przed dwoma laty przyjechał do Polski, protestowało tylko 200 osób. Liczyli, że teraz będzie podobnie. Musimy im pokazać, że nigdzie nie ma przyzwolenia na ich politykę – mówi Zajączkowski i zapowiada, że w manifestacjach w Warszawie weźmie udział od trzech do pięciu tysięcy osób.

Miasto zarezerwowało więc prawie 1,5 tysiąca łóżek szpitalnych dla ofiar rozruchów, będzie też ośmionamiotowy szpital polowy i kilkadziesiąt karetzek wypożyczonych (podobnie jak policjanci) z innych miast. Z obawy przed rozruchami część sklepów w centrum może być zamknięta, w części okna będą zabite deskami lub dyktą. W kilku hotelach, których restauracje mają duże witryny, posiłki będą podawane gościom do pokoi.

„Władze oraz media nakręcają spiralę strachu przed protestami. Nie dajmy się jednak zwariować! – wołają internetowi alterglobaliści. – Ta psychoza ma zniechęcić ludzi do udziału w protestach. Takie praktyki miały miejsce w każdym kraju, gdzie odbywały się podobne spotkania i towarzyszące im manifestacje”.

– Za te miliony złotych wydane na organizację i ochronę Forum lepiej byłoby wybudować most w Warszawie – uważa Ireneusz Jabłoński. – Takie kraje jak Irlandia, Malezja czy Chile nie muszą organizować szczytów, by cały gospodarczy świat patrzył na nich z zachwytem. Wystarczyło, że unowocześnili swoją gospodarkę.

PAWEŁ WIECZOREK,
STEFAN MAKUŁA, RYB

RENO, NEVADA, USA. ROK 1873. IMIGRANT ROSYJSKI – KRAWIEC JAKUB DAVIS – PRÓBUJĄC WZMOCNIĆ KIESZENIE SPODNI JEDNEGO Z POSZUKIWACZY ZŁOTA, DECYDUJE SIĘ NA UŻYCIE NITÓW. ROK PÓŹNIEJ WRAZ Z LEVI STRAUSEM OPATENTUJE SPECJALNY KRÓJ SPODNI. ERA JEANSÓW SIĘ ROZPOCZYNA. BROWAR TYSKIE LICZY SOBIE JUŻ WÓWCZAS 244 LATA.



Tyskie ma 375 lat

KIEDY USZYTO IM PIERWSZE W HISTORII JEANSY, MY JUŻ WARZYLIŚMY PIWO



Zamiast rozwiązywać konkretne problemy, ludzie Busha myślą tylko o strategicznych celach. Dlatego nie zdołali udaremnić 11 września i nie radzą sobie z okupacją Iraku

Zbawcy świata w tarapatach

Kluczem do zrozumienia polityki zagranicznej administracji Busha i tego, dlaczego przynosi ona tak fatalne skutki, jest rozróżnienie między podejściem strategicznym a taktycznym. Myślenie strategiczne jest złożone, długoterminowe, teoretyczne. Taktyka jest bardziej ograniczona i stanowi w najlepszym wypadku zbiór środków prowadzących do realizacji celów strategicznych – serię konkretnych działań, które trzeba podjąć.

Spośród niedawnych lokatorów Białego Domu Bill Clinton był najmniej skupiony na strategicznym myśleniu o polityce zagranicznej. Strategów starej szkoły wręcz do siebie zraził, podnosząc kwestie gospodarcze do tej samej rangi co politykę zagraniczną.

Podjmował oczywiście decyzje strategiczne – jak choćby rozszerzenie NATO czy uruchomienie bliskowschodniego procesu pokojowego – jednak niemal wszystkie jego pozostałe inicjatywy miały charakter taktyczny i stanowiły reakcje na konkretne kryzysy w Somalii, na Haiti, Bałkanach i w Iraku. Najlepszym przykładem myślenia Clintona był atak rakietowy na obóz terrorystów w Afganistanie i na fabrykę chemikaliów w Sudanie po zamachach Al-Kaidy na ambasady amerykańskie w Kenii i Tanzanii.

To, że Bush zerwał z taktycznym myśleniem Clintona, nie było prostą reakcją polityczną na działania poprzednika. Ta decyzja miała podłoże filozoficzne. George W. Bush zapełnił Biały Dom zwolennikami myślenia strategicznego, głównie neokonserwatystami, którzy przyszli z gotowymi pomysłami na to, jak powinien funkcjonować świat. Podstawą ich strategii jest przekonanie o moralnej świętości



Doradczyni Busha do spraw bezpieczeństwa narodowego Condoleezza Rice w polityce uznaje tylko myślenie strategiczne

amerykańskiej dominacji. W świecie, w którym przyszło im rządzić, Ameryka jest jedynym supermocarstwem, więc instytucje międzynarodowe stały się przeszkodą na drodze do realizacji amerykańskiej polityki. Podobnie porozumienia dyplomatyczne, jak choćby protokół z Kioto czy proces pokojowy na Bliskim Wschodzie, które neokonserwatyści uznali za przestarzałe.

Zgodnie z ich logiką odpowiedź na islamski radykalizm również musiała być strategiczna, a nie taktyczna. Bliski Wschód miał zostać odbudowany na amerykańskich zasadach, a kluczem do tego procesu był Irak. Zastąpienie Saddama Husajna demokratycznym lub proamerykańskim rządem miało wywołać na Bliskim Wschodzie „pozytywny efekt domina”, a przykład Iraku miał – w założeniu neokonserwatystów – zmusić Libię, Syrię, Arabię Saudyjską, Iran, a wreszcie Palestyńczyków do bardziej umiarkowanej polityki. Terroryzm (to w końcu też tylko taktyka) zniknąłby

„Irak zostanie wyzwolony, a potem wszystko samo się ułoży” – tak myśleli neokonserwatyści z Białego Domu

sam, gdy kraje, które go wspierają, uległyby transformacji.

W całym tym strategicznym myśleniu Al-Kaida była w najlepszym razie niewygodna. W administracji Busha strategia do tego stopnia zdominowała taktykę, że wszelkie kwestie praktyczne – poza militarnymi szczegółami inwazji na Irak – spychano na niższe szczeble urzędniczej drabiny. Zagrożenie terroryzmem, które na początku 2001 roku zjeżyło włosy na głowach szefa CIA George'a Teneta i koordynatora do spraw terroryzmu Richarda Clarke'a, musiało ustąpić miejsca długofalowym, strategicznym celom.

Nawet prezydencki raport CIA z 6 sierpnia 2001 r., zatytułowany „Ben Laden zdeterminowany, by uderzyć w USA”, uznano za nie dość aktualny i mało konkretny, choć zawierał on szokującą informację o 70 toczących się śledztwach FBI w sprawie działań Al-Kaidy w Ameryce i ostrzegał, że wywiad dostrzeże „sekwencje podejrzanych działań na terenie kraju, odpowiadające przygotowaniom do porwań samolotów”. Jednak bez konkretnego zagrożenia, które można byłoby zlikwidować jednym ruchem, każda reakcja na wspomniany raport miałaby charakter taktyczny i byłaby być może błędna, bo nie istniał dla niej strategiczny kontekst. Nie zrobiono więc nic.

To samo dzieje się w Iraku. Taktyczne szczegóły amerykańskiej okupacji – skomplikowane kwestie utrzymania pokoju, przywrócenia dostaw prądu, negocjacji z szyitami, sunnitami i Kurdami – nie są nawet w połowie tak ważne jak cel strategiczny. Irak miał zostać wyzwolony, a wtedy wszystko miałoby się już samo ułożyć.

Dziś widać jak na dłoni, że w tej chwili neokonserwatywnym strategom Busha najbardziej brakuje kilku dobrych taktyków – skrupulatnych biurokratów w rodzaju Richarda Clarke'a, którzy żyją od kryzysu do kryzysu, nie zaprzatają sobie głowy wielkimi planami, a zamiast tego próbują złapać ben Ladena i włączyć światło w Bagdadzie.

JOE KLEIN

© 2004. TIME INC. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE. TŁUMACZENIE I PRZEDRUK Z „TIME MAGAZINE” ZA ZGODĄ TIME INC. POWIELANIE CAŁOŚCI LUB CZĘŚCI ARTYKUŁU W JAKIKOLWIEK SPOSOB I W JAKIKOLWIEK JĘZYKU BEZ UPRZEDNIEJ PISEMNEJ ZGODY TIME INC. JEST ZABRONIONE



you + hp

Wieczne wakacje.

Czy słońce, czy cień, Ty chcesz robić zdjęcia. Weź wtedy wysokiej klasy aparat cyfrowy HP Photosmart 945 z technologią HP Adaptive Lighting*, dzięki której zawsze możesz liczyć na wyraźne, ostre fotografie. A później, utrwal to na papierze. Urządzenie wielofunkcyjne HP Photosmart 2510 to bezprzewodowe, profesjonalne, domowe laboratorium fotograficzne, które wiernie drukuje wspomnienia. I skanuje, i kopiuje, i faksuje. Żebyś szybciej mógł się nimi podzielić z innymi. Utrwal wakacje! Niech trwają bez przerwy.



HP PHOTOSMART 2510
2199 zł brutto**
1802 zł netto**



HP PHOTOSMART 945
2299 zł brutto**
1884 zł netto**

w zestawie: karta pamięci SD 128 MB, etui, ładowarka i komplet akumulatorów



FOTOJOKER

Zajrzyj: www.fotojoker.pl

Sytuacje przedstawione na zdjęciach są zaaranżowane. ©2004 Hewlett-Packard Development Company, L.P. Wszelkie prawa zastrzeżone. * adaptacyjna technologia naświetlania, ** sugerowana cena dla Klienta końcowego, ważna do wyczerpania zapasów
Belchatów: ECHO, ul. Kolejowa 4; Białystok: AUCHAN, ul. Produkcyjna 84; Bielsko-Biała: Sami Stok, ul. Sami Stok 2; AUCHAN, ul. Bohaterów Monte Cassino 421; Brzeg: FOTOJOKER, ul. Jabłkowa 1; Bydgoszcz: AUCHAN, ul. M. Rejewskego 3; GALERIA POMORSKA, ul. Fordońska 141; miniMAL, ul. M. Curie-Skłodowskiej 26; Bytom: ELEA, ul. Kolejowa 18; M1, ul. Strzelców Bytomskich 96; PLEJADA, ul. Dolnośląska 26; Cieszyń: KAUFAND, ul. Liburnia 28; Częstochowa: TESCO, ul. Drogowców 1; Gdańsk: KING ul. Spacjerowa 48; Gdynia: TESCO, ul. Kościuszki 27; Gliwice: miniMAL, ul. Tarnogórska 19; TESCO, ul. Łąbeńska 126; Gorzów Wielkopolski: TESCO, ul. Górczyńska 212, ul. Słowiańska 70; Grudziądz: miniMAL, ul. Józefa Włodka 11; REAL, ul. Południowa 8; Jastrzębie Zdrój: miniMAL, ul. Piłsudskiego 35; Jelenia Góra: ECHO, ul. Jana Pawła II 51; TESCO, ul. Jana Pawła II 17; Kalisz: TESCO, al. Wojska Polskiego 2; Katowice: AUCHAN, ul. Renców 30; Kędzierzyn-Koźle: FOTOJOKER, ul. Jana Pawła II 14; miniMAL, ul. Jana Pawła II 30; Kielce: ECHO, ul. Świętokrzyska 20; Kobylnica k. Słupska: REAL, ul. Iwaskiewicza 1; AUCHAN, ul. Roberta Schumana 11; Lubin: TESCO, ul. I. Paderewskiego 101; Łódź: M1, ul. Brzezińska 27/29; ZAKOPIAŃKA, ul. Zakopiańska 62; Krapkowice: FOTOJOKER, ul. Opolska 2; Kutno: HYPERNOVA, ul. Oporowska 4; Legnica: KAUFAND, ul. Iwaskiewicza 1; AUCHAN, ul. Chatubińskiego 2; Nowa Wieś k. Częstochowy: AUCHAN, HYPERNOVA, ul. Szparagowa 7; TESCO, ul. Pojezińska 95; PASAŻ ŁÓDZKI, al. Włókniarzy 264; GALERIA ŁÓDZKA, ul. Piłsudskiego 15-23; Mysłowice: REAL, ul. Katowicka 75; Nowa Sól: KAUFAND, ul. Chatubińskiego 2; Nowa Wieś k. Częstochowy: AUCHAN, ul. Krakowska 10; Olkusz: ECHO, ul. Rabsztyńska 2; Ostrołęka: miniMAL, ul. Artylenyńska 4; Pabianice: ECHO, ul. Zamkowa 31; Piastów k. Warszawy: TESCO, al. Tysiąclecia 7; Piła: ECHO, ul. Ogińskiego 33; Piotrków Trybunalski: ECHO, al. gen. Sikorskiego 11; Płock: ECHO, ul. Przemysłowa 1; Poznań: M1, ul. Szwajcarska 14; TESCO, ul. Serbska 7, ul. Opińskiego 1; Poznań Komorniki: AUCHAN, ul. Głogowska 342; Przemysł: miniMAL, ul. Sportowa 11; Racibórz: FOTOJOKER, ul. Długa 48; miniMAL, ul. Opawska 45; Radom: M1, ul. Grzeźnarowskiego 28; LECLERC, ul. Toruńska 1/3; Rzeszów: TESCO, ul. Powstańców Warszawy 113; Siemianowice Śl.: ECHO, ul. Władysława Jagiełły 4; Sosnowiec: AUCHAN, ul. Zuzanny 22; PLEJADA, ul. Staszica 8B; Stargard Szczeciński: KAUFAND, ul. Kościuski 73; TESCO, ul. Szczecińska 81; Strzelce Opolskie: FOTOJOKER, ul. Ludowa 2; Szczecin: TURZYN, ul. Bohaterów Warszawy 42; Świętochłowice: ECHO, ul. Chorzowska 19; Tarnowskie Góry: miniMAL, ul. Zagórska 162; Tarnów: ECHO, ul. Błonie 2; Toruń: miniMAL, ul. Łyskowskiego 8; Tychy: HYPERNOVA, al. Bielska 107; TESCO, ul. Towarowa 2; Wałbrzych: KAUFAND, ul. Długa 4B; Warszawa: Al. Jerozolimskie 146; CARREFOUR, ul. Powstańców Śl. 120; REDUTA, Al. Jerozolimskie 148; TESCO, ul. Górczewska 212/226, al. KEN 14, ul. Polczyńska 121/5; WILEŃSKA, ul. Targowa 72; WOLA PARK, ul. Górczewska 124; Warszawa Janki: JANKI, ul. Mszczonowska 3; Warszawa Marki: M1, ul. Piłsudskiego 1; Włocławek: KAUFAND, ul. Kilińskiego 5; REAL, ul. Cmentarna 10; Wodzisław Śl.: miniMAL, ul. Kubsza/Witosa; Wrocław: BOREK, ul. gen. J. Hallera 52; GALERIA DOMINIKAŃSKA, pl. Dominikański 3; KAUFAND, ul. Legnicka 62; KORONA, ul. Krzywoustego 126; TESCO, ul. Dłuna 41-47; Wrocław Bielany: BIFELANY, ul. Czekoladowa 7; Wrocław Kobierzyce: AUCHAN, ul. Francuska 6; Zabrze: M1, ul. Piłtunowego Szkubacza 1; Zamość: OLYMPIA, ul. Dzieci Zamojszczyzny 4; Zielona Góra: AUCHAN, ul. Batorego 128;

PRZYCHODZI DO REDAKTOR OLIGARCHY

RYSZARD KRAUZE upiera się, że nie jest oligarchą ani egoistą, a największą męską satysfakcją przeżywa, podpisując kontrakt. Najbardziej tajemniczy z polskich bogaczy przemówił

Od kiedy jest pan oligarchą?
– Zaraz, zaraz... Oligarcha w modelu rosyjskim, bo stamtąd wzięło się to słowo, to dla mnie osoba, która przejęła za niewielkie pieniądze majątek państwowy, często oparty na eksploatacji surowców. Oligarcha czerpie korzyści z przejętego przedsiębiorstwa, a nie ma ich budżet państwa. I tak ja rozumiem negatywne znaczenie słowa „oligarcha”. I jeżeli teraz przymierzylibyśmy to do mnie...

No bo jest pan polskim oligarchą...

– Nie jestem polskim oligarchą, próbuję panu...

Tak jest pan nazywany.

– Tak może jestem nazywany, ale Prokomu nie było, nie kupiłem go 18 lat temu od państwa za złotówkę. Kiedy go zakładałem, ta dziedzina była pustym polem. Nie eksploatuję też żadnych surowców jak każdy porządny rosyjski oligarcha. Pracuję na bazie zleceń i zamówień, przede wszystkim dla rynku prywatnego, a w części dla państwa.

Może jeśli chodzi o Prokom, to pana „surowcem”, który można by porównać do surowców oligarchów rosyjskich, była konieczność informatyzacji państwa, jego instytucji. To pan „dostał” od państwa.

– To były przetargi transparentne. Wygrałem je jawnie.

Czy według użytej przez pana definicji Kulczyk jest oligarchą? On przejmował firmy państwowe.

– Jeśli trzymamy się zasad gospodarki rynkowej, giełdy, kupowania udziałów, prywatyzacji – mechanizmów, które jako jedyne się sprawdza-

ły – to w tym kontekście o Janie Kulczyku nie można powiedzieć, że jest oligarchą.

A może mamy polską odmianę oligarchy? Przedsiębiorcy, którzy zarabiają ogromne pieniądze na styku z państwem i wywierają ogromny wpływ na decyzje ekonomiczne rządzących polityków?

– Nie, myślę, że mamy tylko polską odmianę przedsiębiorców. A dla mnie najważniejsze jest, że budując swoje firmy – a nie przejmując je czy kupując od państwa – przez wszystkie lata płacę podatki.

Ale nikt panu nie zarzuca, że pan nie płaci podatków! Natomiast...

– Rynek informatyzacji tworzył się, czy jeźliby go przejęły firmy zachodnie, to byłoby to mniej naganne?! Bo my tu mówimy w kategoriach negatywnych! A moim, jako prezesa zarządu firmy giełdowej, psim obowiązkiem, że posłużę się tu cytatem z Heleny Łuczywo, jest dbać o rozwój tej spółki.

Panie prezesie, jeżeli będzie pan mi próbował udowodnić, że w Polsce przez te ostatnie 14 lat działała wolna od układów i polityki gospodarka rynkowa, to pan spowoduje, że ja umrę ze śmiechu! Przecież obaj wiemy, że urzędnicy, politycy, kolejne rządy państwa – wielkiego zleceniodawcy – nie byli elementami rynku. Kierowali się własny-

Fot. PIOTR SADIŃSKI/NEWSWEEK/REPORTER

RYSZARD KRAUZE
MA 48 LAT I MAJĄTEK WART 2,6 MILIARDA ZŁOTYCH, KTÓRY PASUJE GO NA CZWARTYM MIEJSCU W RANKINGU NAJBOGATSZYCH POLAKÓW. ZAŁOŻYCIEL I PREZES NAJWIĘKSZEJ POLSKIEJ SPÓŁKI INFORMATYCZNEJ PROKOM SOFTWARE SA (MA 25 PROCENT UDZIAŁÓW) ORAZ GRUPY KAPITAŁOWEJ PROKOM INVESTMENT SA, KTÓRA INWESTUJE MIĘDZY INNYMI W BRANŻY BUDOWLANEJ (POLNORD) I FARMACEUTYCZNEJ (NP. SPÓŁKA BIOTON – JEDYNY W POLSCE PRODUCENT BIOSYNTETYCZNEJ INSULINY LUDZKIEJ). STUDIOWAŁ TECHNOLOGIE BUDOWY MASZYN NA POLITECHNICE GDAŃSKIEJ. PIENIĄDZE NA ROZRUCH WŁASNEJ FIRMY (PROKOM TO SKRÓT OD „PROFESJONALNE KOMPUTERY”) ZAROBIL W LATACH 80. NA IMPORCIE KOMPUTERÓW Z DALEKIEGO WSCHODU. OD POCZĄTKU LAT 90. JEGO FIRMA REALIZUJE ZAMÓWIENIA NA INFORMATYZACJĘ WIELKICH FIRM PAŃSTWOWYCH ORAZ URZĘDÓW (MIĘDZY INNYMI NIK, ZUS, PZU, TP SA I KGHM). SYMPATYK I MECENAS SPORTU. NA STUDIACH GRAŁ W KOSZYKÓWKĘ. W 1980 ROKU OTRZYMAŁ NAWET POWOŁANIE DO KADRY NARODOWEJ NA OLIMPIADĘ W MOSKWIE. DZIŚ UPRAWIA TENIS, JOGGING I JAZDĘ NA ROWERZE. JEST ORGANIZATOREM MIĘDZYNARODOWEGO TURNIEJU TENISOWEGO IDEA PROKOM OPEN ORAZ SPONSOREM PIERWSZOLIGOWEJ DRUŻYNY KOSZYKARSKIEJ PROKOM TREFL SPORT.

mi sympatiami, kierowali się tym, że ten, a nie inny, biznesmen jest zaprzyjaźniony z tą, a nie inną, partią! To był chory rynek i jest chory nadal. Więc nie mówmy o „rynku”! A jak rozumiem, polski oligarcha musiał nauczyć się z tym żyć jak z każdą regułą gospodarczą.

– Jakbym panu powiedział, że świat, który nas otacza, jest idealny, to wtedy rzeczywiście byłoby to śmieszne. Zgadzałem się z większością tego, co pan powiedział, natomiast w jednym przypadku nie mogę. Świat nie jest idealny, ale wszystkie duże projekty informatyczne, chciałbym, żeby pan mi uwierzył, realizowane są wyłącznie na drodze przetargu. I te

przetargi są wielostopniowe, wielomiesięczne, np. ostatni, który wygraliśmy, w PZU trwał rok i osiem miesięcy. Procedura przetargowa ma pełną dokumentację, jest w pełni transparentna.

Jednak oprócz ceny, możliwości technicznych potrzebna jest jeszcze sympatia urzędnika czy jego przekonanie, że to z panem trzeba ten interes zrobić.

– Jeżeli pan uważa, że jakkolwiek rozmowa z jakimkolwiek urzędnikiem może być substytutem 18-miesięcznego procesu przetargowego, w którym bierze udział 20, 30 osób...

Substytutem nie, ale elementem tego procesu już tak. Taka jest Polska, nie oszukujmy się. To nie jest zarzut wobec pana, tylko zrozumienie, że pan, rozwijając swoje przedsiębiorstwo, musi brać to też pod uwagę, że musi pan mieć przychyłność tych urzędników, którzy wydają decyzje w pańskiej sprawie.

– Powiedziałbym inaczej. Ta cała emocja wokół styku przedsiębiorców z politykami, urzędnikami... Ten styk jest elementem kreowania naszej wspólnej rzeczywistości. Ale ważniejsze jest w nim to, żeby nie być źle traktowanym, szykanowanym, a nie uprzywilejowanym, żeby z powodu nieżyczliwości nie zostać pominiętym przy zapraszaniu do przetargu. Chodzi tylko o to, żebyśmy dostali szansę równego startu. Od tego momentu decyduje tylko i wyłącznie potencjał, możliwość wykonania i cena. I proszę mi wierzyć, w przetargu na komputeryzację ZUS, który budził tyle emocji, 600 milionów proponował Prokom, 1 miliard 200 milionów jedna firma zachodnia, a druga przeszło dwa miliardy złotych. Kogo by pan wybrał?

Z Wojciechem
Fibakiem,
1996 rok



Z Adamem
Michnikiem,
2003 rok

Cały czas słyszę,
że oligarchowie
i bogactwo
to problem.
A przecież
problemem
jest bieda



Z Aleksandrem
Kwaśniewskim,
2003 rok

Taka była wasza oferta w przetargu, a ile ZUS zapłaci naprawdę, ze wszystkimi dodatkowymi kosztami?

– To jest bardziej skomplikowana sprawa. To zadanie podzielone jest na dwie części, tę związaną z budową systemu i tę związaną z jego eksploatacją. ZUS za budowę systemu do dzisiaj zapłacił dwie trzecie, czyli 400 milionów, a przypominam, że to jest ósmy rok naszej pracy. Natomiast od 2001 roku system jest eksploatowany, a jest to największy na świecie...

To wszystko wiemy. Ile?

– Koszty eksploatacji są liczone prosto, to jest liczba osób przy tym zatrudnionych razy stawka, która jest znakomicie niższa od firm zachodnich, i to daje...

Bo zarzuty wobec Prokomu polegały też na tym, że rzeczywiście pańska oferta była najtańsza, ale późniejsze dopłaty, dodatkowe koszty stawiają pod znakiem zapytania opłacalność tej inwestycji dla ZUS.

– Dwieście razy zmieniano otoczenie prawnej reformy i to nie dlatego, że ktoś chciał to zmienić dwieście razy, tylko dlatego, że ona w swoim pierwotnym kształcie była bardzo skomplikowana i dopiero w praktyce życie ją weryfikowało i pokazywało miejsca, które należy poprawić. I te dwieście zmian Prokom wykonał bez dopłat. Nie mogę się z tą tezą zgodzić.

Czy spotkał się pan w swojej działalności biznesowej z jakimiś propozycjami łapówek?

– Nie, nigdy.

Był taki okres w życiu Prokomu, właśnie związany z kontraktem w ZUS-ie, że byliście atakowani przez polityków, przez media, największym waszym krytykiem była „Gazeta Wyborcza”. Co pan zrobił, że „Gazeta” przestała was

krytykować? Czy prawdą jest to, że zaprzyjaźnił się pan z Adamem Michnikiem?

– Jeżeli chodzi o Adama Michnika, to ja go wyjątkowo cenię i darzę też ogromną sympatią. A jeśli chodzi o „Gazetę Wyborczą”, to patrząc na jej solidność i opiniotwórczość, jej sukces... I to właśnie ta solidna i opiniotwórcza „Gazeta” przez wiele miesięcy pana krytykowała.

– To jest trudny temat. Wtedy nie mogłem się skutecznie bronić, dlatego że ja nigdy nie krytykuję państwa, urzędników, polityków, kiedy pracuję dla instytucji państwowej. A broniąc się przed zarzutami „Gazety”, musiałbym wtedy złamać tę swoją zasadę. Był taki moment, kiedy zebraliśmy wszystkie materiały na temat tego kontraktu i jeden z dziennikarzy „Gazety Wyborczej”, który znakomicie orientuje się w sprawach ekonomii, zapoznał się z tą dokumentacją. Prowadziliśmy długie rozmowy, a równolegle NIK kończył kontrolę tego przetargu. I pamiętam, jak w „Rzeczpospolitej” pojawił się tytuł „Prokom bez winy”. Po tych rozmowach i po kontroli NIK te ataki ustały.

Mówi się jednak, że decydująca była pańska kolacja z Adamem Michnikiem, podczas której pan mu wytłumaczył wszystkie wątpliwości.

– Rzeczywiście miałem tę przyjemność parokrotnie spotkać się z panem Michnikiem i rzeczywiście pytał, pytał bardzo dociekliwie, a ja to wszystko mu opowiedziałem. Ale czy to było decydujące? Nie wiem.

Pytałem o Michnika dlatego, że tak pan sobie poradził ze swoim głównym krytykiem ze strony mediów, i zastanawiam się, czy podobnych zabiegów nie musiał pan czynić wobec polityków.

– Podobnych zabiegów to może nie, dlatego że nie mam z nikim z nich tak bliskich kontaktów.

Pomagał pan kiedyś finansowo jakiejś partii politycznej?

– Nie, żadnej.

Kiedy powstawała Platforma Obywatelska, sprzedał pan duży pakiet swoich akcji. Jako że nie bardzo wiadomo, co się z tymi pieniędzmi stało, plotka mówi, że pomógł pan wtedy Platformie.

– Nie, to absolutna nieprawda.

A właściwie dlaczego pan im nie pomógł? Nie chciałby pan mieszkając w lepszej Polsce, o którą walczą ta partia?

– Bardzo bym chciał i bardzo mnie cieszy, że Platforma powstała, i cieszę się, że Platforma ma takie poparcie, bo jest to partia niepopulistyczna, która rozumie...

To dlaczego jej nie dofinansować?

– Nikt się do mnie w tej sprawie nie zgłosił. Nie wiem, czy oni w ogóle potrzebują pieniędzy, a na dodatek dzisiaj partie są finansowane z budżetu. Zgodnie z prawem to nawet nie mógłbym ich dofinansować, najwyżej, jak mówi ustawa, kwotą do 11 tysięcy złotych.

Jednak trochę jest pan w tym zorientowany. No to może chociaż tyle? A jest pan obywatelem aktywnym politycznie, który wspiera jakieś polityczne rozwiązania? Czy tylko biznes, giełda, pomnażanie wartości spółki, oczywiście w interesie akcjonariuszy, a nie własnym.

– Nie mam ambicji politycznych.

Nie pytam o ambicje, tylko o to, czy chciałby pan coś poza biznesem robić dla Polaków?

– Robię to, co powinien robić każdy przedsiębiorca. Budujemy firmy, a one płacą podatki, zasilają budżet, tworzą miejsca pracy. Poza tym na przykład w zeszłym roku odpowiedzieliśmy na około 1200 próśb o pomoc, dotacje. To wszystko, co mogą dać poza biznesem.

Bill Gates prawie połowę majątku oddał na cele charytatywne. Nie kusi pana taka wizja?

– Ja oddaję...

Powtarzam: połowę majątku.

– Połowa majątku to jest bardzo dużo, ja jej nie mogę oddać, ponieważ prawie cały mój majątek jest zaangażowany w firmach.

Szczerze mówiąc, nie liczyłem tu na pozytywną odpowiedź, natomiast co innego mnie interesuje... Jest pan, z tego, co wiem, czytelnikiem gazet, czyta pan, co się dzieje z klasą polityczną, urzędniczą. Mamy polityków, którzy żyją własnym życiem, własnymi sporami, urzędników ministerialnych, którzy odchodząc, załatwiają dziwne interesy, myślą interesownie i krótkowzrocznie. Z drugiej strony mamy was, klasę bogaczy, która w znacznym stopniu wpływa na gospodarkę. Może nadszedł czas, żebyście spróbowali coś dobrego wspólnie zrobić. Macie duży wpływ na polityków, wasze interesy są spięte z budżetem państwa, może moglibyście wymusić na politykach powstanie rządu fachowców, niepolitycznych? Dlaczego tego nie robicie, pan, Kulczyk, Gudzuwaty, Wejchert?

– Przecenia pan nasze możliwości, to po pierwsze.

Ale intelektualne czy...

– W każdym zakresie, choć intelektualne może nie, więc zostanmy w obszarze intelektualnym. Czytałem ostatnio pański wywiad z panią profesor Staniszkis, która mimo całej negacji klasy przedsiębiorców powiedziała parę bardzo frapujących zdań, że właśnie my moglibyśmy, opłacając młodych, zdolnych ludzi, generować pomysły makroekonomiczne,

pomysły na instytucje gospodarcze, które ruszałyby to państwo. I moglibyśmy te pomysły „zaszczepić” politykom. To jest dowód na to, że styk biznesu z polityką nie musi być patologiczny, że powinien mieć miejsce.

Na razie w ten sposób go nie wykorzystujecie.

– Nieprawda, przecież Jan Kulczyk jest szefem organizacji, która zrzesza 11 organizacji pracodawców. Zaangażował się w długie dyskusje z rządem na temat tego, jaki wpływ na budżet będzie miało obniżenie podatków dochodowych od firm. Wygląda na to, że wpływy z podatku CIT są w niektórych województwach kilkakrotnie wyższe niż w ubiegłych latach. Kulczyk i Niemczycki przekonali do tych rozwiązań premiera.

Jednak nie jesteście w stanie wymusić czulej uwagi rządzących. A macie co najmniej taką samą siłę jak związki stoczniovców, górników. Co prawda nie chodzą pod Urząd Rady Ministrów i nie wybijacie tam szyb, ale może moglibyście postraszyć władzę?

– Widzę naszą rolę w kreowaniu pomysłów na Polskę, potem możemy je przekazywać w dyskusji, natomiast nie mamy żadnej siły sprawczej. Tu trzeba dojrzałości tej drugiej strony, czyli klasy politycznej, bo ona decyduje, jak będzie urządzony nasz świat.

Wtedy kiedy chcecie, kiedy działacie we własnym interesie, to macie siłę sprawczą!

– Na przykład?

Na przykład Jan Kulczyk potrafi, mimo że jest udziałowcem mniejszościowym, namówić ministra skarbu na własnego przewodniczącego rady nadzorczej Orlenu – więc jak chcecie, to potrafiacie. Oczekiwałbym, że dla mnie i innych Polaków też moglibyście coś zrobić – wymusić na politykach racjonalne działanie.

– Naszym obowiązkiem jest przede wszystkim walka o interes naszych spółek. I wolałbym się zatrzymać na swoim podwórku. Nie można się gniewać na rzeczywistość. Nie czu-

ję, żebyśmy my mieli taką bezwzględną możliwość przekonywania klasy politycznej do nowych idei – to wymaga dojrzałości obu stron.

Nie, to wymaga dobrego pomysłu i siły, nie liczymy już na dojrzałość naszych polityków. Panie prezesie, a czy pana interesuje, kto będzie rządził Polską?

– Oczywiście.

Dlaczego?

– Zależność między kierunkiem polityki rządowej a gospodarką jest oczywista. Strategia rozwoju, także takiej firmy jak moja, zależy od tego, jak dana partia czy koalicja rządowa będzie kształtowała otoczenie gospodarcze.

Ma pan różne scenariusze na rządy Leppera, na rządy Rokity, na rządy Belki?

– Oczywiście muszę się przygotowywać na różne ewentualności, ale nie mam jakichś specjalnych obaw. Np. z zapowiedzi pana Andrzeja Leppera wynika, że będzie chciał rozliczać nieuczciwe kontrakty gospodarcze. Moje są transparentne, poddane weryfikacji rynku, giełdy. W przypadku rządu pana Rokity... To bardzo doświadczony polityk, niepopulistyczny, reprezentuje partię, która rozumie doskonale rynkowe uwarunkowania.

Ale mówi, że jak zostanie premierem, to z jednej strony on będzie wchodził do budynku Urzędu Rady Ministrów, a z drugiej oligarchowie będą wyskakiwali tylnymi oknami.

– Tę wypowiedź odbieram jako wypowiedzenie wojny nieuczciwemu lobbingsowi.

Czyli nie bierze jej pan do siebie?

– Absolutnie nie. Wręcz cieszę się z takiej zapowiedzi.

Zna pan osobiście Leppera, rozmawiał pan z nim kiedyś?

– Nie.

Nie chce pan poznać człowieka, który w swoich poglądach gospodarczych odbiega znacznie od całej elity polskiej, a który być może będzie wywierał na pański biznes spory wpływ?

• OGŁOSZENIA MODUŁOWE • OGŁOSZENIA MODUŁOWE • OGŁOSZENIA MODUŁOWE • OGŁOSZENIA MODUŁOWE •

ZGŁOSZENIA
NA REKLAMY
MODUŁOWE
PRZYJMUJE

Grażyna Janiak
Tel./faks
(022) 584 21 72
Tel. kom. 0-503 134 293
grazyna.janiak@edipresse.pl

Agata Miklaszewska
Kamyk

To piękna książka.
Jej czysty i szlachetny język sprawia,
że opowieść o samotności i miłości
zamienia się w przypowieść o ludzkim losie.

Andrzej Stasiuk

czarne.com.pl

INTERIA.PL
MERLIN.PL
PRZE KROJ
wp.pl
zwierciadło
Notes



Avanti. Więcej niż prezent.



Nowe Avanti migdałowe z ciasteczkami.

To chyba mało mądre?

– Nie nazywałbym tego mało mądrym działaniem.

Nie chciałem tego nazwać głupotą.

– Rozumiem, to już wolę tę małą mądrość, ładniej brzmi.

Nie kusi pana intelektualnie ta znajomość?

– Poprzestaję na lekturze gazet z cytatami z Andrzeja Leppera. Nie mogę się obrażać na rzeczywistość.

Ale może pan ją zmieniać bardziej niż ja, bardziej niż zwykły Kowalski.

– Media mają ogromny wpływ na kształtowanie polityki gospodarczej.

To są truizmy. Pan również może mieć wpływ, a pan go nie chce mieć.

– Nie chcę tego, żeby nie być oskarżanym o nieczyste układy, nie chcę być bohaterem wyznań jakiegoś „skruszonego” polityka. Choć rozumiem, że prowadzenie dużych przedsiębiorstw wymaga pełnej świadomości, w którym kierunku jako kraj zmierzamy. **Ale równocześnie prowadzenie dużych przedsiębiorstw wymaga – oprócz działania w interesie**

swoich akcjonariuszy – czegoś więcej, pewnego rodzaju służby publicznej. A od tego obowiązku cały czas się uchylacie. Nie slyszalem na przykład o akcji stu najbogatszych polegającej na tym, że przestajecie wpłacać podatki do budżetu, tylko deponujecie je na kontach, np. sądów gospodarczych, i w ten sposób szantażujecie rząd w jakiejś dobrej sprawie, chcąc przeforsować jakieś nowe, sensowne rozwiązanie.

– Myślę, że pomysł jest wart rozważenia i przedyskutowania wśród przedsiębiorców. Chociaż myślę, że każdy ma tyle własnych kłopotów związanych z prowadzeniem przedsiębiorstwa...

A może jesteście po prostu egoistami?

– Nie, nie jesteśmy egoistami. Niech pan sobie wyobrazi, że realizujemy pańską propozycję, pragnąc przeforsować jakąś szlachetną ideę. Opinia publiczna, media rzucają się wtedy na nas, nazywając oligarchami szantażystami! Ze strony polityków też na pewno nie usłyszymy słów zachęty. Przecież cały czas słyszę, że oligarchowie i bogactwo jest

problemem. A przecież problemem jest bieda. I trzeba w końcu zrozumieć, że uniemożliwiają pracę oligarchom, zamykając ich firmy, powiększy się obszar biedy – przybędzie bezrobotnych.

Problemem jest stale powiększająca się różnica między biedą a bogactwem.

– To może być problem, ale powinniśmy próbować te problemy, każdy na swój sposób, rozwiązywać. Ja mogę być wrażliwy, płacić solidnie podatki, tworzyć miejsca pracy. Nie mam natury rewolucjonisty, jako przedsiębiorca nawet nim nie powinienem być. Żyję w świecie, który wymaga ciągłości i mało rewolucji.

Ja pana tylko namawiam, żeby pan niżej tym swoim odrzutowcem latał, a nie wyłącznie w chmurach. Coś jeszcze moglibyście Polakom, a właściwie czytelnikom pism kolorowych, dać od siebie. Nasi bogacze z listy „Wprost”, ich wizerunek publiczny, są szarzy jak mysz zakonna. Gdzie wam do tych wszystkich szaleństw, które uprawiają bogaci ludzie na Zachodzie! A może skutecznie skrywacie tę sferę przed mediami, a jesteście bardzo podobni do swoich zagranicznych kolegów?

– Nie mogę mówić o moich kolegach, natomiast ja – to wynika z czystej matematyki – po 14 godzinach pracy w biurze nie mam nawet czasu na żadne szaleństwa.

A swoją męskość realizuje pan, podpisując wielomilionowe kontrakty? Czuje pan wtedy taki przyływ testosteronu?

– Proszę mnie nie prowokować.

Szukam po omacku tych momentów, w których pańskie hormony znajdują ujście. Kiedy pan podpisuje kontrakt z ZUS-em, z PZU – czy są to momenty uniesienia, takiej męskiej satysfakcji?

– Bezwzględnie satysfakcji. Jeżeli wielomiesięczne negocjacje kończą się sukcesem, to jest to naprawdę ogromna ulga, ponieważ mam gwarancję, że to, co zbudowałem, firma, będzie miała pracę i zajęcie na parę najbliższych lat.

Ale ja nie chcę, żeby pan mi składał oświadczenia z prospektu emisyjnego, tylko opowiedział o tym, co się panu w środku dzieje!

– To jest po prostu rzeczywiste poczucie sukcesu.

Żadnej chwili szaleństwa?

– Nie.

Nie tańczy pan jak Grek Zorba?

– Nie.

Może chociaż upija się pan wtedy ze szczęścia?

– Nie, chociaż gdybym powiedział, że nie wypijamy jednej czy dwóch szklaneczek dobrej whisky, tobym skłamał.

To kiedy się pan świadomie ze szczęścia upije?

– Jeżeli moja córka po 15 latach wyrzeczeń i treningów wygra zawodowy turniej tenisowy, wtedy to zrobię.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB
WARSZAWA, 9 KWIETNIA 2004 R.

Żadnej chwili szaleństwa?

– Nie.

Nie tańczy pan jak Grek Zorba?

– Nie.

BARTEK CHACIŃSKI

PIOTR METZ pracował dla wszystkich liczących się koncernów radiowych w Polsce. Dziś rewolucja, którą sam rozpętał w radiu, sprawiła, że odszedł do telewizji

NIESFORMATOWANY

Dziesięć lat temu „Rolling Stone” napisał sensacyjną notkę o „dziennikarzu z Polski”, który przyjechał taksówką do Niemiec na wywiad z grupą AC/DC. To był Piotr Metz, wtedy dziennikarz RMF FM.

– Miałem wywiad w Bremie w sobotę w południe. Dla pewności zarezerwowałem samolot z Warszawy na 19 w piątek i miałem nocować w hotelu, gdzie był wywiad – opowiada. – Ekspres z Krakowa był o 15, a taksówkę zamówiłem z zapasem na 14, choć z RMF-u na dworzec jedzie się 15 mi-

nut. Ale tego dnia przyjechał do Krakowa Waleśa i miasto było całkiem zablokowane.

Na dworzec nie dojechał – pojechał taksówką do Warszawy, ale na samolot nie zdążył, więc poprosił o znalezienie taksówkarza z paszportem. – Podjechałem pod oddział RMF-u w Warszawie w środku burzy, stało tam stare audi z ojcem i synem, obaj z paszportami – przypomina sobie. – Plan mieli taki: syn jedzie do granicy, ojciec drzemie, potem syn nocuje w hotelu nad granicą, a ojciec jedzie dalej i gdy wraca, zmienia go wypoczęty syn na granicy.

Wyjechali w deszczu. W Polsce zatrzymała ich policja, a na terenie NRD samochód uderzył w samą. Nad ranem naprawili go na tyle, by dojechać do Bremy – 20 minut przed wywiadem.

– Opowiedziałem historię promotorce, a ona zespołowi, pokazałem im z 15. piętra hotelu rozbitą z przodu warszawską taksówkę, oni przejęli się, zaprosili mnie na obiad – opowiada Metz. „Rolling Stone” podkoloryzował: dziennikarz przeprosił, że nie skorzysta z obiadu, bo mu licznik bije.

Tak wyglądały początki prywatnego radia w Polsce. Gdy Metz był gwiazdą i dyrektorem

muzycznym RMF-u, nie było rzeczy niemożliwych. Teraz, po trzech latach od odejścia, trzyma kciuki za starą stację, ale już wie, że świat na niej się nie kończy. – RMF był tak potężną instytucją, że kiedy się siedziało tam w Krakowie na kopcu, miało się trochę skrzywione widzenie świata, widziało się świat z perspektywy RMF-u – mówi. – W pewnym momencie traci się balans między własną wartością a siłą swojej firmy. Na taki grzech zachorowało kilku moich kolegów: przestali odróżniać, czy to oni są tak dobrzy, czy też są z tak dobrej firmy, że się z nimi liczą.

Jego nowe stanowisko nazywa się „menedżer ds. muzycznych i programowych MTV Polska”. I skoro ten zatwardziały radiowiec poszedł do telewizji, można sądzić, że to radio się skończyło.

CZŁOWIEK OD PLAYLISTY

Trudno powiedzieć, czy Metz to ostatnia z wielkich postaci starego radia autorskiego, czy może pierwszy spec od radia komercyjnego. Zaczynał przecież od pracy w Trójce – w 1982 roku. Odkrył go Wojciech Mann jako juror „Wielkiej gry” o Beatlesach. Metz zgłosił się do teleturnieju i po wstępnym teście usłyszał od Manna, że za dużo wie. Ten nie dopuścił go do dalszej gry, za to umożliwił debiut w Trójce.

Z Trójki pozbył się go Grzegorz Miecugow. – To były inne czasy, ja wtedy nie szukałem człowieka, który będzie mi muzycznie programował stację – komentuje tę decyzję dziś. – Mielśmy poza tym nadmiar świetnych



Kiedy Metz odchodził z RMF-u, trwał okres naporu na badania. – Postanowili zbadać prawie wszystko, co jest w bibliotece radia – mówi Metz. – I ku swojemu zdumieniu koło 13 usłyszałem w radiu „Greka Zorbę”, ten instrumentalny utwór z filmu. Myślałem na początku, że umarł ktoś albo taki żart sobie zrobili. Okazało się, że to było normalnie na rotacji. Bo w bibliotece RMF-u była składanka z „Grekiem Zorbą” i wzięli na pewno tę płytę do badań. Zwykle w badaniu zadaje się dwa pytania: „Czy znasz?”

W RMF-ie spędził 11 lat: – Od wspólnego malowania ścian doszliśmy do statusu giganta medialnego

autorów. Czy mogę dziś powiedzieć, że zawiódła mnie intuicja? Pewnie tak.

Metz ma sentyment do tego radia, ale uważa Trójkę za zmarnowaną szansę: – Gdyby w 1991 roku ktoś rozsądnie ją sprywatyzował, to zabiłby Zetkę i RMF.

Sam wyładował wtedy w RMF-ie, ściągnięty przez Edwarda Miszczaka (dziś szef programowy TVN), by przez 10 lat współtworzyć największe polskie radio komercyjne. – Byłem facetem z Trójki, która w latach 80. była stacją guru, po czym w RMF-ie okazało się, że cała moja 10-letnia wiedza radiowa nagle jest do kosa, bo to radio prywatne i wszystko trzeba zacząć od nowa – mówi. Po latach dogonił go jednak rozpędzony pociąg, który na polskim rynku sam wprawił w ruch, tworząc w RMF-ie instytucję playlisty radiowej – czyli odgórnego planowania piosenek granych z daną częstotliwością w danych porach dnia i nocy.

– Gdybym ja tego nie zrobił, wpadłby na to za dwa lub trzy tygodnie ktoś inny – broni się. Co prawda tworzył playlisty, ale – jak mówi – zawsze uchodził za przeciwnika badań. A badania tworzą dziś ramówki radiowe. Wzorem Amerykanów polskie stacje co tydzień testują fragmenty nowych piosenek na słuchaczach, by stwierdzić, co najlepiej sprawdzi się w radiu.

– Amerykanie mają radio komercyjne od 50 lat i zjedli na tym zęby – komentuje Metz. – Uważają, że by utwór zbadać, on musi mieć najpierw 75 emisji na antenie. Gdyby grać utwór pięć razy dziennie, to jest 15 dni – i zaczynamy mieć sprzeczność. Bo RMF chciał badać utwory, których nikt jeszcze nie słyszał. Jeśli do kosztów takich badań podejść rozsądnie, to zamiast całej piosenki puszcza się człowiekowi 15–20 sekund. Czasem i 15 utworów po kolei. Takie badanie byłoby sensowne w warunkach, które są nierealne z uwagi na koszty.

Po co naprawdę są badania? Metz: – Właściciel stacji chce mieć jakiś dowód, że to, co gra się u niego w stacji, to nie jest prywatny gust albo nacisk znajomych i żony szefa muzycznego. Ja go rozumiem, bo to jego pieniądze. Natomiast on nie powinien spać spokojnie, dostając taki wydruk komputerowy z wynikami badań.

i „Czy ci się podoba?”. A w tym wypadku jedna i druga odpowiedź to 99 procent na „tak”. Ale to jeszcze nie oznacza, że to trzeba grać!

STRACH PRZED RMF-STACJĄ

Pod koniec pracy Metza w RMF-ie był moment, gdy był dyrektorem programowym, muzycznym i miał przez siedem dni w tygodniu własne audycje. Dziś mówi, że wywołało to „zmęczenie materiału”. – Od tamtej pory staram się już nie łączyć funkcji zarządzających z antenowymi.

Był też konflikt personalny z szefem radia Stanisławem Tyczyńskim. – Przez 11 lat pracowaliśmy razem, blisko i w sytuacji od malowania ścian na początku doszliśmy do statusu giganta medialnego – mówi Metz. – Koncert Inwazji Mocy pod Krakowem był chyba rekordem wszech czasów, jeśli chodzi o liczbę widzów. W pewnym momencie lepiej już ze sobą nie pracować. Tyczyński mi tego nie powiedział wprost, ale dawał do zrozumienia różnymi metodami, że ten pociąg rzeczywiście mnie dogonił i przejechał – że są czasy komercyjne i ja jestem raczej blokadą dla stacji.

Potwierdza, że dostał wtedy ofertę z dużej konkurencyjnej stacji i Tyczyński go przytrzymał. – Do tej pory nie wiem po co, być może po to, żebym to nie ja odszedł, tylko żeby on mnie zwolnił – mówi. W 2001 roku musiał odejść. Zawrzało, gdy okazało się, że został szefem programowym młodzieżowej Radiostacji.

– Myśleliśmy, że przychodzi koleś z RMF-u i będzie robił „RMF-stację” – mówi jeden z pracowników Radiostacji. – Tymczasem okazało się, że zmiany, które wprowadza, są bardzo delikatne. A układając playlistę, chciał kierować się swoją intuicją i wiedzą, a nie badaniami, co próbowano mu narzucić.

Jako nowy szef Radiostacji podjął zobowiązania: że poprawi wyniki i, po drugie, że ra-

dio zachowa dotychczasowy autorsko-młodzieżowy charakter. Udało się poprawić wyniki, ale czy to drugie się udało? – Wiele osób mówi, że tak, ja nie jestem z perspektywy czasu przekonany – przyznaje Metz, który po nieco ponad roku odszedł z Radiostacji.

– Nie wiedziałem, że wejść we wrogi mi zespół, nie znalazłem okoliczności, w których odchodził Paweł Sito, mój poprzednik – dodaje. – Za swój ogromny sukces uważam to, że po półtora roku ludzie zafundowali mi prywatnie wielką imprezę na odejście.

– Był lojalny wobec zespołu – mówi Jacek Hawryluk, wówczas prezenter Radiostacji. – Gdy odchodził, powiedział nam: „Dopóki możecie robić to, co chcecie, to zostańcie, bo jeśli odejdziecie, będzie komputer i playlista”.

Nawet ci nieufni na początku żegnali się z nim wylewnie, a on przed odejściem puszczał na antenie „Sznurowadła” Fisa: „Tęsknię, choć wiem, nie powinienem, zostałem sam, jak stoję, z rozsznurowanymi butami, mam pełen słoik słonych wspomnień o tobie...” – to było jego pożegnanie z radiem.

PONAD 23 SEKUNDY

Czy radio musi zostać plastikowe, nijakie, oparte na badaniach, a rynek radiowy w Polsce – podzielony między dwie największe stacje komercyjne?

– W normalnej sytuacji powiedziałbym, że jak gdzieś indziej na świecie, za chwilę radio zacznie stawiać na indywidualności – mówi Metz. – Skończy się radio wyłącznie anonimowych lektorów zapowiadających slogany stacji, a będziemy mieli takich Mannów XXI wieku, bo Wojtek Mann jest dla mnie idealnym przykładem indywidualności radiowej. Powiedziałbym, że zacznie decydować nos i indywidualność prowadzącego, a może szefa stacji, który będzie potrafił tej stacji dodać coś takiego, że to radio będzie wyglądało idealnie, jak od igły. Ale czasy są dziwne, jeśli chodzi o elektronikę i postrzeganie mediów. Wszystko się zmienia – na przykład album jako forma przekazu muzyki w ciągu dwóch lat może zniknąć. Nikt nie zauważa, że w fonografii medium – najpierw płyta winylowa, później kompakt – determinowało w ogóle przekaz artystyczny. Teraz prawie na pewno będą się liczyły pojedyncze utwory – dodaje Metz, prywatnie słynący jako kolekcjoner starego sprzętu audio, wielbiciel Beatlesów i Stonesów. – Czy w takich warunkach da się coś przewidzieć?

W Radiostacji coś zaczął, ale nie doprowadził nic do końca. Podobnie w Esce Kraków, dokąd uciekł z Radiostacji, by stworzyć lokalne radio, które lokalnie dogoniło w słuchalności RMF. Ale pod koniec 2003 roku Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji wezwała Eskę, by ta zaprzestała nadawać. Rozgorzał spór o częstotliwość między Eską a innym miejscowym radiem Blue FM. Tym razem Metza wyгнаły z pracy względy formalnoprawne. Ale teraz ludzie, których ściga-

gnął do Eski z RMF-u i Radiostacji, zostali niejako na lodzie. – Tak bym tego nie określił – mówi. – Zostawiłem tam Marcina Jędrycha, który będzie się dobrze opiekował radiem.

– Postawiliśmy na bardzo młodego słuchacza. Stwierdziliśmy, że RMF się zestarzał, więc nie ma już w Krakowie stacji dla młodzieży – mówi Metz. – Poza tym nie sformtowaliśmy ludzi. A to bardzo ważne, bo te same płyty i piosenki mają wszyscy. Za to nasi ludzie nie czytali sloganu stacji w każdym wejściu, mówili trochę więcej niż standardowe 23 sekundy, które wychodzą z badań.

– Eska to dla mnie doświadczenie z fajnym, do bólu lokalnym radiem – podsumowuje. – Ja bym kiedyś chciał zrobić jeszcze bardziej lokalne radio na starość.

Na razie jednak Piotr Metz – obecnie 46 lat, zapalony kibic Wisły Kraków (w której gra jego syn) – musiał wrócić do Warszawy, z którą przez okres Radiostacji trudno mu się było oswoić. Tym razem do telewizji.

BARDZIEJ NIEGRZECZNA TELEWIZJA

– W ciągu ostatnich paru lat Piotr kilka razy zmieniał miejsce – komentuje Miecugow, który sam w telewizji pracuje od wielu lat. – I ta częstotliwość zmian dowodzi – nie mógł znaleźć dla siebie miejsca. Jego decyzja nie jest dla mnie zaskoczeniem. Droga do telewizji jest dla

radiowców naturalna. W radiu prędzej czy później każdy staje pod ścianą, wie, że zaczyna się powielać.

Kiedyś, reprezentując RMF, Metz podpisywał umowy o współpracy z europejską MTV – krakowska stacja nadawała na przykład dźwięk stereo w podkładzie do słynnych koncertów Unplugged w MTV. Teraz oferta z MTV była wybawieniem wobec problemów Eski.

– Odszedłem bardziej do MTV niż do telewizji. Bo MTV nie jest typową telewizją. W jakiś sposób jest to medium telewizyjne najbliższe radiu muzycznemu. Fascynowało mnie długo, przy czym dopiero niedawno uświadomiłem sobie, że to jest największa telewizja na świecie, ona dociera do większej liczby osób niż CNN. Poza tym to tu powstały nowe formy telewizyjne, takie jak reality show. Niektóre pomysły są kontrowersyjne, ale na pewno nie można się tam nudzić.

Kontrowersyjna jest na pewno nowa ramówka MTV Polska – wejdą do niej najostrożniejsze programy amerykańskie, w tym „Jackass” z żartami często spoza granicy dobrego smaku na czele. Metzowi podoba się w programach tego typu właśnie przekraczanie pewnych granic. – Chcemy pokazać MTV nie jako wyłącznie telewizję muzyczną, bo to już nie jest tylko muzyka. Chcemy też udowodnić, że byliśmy niegrzeczną telewizją trochę wcześniej niż

TVN, i myślę, że jesteśmy niegrzeczną telewizją dla trochę młodszych niż tamta stacja.

Metz odpowiada dziś za program i muzykę w obu polskich kanałach: MTV i MTV Classic. Na antenie nie będzie się pojawiać. Również ze względów – jak określa – „biologicznych”.

Na swój sposób Metz jest radiowcem-kombatantem. Słychać w nim tęsknotę za pionierskimi czasami radia i za czynnikiem ludzkim, choć ten ostatni z radia wypędza machina, do której stworzenia sam przyłożył rękę.

PIERWSZY CZY OSTATNI

Jest jeszcze finał sprawy z AC/DC. – Taksówkarz wypisał rachunek na 13,5 miliona starych złotych – wspomina Metz. – I poszedłem do naszego dyrektora finansowego. On na to: „To serio?”. A ja: „Ale udało mi się odwołać samolot, który kosztował 15 milionów!”.

Metz też coś zyskuje i coś traci. Może ma pecha, bo w radiu zaliczył najważniejszych komercyjnych właścicieli i nie ma już gdzie pracować. Ale równie dobrze radio może mieć pecha, że traci Metza. – To nie był pierwszy człowiek, który przyszedł to radio zniszczyć, ale ostatni, który próbował go bronić – podsumowuje jego podwładny z czasów Radiostacji.

BARTEK CHACIŃSKI,
WSPÓŁPRACA MAŁGORZATA SADOWSKA

infolinia 0-801 117 117 www.alfaromeo.pl

Pokusy chodzą parami

Teraz możesz skorzystać z dwóch promocji naraz i zaoszczędzić do 10 500 zł.

Po pierwsze: luksus. Proponujemy wysoki rabat na specjalny pakiet wyposażenia lub serię TI (m. in. felgi 17", opony 215/45, skórzane czarne sportowe fotele, aluminiowe nakładki na pedały, tylny spoiler).

Po drugie: finansowanie. Oferujemy kredyt 50/50 lub preferencyjne raty, lub pełny pakiet ubezpieczeń gratis, lub upust cenowy.



Oferta dotyczy modeli Alfa 147, 156 i Sportwagon; ceny już od 61 500 zł. Nie zwlekaj, skontaktuj się z najbliższym dealerem, bo liczba samochodów i czas podwójnej promocji są ograniczone.

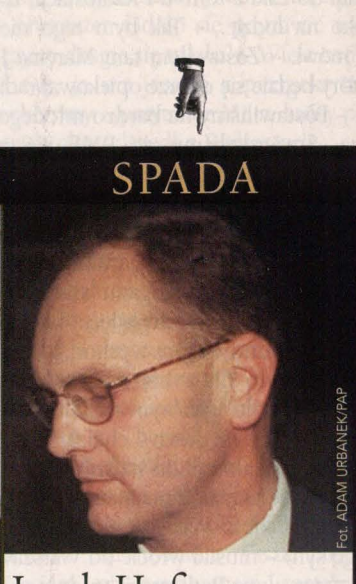
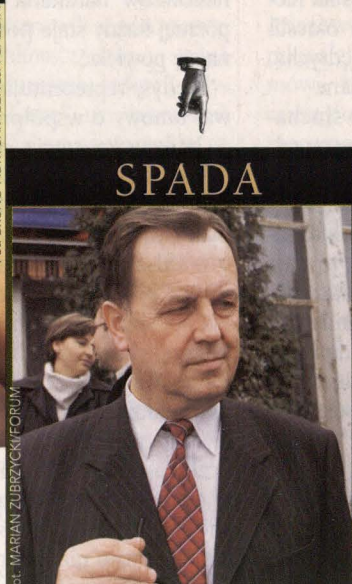
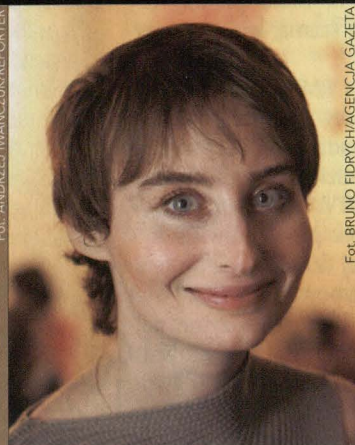
Białystok: Konryst; Bielsko-Biała: Centrum Sprzedaży FAP; Bydgoszcz: Autex; Częstochowa: TFA Poland; Gdańsk: Auto-Plus; Kraków: Polinar, Viamot; Leszno: Lemacar; Łódź: Auto Fapol, Maredi; Mława: Autoservis; Opole: Ropako; Poznań: Pol-Car; Pszczyna: Ganinex; Rzeszów: Auto-Res; Słupsk: Auto-Diug; Szczecin: Auto-Gryf; Warszawa: Boftowicz, Carserwis, Dukiewicz; Wrocław: ADF Auto; Zielona Góra: Auto-Pol; Żory: Euromot.

Autoryzowane Salony
Alfa Romeo



ŚWIECI

ŚWIECI



SPADA

SPADA

Fot. MARIAN ZUBRZYCKI/FORUM

Fot. ADAM URBANEK/PAP

Jarosław Wałęsa KANDYDUJE

Nazwisko Wałęsa wraca na listy wyborcze. Tym razem nie chodzi o Lecha, ale o Jarosława, syna byłego prezydenta, który zamierza startować w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Dodajmy, że chodzi o syna najporządniejszego, za którym nie ciągną się przygody z „pomrocznością jasną” ani wyroki za jazdę po pijaku.

Jarosław ma 28 lat. Przez osiem lat mieszkał w USA, studiował tam politologię na Uniwersytecie Świętego Krzyża w stanie Massachusetts. Do Polski wrócił w zeszłym roku, pracuje w biurze ojca w Gdańsku. Nie ma doświadczenia politycznego w kraju, choć pewnie nie uniknie oczywistych skojarzeń ze sławnym tatą.

Będzie kandydował do europarlamentu z listy Narodowego Komitetu Wyborczego Wyborców (NKWW) Macieja Płażyńskiego. Zajmuje na niej 10., ostatnie, miejsce, ale się tym nie przejmuje. – Z takim nazwiskiem nie zginę – mówi. Były prezydent zapowiedział wsparcie dla potomka. Zresztą wynik wyborczy młodego Wałęsy będzie jednocześnie testem zaufania dla starego Lecha.

Katarzyna Haber ILUSTRUJE NAM

Przed fotografami ciężkie czasy. Coraz częściej zdjęcia w kolorowych magazynach zastępowane są ilustracjami zdolnych plastyków i rysowników – robią karierę także w „Przekroju” (patrz rysunki Marcina Maciejowskiego). Ostatnio uwagę zwraca na siebie Katarzyna Haber. Jej ilustracje regularnie zdobią okładki magazynu „Café”, a wystawy powoli wjeżdżają na stołeczne salony – ostatni wernisaż nowych grafik Katarzyny odbył się w modnej warszawskiej knajpie Między Nami.

Artystka ma 30 lat, jest absolwentką historii sztuki. Pracuje w dziale graficznym Canal+, zajmuje się też projektowaniem stron internetowych. Jej pierwszą pracą była seria grafik z bulterierem w dzinsach. – Zauważyłam, że najlepiej sprzedają się dzieci i psy – przekonuje.

Teraz staje się modną ilustratorką, ale nie do końca odpowiada jej ten wizerunek. – Jestem jak najdalsza od uznawania siebie za artystkę – tłumaczy. – To, co robię, to rzemieślnicza praca, dekoracja do wykorzystania w celach czysto użytkowych. Moje prace rzadko żyją własnym życiem, trudno je oderwać od artykułu, który ilustrują.

Zbigniew Antoszewski ALE WYBRAŁ

Okazuje się, że nowe ugrupowanie Marka Borowskiego nie jest lekiem na całe zło SLD. Były senator socjaldemokracji Zbigniew Antoszewski pogardził „borówkami” i zniechęca został doradcą Samoobrony. Wcześniej wielokrotnie krytykował partyjnych kolegów, nie bał się konfliktu z łódzkim baronem Leppera. Choć nie jest jeszcze członkiem Samoobrony, nie wyklucza startu do europarlamentu właśnie z jej listy.

Ten krok stawia pod znakiem zapytania prawdziwe intencje byłego senatora. Nie wiadomo, czy Antoszewski rzeczywiście chce walczyć z korupcją, czy też bardziej zależy mu na władzy, którą łatwiej będzie mu zdobyć, podczepiając się pod ugrupowanie gwałtownie zyskujące na popularności. Pytanie, czy takie myślenie nie jest krótkowzroczne. O Samoobronie można powiedzieć wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że jest partią ludzi o wyłącznie kryształowych życiorysach.

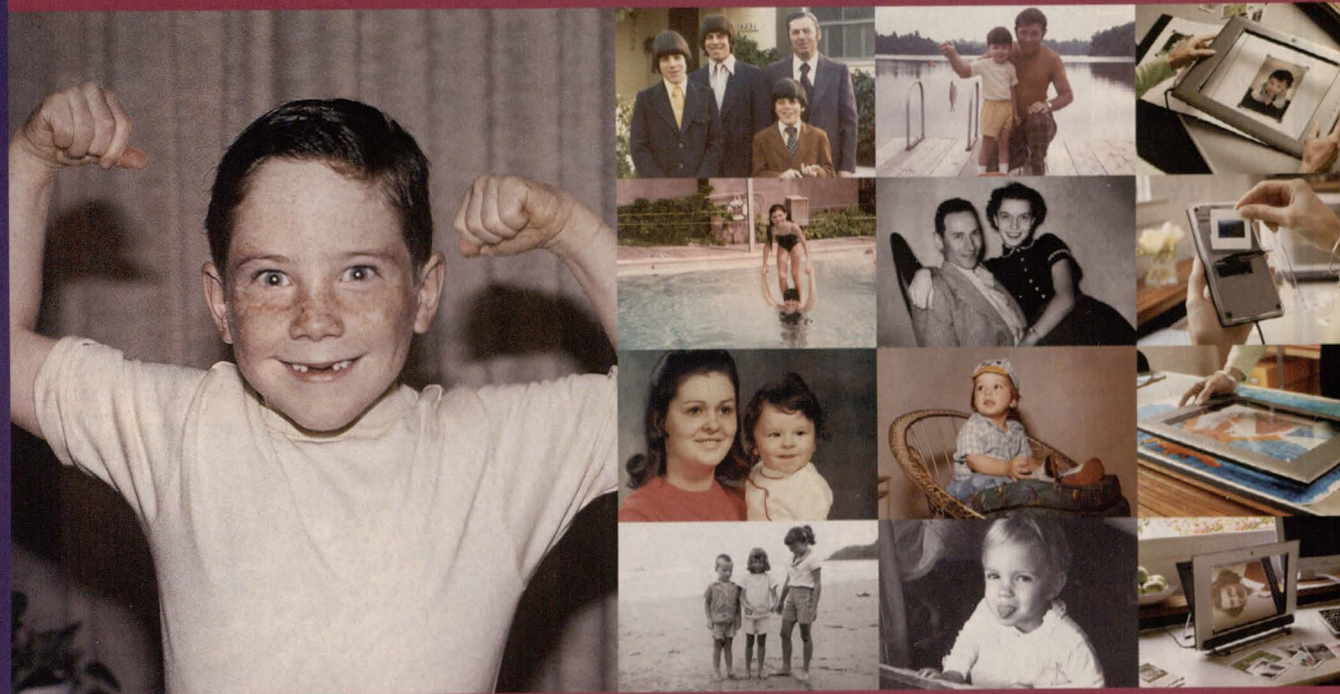
Jacek Hofman JEDNAK KŁAMCA

Sąd Najwyższy ostatecznie oddalił jako bezzasadną kasację od wyroku Sądu Lustracyjnego, który orzekł, że znany warszawski adwokat Jacek Hofman jest kłamcą lustracyjnym.

Mecenas Hofman nie przyznał się w oświadczeniu lustracyjnym, że w czasach PRL był agentem służb specjalnych. Pod koniec lat 70., jeszcze na studiach, został szantażem zwerbowany przez SB, a za współpracę zdarzyło mu się trzykrotnie pobrać wynagrodzenie. Dlaczego ukrył przeszłość – nie wiadomo, trwając klika lat proces toczył się za zamkniętymi drzwiami. Jeszcze w 2000 roku Sąd Najwyższy uchylił poprzednie orzeczenie Sądu Lustracyjnego i przekazał mu sprawę do ponownego rozpatrzenia, ten jednak po dwóch latach wydał taki sam wyrok.

Nazwisko Hofmana pojawiło się przy okazji procesów przeciw redaktorowi naczelnemu „Gazety Polskiej” Piotrowi Wierzbickiemu po opublikowaniu przez niego nazwisk z „listy Macierewicza” – Hofman był obrońcą Wierzbickiego i pracował w zarządzie wydawcy gazety. Wcześniej był także likwidatorem majątku PZPR.

Wyrokiem sądu na 10 lat traci prawo do wykonywania zawodu adwokata.



SKANUJ ZDJĘCIA Z DZIECIŃSTWA – ZE SWOJEGO ALBUMU.

SKANUJ ZDJĘCIA DZIADKÓW – UKRYTE W PUDEŁKU.

SKANUJ PLAKATY I OBRAZY WISZĄCE NA ŚCIANIE W POKOJU.

SKANUJ PRZEDMIOTY NIEMOŻLIWE DO ZESKANOWANIA WCZEŚNIEJ.

PRZEDSTAWIAMY PIONOWY PRZEZROCZYSTY SKANER HP SCANJET 4670

Zobacz możliwości nowego, pionowego skanera HP Scanjet 4670.

Jego cieniutka, lecz solidna szyba z materiału poliwęglanowego pozwoli Ci skanować przedmioty, które są nieosiągalne dla innych skanerów. Z załączoną przystawką możesz skanować slajdy i negatywy. Dokumenty i zdjęcia wielkiego formatu też nie stanowią problemu. Skanuj je w częściach, a potem połącz w całość przy pomocy oprogramowania Arcsoft Panorama Maker. Teraz wystarczy już tylko 6 sekund, żeby zobaczyć rzeczywiste zdjęcia o rozdzielczości optycznej 2400 dpi i 48-bitowej głębi koloru. Z łatwością będziesz mógł z niego korzystać, a dzięki wyjątkowej zgrabnej i płaskiej obudowie skaner zmieści się wszędzie.

Sprawdź na stronie: www.hp.pl/foto lub zadzwoń: 0 800 122 622

you + hp



Sytuacje przedstawione na zdjęciach są zaaranżowane. Photosmart jest zastrzeżonym znakiem handlowym © 2004 Hewlett-Packard Company, L.P. Wszelkie prawa zastrzeżone.

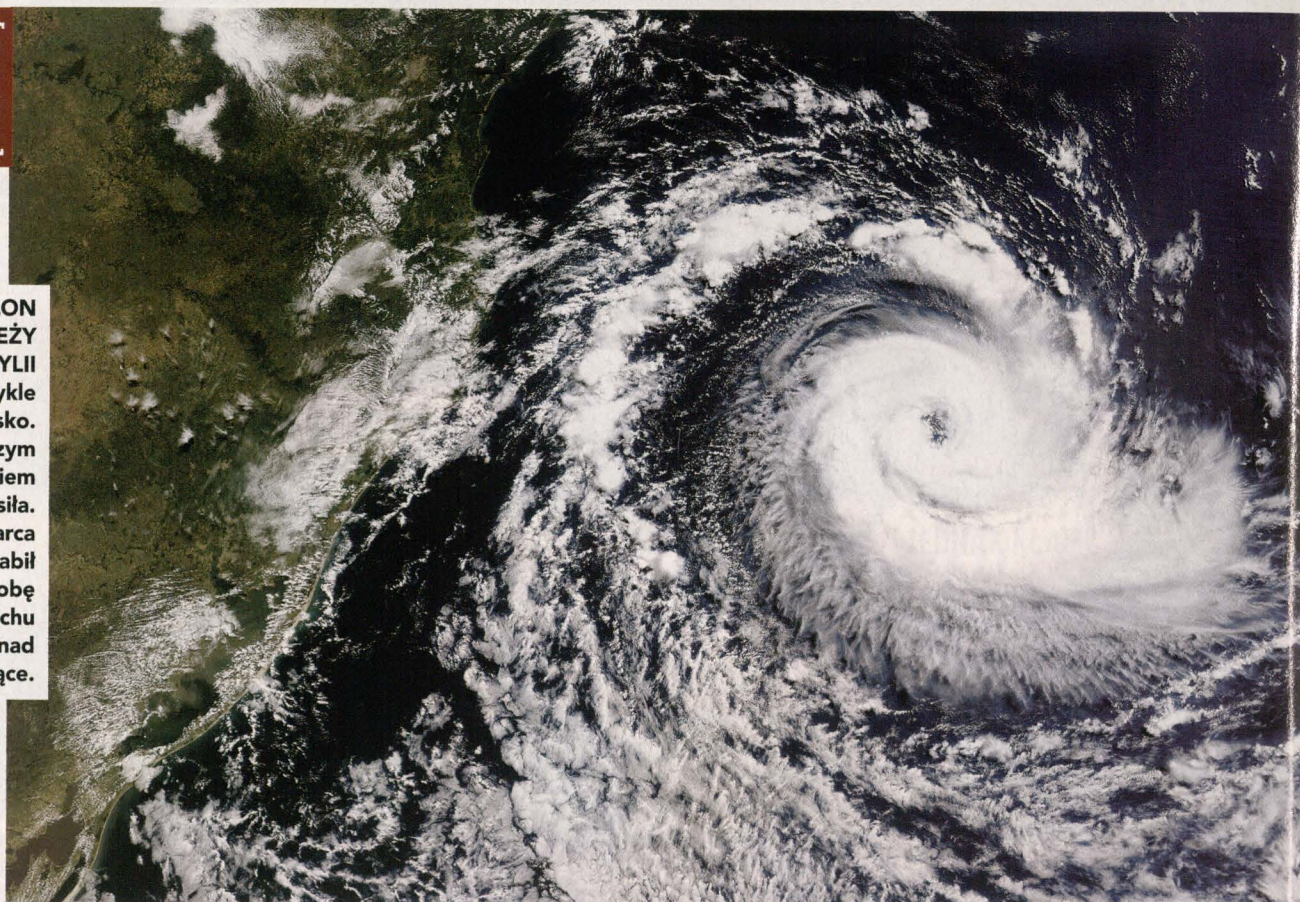
hp
invent

Błędy niektórych ludzi są zapładniające. Słuszne racje innych – wyjąławiają.

FREGE GOTTLÖB (1848–1925), NIEMIECKI MATEMATYK I LOGIK

[z bliska]

CYKLON W WYBRZEŻY BRAZYLII to niezwykle rzadkie zjawisko. Tym większym zaskoczeniem była jego siła. Pod koniec marca kataklizm zabił jedną osobę i pozbawił dachu nad głową ponad trzy tysiące.



Śpiew i mowa

Ten sam gen, dzięki któremu ludzie potrafią mówić, sprawia też, że ptaki śpiewają. Ową gen nazwano FoxP2. Osoby, u których jest on uszkodzony, mają charakterystyczne zaburzenia mowy – nie potrafią właściwie wymawiać słów i układać z nich poprawnych gramatycznie zdań. Nie radzą też sobie z rozumieniem złożonych wypowiedzi. Badania niemieckich i amerykańskich naukowców pokazały, że ludzki FoxP2 jest niezwykle podobny do wersji genu, jaka występuje u ptaków śpiewających – różnice nie przekraczają

dwóch procent. Inaczej jest u ptaków, które nie uczą się sekwencji wokalnych – tu różnice były większe. Zdaniem naukowców oznacza to, że owe dwa procent różniące nas od ptaków nie odpowiadają za artykułowanie dźwięków, lecz raczej za tworzenie z tych dźwięków konstrukcji gramatycznych. Oczywiście FoxP2 to niejedyny gen, dzięki któremu mówimy, ale fakt, że dzielimy go z ptakami, świadczy o tym, że pojawił się w ewolucji bardzo wcześnie.

Tłumacz dla niesłyszących

Naukowcy z Politechniki Śląskiej pracują nad nietypowym tłumaczem komputerowym. Ma on przekładać teksty napisane w języku polskim na Polski Język Migowy, którym posługują się ludzie niesłyszący. Zadanie jest o tyle trudne, że składnia polska jest zupełnie



Fot. PAP

inna od migowej – to dwa języki, którymi można przekazać te same treści, choć w zupełnie inny sposób. Początkowo więc system zamienia składnię, a następnie tworzy animacje gestów przekazujących informację migową. System ma znaleźć zastosowanie w nauce języka migowego dla słyszących i głuchych oraz ułatwić porozumiewanie się na przykład podczas wizyt lekarskich.

Kawa zdrowa

Dobra informacja dla miłośników kawy – tym razem naukowcy znaleźli w niej skład-

niki, które mogą pomóc w zapobieganiu chorobom serca i nowotworom. Chodzi o przeciwutleniacze, które likwidują w organizmie wolne rodniki. Okazało się, że kawa zawiera ich nadszereg. Wszystko dlatego, że dziecko, które umie tylko siedzieć, dzięki chodzikowi może się szybko poruszać i sięgać w niebezpieczne miejsca. Jego mózg nie jest jeszcze przygotowany do takich działań – poruszając się w chodziku, dziecko może spaść ze schodów czy wpaść do basenu, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa. W ciągu 12 lat odnotowano niemal dwa tysiące przypadków obrażeń ciała u dzieci poruszających się w chodzikach. Jeżeli władze znajdą u kogoś chodzik, mają nakazać jego zniszczenie.

Wojna z chodzikami

Kanada zakazała sprzedaży, reklamy i importu dziecięcych chodzków. Uznano, że są one niebezpieczne dla życia i zdrowia dzieci. Wszystko dlatego, że dziecko, które umie tylko siedzieć, dzięki chodzikowi może się szybko poruszać i sięgać w niebezpieczne miejsca. Jego mózg nie jest jeszcze przygotowany do takich działań – poruszając się w chodziku, dziecko może spaść ze schodów czy wpaść do basenu, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa. W ciągu 12 lat odnotowano niemal dwa tysiące przypadków obrażeń ciała u dzieci poruszających się w chodzikach. Jeżeli władze znajdą u kogoś chodzik, mają nakazać jego zniszczenie.

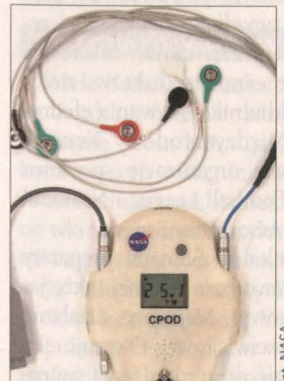
Czarna skrzynka

Malerkie urządzenie monitorujące czynności organizmu człowieka to efekt trzech lat



Fot. GETTY IMAGES/FRM

pracy naukowców z NASA. To coś w rodzaju czarnej skrzynki instalowanej w samolotach. System ma rejestrować czynność serca, oddech, cechy chemiczne i fizyczne krwi. Zalecą urządzenia są jego rozmiary – przy wadze 60 gramów można je nosić na ręku niczym zegarek. W zależności od potrzeby do czarnej skrzynki można podłączyć różne czujniki – inne przydadzą się kosmonautom pracującym w przestrzeni, inne nurkom, a jeszcze inne strażakom. Konstruktorzy wbudowali też akcelerometry mierzące działające na urządzenie siły. Zestawienie tych danych z informacjami o stanie organizmu pozwoli na przykład precyzyjnie określić reakcje pilotów na przeciążenia. System nie tylko gromadzi informacje o stanie człowieka, lecz także, dzięki łączu Bluetooth, może je przesyłać do komputera. Dzięki temu stan człowieka można monitorować z zewnątrz i w razie potrzeby udzielić pomocy. NASA zdecydowała się na opracowanie nowego syste-



Fot. NASA

mu dlatego, że wszystkie dotychczasowe rozwiązania były zbyt uciążliwe w codziennym użytkowaniu. Wymagały zakładowania wielu czujników podłączonych do dużych urządzeń zbierających dane. Tymczasem chodziło o coś, co kosmonauta przebywający na orbicie może nosić bez problemu przez cały dzień. Rozważane jest już wykorzystanie tego rozwiązania w monitorowaniu stanu ludzi cierpiących na przewlekłe choroby: wady serca, cukrzyca czy epilepsję.

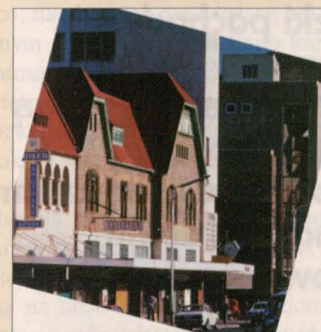
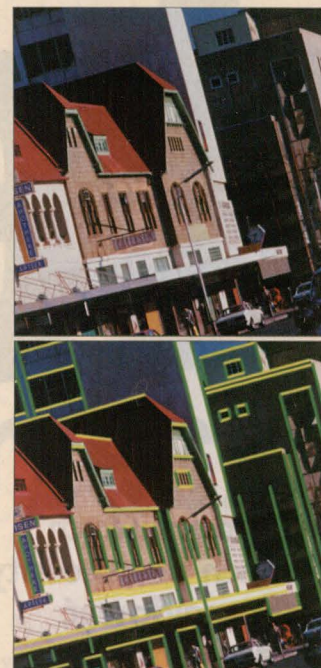
CO PIJEMY?

Polacy przestają być narodem miłującym wódkę. 59% z nas pija piwo, a tylko 45% rączy się gorzałką

Różnice zwiększają się, gdy przyjrzymy się poszczególnym płciom: 63% mężczyzn pija wódkę, podczas gdy tylko 28% pań przyznaje się do takich upodobań

Kobiety doceniają za to inne alkohole: 33% z nich lubi wina musujące, 27% chętnie pija zwykłe wino, a 16% sięga po likiery

Badanie TNS OBOP



Fot. CORBIS/FREE

Znajdź na zdjęciu

Wyobraź sobie, że zgubiłeś się w obcym mieście, nie znasz języka, a na dodatek za pół godziny zaczyna się niezwykle ważne spotkanie, dla którego tu przyjechałeś. Możesz się rozplakać, ale wkrótce może pojawić się lepsze rozwiązanie. Dwóch naukowców z Cambridge, Duncan Robertson i Roberto Cipolla, pracuje nad systemem, który nie tylko błyskawicznie określi, gdzie jesteś, lecz także wskaże ci drogę.

Oczywiście podobne systemy już istnieją. Po pierwsze jest to GPS, nawigacja satelitarna. Ma on jednak wiele wad – po pierwsze, trzeba mieć przy sobie drogi odbiornik pozwalający na zlokalizowanie swojej pozycji. Po drugie, taki odbiornik słabo sobie radzi w mieście, gdzie satelity zasłonięte są przez wysokie budynki. Po trzecie, nawigacja satelitarna daje dokładność namiaru rzędu 10 metrów i nie jest w stanie określić, w którą stronę akurat patrzysz.

Drugie ze stosowanych rozwiązań to określenie pozycji telefonu komórkowego na podstawie siły sygnału. Tu dokładność jest jeszcze gorsza – rzędu 50–100 metrów.

Nowy system opiera się na użyciu coraz popularniejszych aparatów cyfrowych zbudowanych w telefonach komórkowych. Wystarczy zrobić zdjęcie miejsca, w którym stoimy, i wysłać je MMS-em pod określony, dodatkowo płatny numer. Komputer najpierw skoryguje ewentualne odchylenia od pionu, określając na zdjęciu pionowe i poziome krawędzie. Następnie obróci odpowiednio zdjęcie i zlokalizuje na nim charakterystyczne punkty węzłowe – narożniki, okna, drzwi czy dachy. Później przeszukiwana jest baza danych o mieście w poszukiwaniu charakterystycznego układu punktów. Poszukiwany rejon zawężony jest dzięki namiarowi pochodzącemu z sieci komórkowej.

Gdy przysłane zdjęcie zostanie zidentyfikowane, zagubiony człowiek jest już zlokalizowany, a w dodatku wiadomo, w którą stronę akurat patrzy. Wystarczy mu więc wysłać informację: „Odwróć się w lewo, idź do najbliższych świateł, potem w prawo do dużego, białego gmachu”.

System na razie znajduje się w fazie testów – nie wiadomo, czy i kiedy będzie wdrożony komercyjnie. Pomysł jest jednak na tyle ciekawy, że operatorzy sieci powinni się nim zainteresować. (PST)

[Zagadka]

Z WIATREM I POD WIATR

W BEZWIETRZNĄ POGODĘ SAMOŁOT LECI GODZINĘ Z KRAKOWA DO WARSZAWY I TYLE SAMO Z POWROTEM. ŁĄCZNIE DWIE GODZINY LOTU. CZY JEŚLI W CZASIE TAKIEGO REJSU BĘDZIE WIAŁ ZE STAŁĄ PRĘDKOŚCIĄ WIATR OD WARSZAWY DO KRAKOWA, TO W SUMIE SAMOŁOT BĘDZIE LECIAŁ TAM I Z POWROTEM KRÓCEJ NIŻ DWIE GODZINY CZY DŁUŻEJ? A MOŻE TYLKO SAMO?

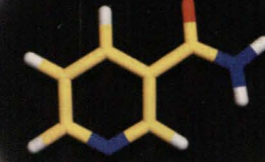
ODPOWIEDŹ DO ZAGADKI Z NUMERU 16

JEŻELI KAŻDY CHŁOPIEC W RODZINIE MA CO NAJMNIEJ DWÓCH BRACI, TO MUSI BYĆ NIE MNIEJ NIŻ TRZECH CHŁOPCÓW. PODOBNE – SKORO KAŻDA DZIEWCZYŃKA MA CO NAJMNIEJ CZTERY SIOSTRY, TO MUSI BYĆ NIE MNIEJ NIŻ PIĘĆ DZIEWCZYNEK. A WIĘC RODZINA LICZY NIE MNIEJ NIŻ OŚMIORO DZIECI.

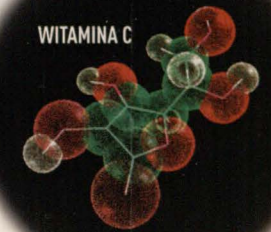
Tabletki na rozgrzeszenie

OLGA WOŹNIAK

WITAMINY B3



WITAMINA C



W wielu popularnych preparatach bez recepty mogą się znajdować groźne dla zdrowia związki pochodzenia roślinnego. Nawet zwykle witaminy mogą nam przysporzyć kłopotów, jeśli będziemy ulegać modzie na „zdrowie w pastylce”

Sświęcie wierzymy, że zapewnią nam długie życie i wieczną młodość. Ich obecność w dowolnym środku spożywczym (nawet w cukierkach!) jest gwarancją jego świetnej sprzedaży. Komu bowiem nie zależy na rewelacyjnym samopoczuciu, dobrej pamięci, odporności na choroby? Są synonimem zdrowia. Witaminy i mikroelementy. Para dobrana jak Romeo i Julia, Tristan i Izolda, Orfeusz i Eurydyka.

Zalewani reklamami wciąż nowych preparatów pełnych witamin i suplementów diety nie zdajemy sobie sprawy z tego, że choć niedobór tych środków może doprowadzić do choroby, to nadmiar jest równie szkodliwy. Może spowodować choroby układu pokarmowego, uszkodzenie nerek, wątroby, a nawet nowotwór.

Suplementy brane na własną rękę – bez kontroli lekarza – mogą wchodzić w groźne interakcje z innymi lekami. Mogą też... w ogóle nie być witaminami ani mikroelementami.

W marcu FDA – amerykańska organizacja badająca leki i artykuły spożywcze – opublikowała raport z badań preparatów multiwitaminowych i suplementów, z którego wynika jasno: te środki nie są bezpieczne i należy zmienić prawo dopuszczające je do sprzedaży jako dostępne bez recepty. Dlaczego?

Po pierwsze, nie wiadomo, co dokładnie jest w większości z nich. Zwłaszcza w takich, które można kupić w sklepach ze zdrową żywnością, a nie w aptece. Za ich skład praktycznie nikt nie bierze odpowiedzialności. Podobnie

w skład preparatów odchudzających, jest też używana w lekach przeciw przeziębieniu i przeciw astmie.

W 2001 roku American Association of Poison Control Centers w USA zanotował 1178 przypadków negatywnej reakcji organizmu na efedrę zawartą w suplementach żywnościowych. Efedryna była powodem 64 procent wszystkich przypadków negatywnej reakcji wywołanych przez zioła, mimo że zaledwie jeden procent produktów ziołowych zawiera ten składnik. Używania efedryny zakazał także Międzynarodowy Komitet Olimpijski oraz dwie organizacje sportowe w USA – National Football League i National Collegiate Athletic Association.

Podobny los spotkał w Stanach preparaty z rośliny o nazwie *kava kava* (znanej także jako pieprz metystynowy). Mają one działanie antydepresyjne, przeciwłękowe. Okazuje się, że mogą doprowadzić do uszkodzenia wątroby. W Polsce są nadal dostępne.

Amerykańska Organizacja do spraw Leków i Żywności (FDA) ostrzega także przed środkami zawierającymi: wyciąg z żywokoštu lub lobelii, korę wierzbową, tryptofan. Zaleca też ostrożność przy stosowaniu preparatów z magnolii, herbatek dietetycznych i zbyt dużych ilości pewnych witamin i minerałów.

Zdarza się, że wymienione substancje znajdują się w składzie preparatów przeznaczonych dla dzieci. Okazuje się, że brakuje wiarygodnych danych o tym, jak działają one na organizm dziecka.

– No, ale witaminy?... – skrzywią się pewnie niektórzy. Co może się stać od witamin?

W 1994 roku zmarł Linus Pauling, chemik, laureat Nagrody Nobla. Co dzień przez niemal całe swe dorosłe życie pochłaniał ogromne ilości witaminy C uchodzącej jeszcze do niedawna za panaceum przeciw nowotworom. Pauling zmarł na raka.

Dziś podejrzewa się, że wywołały go właśnie wielokrotnie przekroczone dawki witaminy C.

Rozczarowani witaminą

Wiele badań pokazało, że zarówno witamina C, jak i E świetnie radzą sobie ze specyficzną formą tlenu, która bardzo szkodzi komórkom naszego ciała, inicjując procesy nowotworowe i starzenie się tkanek. Obie te witaminy wkrótce potem okrzyknięto antyutleniaczami i zapakowano do kremów, maseczek, odżywek, mieszanek mających dać nam długie życie i wieczną młodość. Wskutek niesłychanej popularności specyfików w medialnym szumie umknęły gdzieś doniesienia, że nie potwierdzono skuteczności tych witamin ani mikroelementów uznanych powszechnie za przeciwrajkowe – cynku i seleniu.

Owszem, ich niedobór może się źle odbić na naszym zdrowiu, ale wygląda na to, że zwiększone dawki nie przynoszą żadnych zbawiających efektów, co gorsza, mogą nawet szkodzić.

Badania, które to wykazały, przeprowadzono bardzo rzetelnie. Zakończyły się w ubiegłym roku. Zainicjowali je specjaliści francuscy.

W programie o nazwie SU.VI.MAX. (to skrót od Supplémentation en Vitamines et Minéraux Anti-oxydants) wzięło udział 13 tysięcy ochotników. Przez osiem lat połowa z nich ły-

kała witaminy, druga połowa – placebo. Kto brał co, nie wiedzieli ani łykający, ani lekarze. Badanym co miesiąc sprawdzano krew, przepitywano ich też o dietę. Co się okazało?

Zwiększone dawki witamin nie miały żadnego zbawiającego wpływu na nasze organizmy. Przy okazji wyszło na jaw, że mężczyźni znacznie mniejszą wagę przywiązują do diety – ignorują zwłaszcza zalecenia dotyczące dziennego spożycia warzyw i owoców. Dlatego częściej cierpią na brak witamin i częściej zapadają na raka. Wyrównanie poziomu witamin zmniejszyło odsetek zachorowań. Zwiększenie dawek suplementów witaminowych nie tylko nie zmniejszyło liczby nowotworów, lecz także zdawało się ją potęgować.

Podobne wyniki dały badania fińskie (zwane ATB) i amerykańskie (Physician Health Study) zakończone w 1994 roku. Sprawdzano w nich antynowotworową skuteczność witaminy E i beta-karotenu (związku, z którego nasz organizm wytwarza witaminę A). I co? Nic.

W 1996 roku podobne wyniki uzyskali Amerykanie w programie CARET. Testom poddawano tu palaczy i pracowników budów mających kontakt z azbestem. Okazuje się, że ani witamina A, ani E nie tylko nie chronią przed rakiem płuc, lecz także podawane w dużych ilościach mogą wręcz przyspieszać jego rozwój. Dawki witamin w badaniach 12–18 razy przekraczały dzienne zapotrzebowanie organizmu.

W tym samym czasie europejskie towarzystwa lekarskie badające wpływ witaminy C i E na rozwój miażdżycy i nadciśnienia stwierdziły, że nie widzą pozytywnego wpływu

zażywania większych dawek suplementów witaminowych na te schorzenia.

Droga na skróty

Nasz organizm potrzebuje bardzo niewielkich dawek witamin i mikroelementów. Zwykle zupełnie dobrze pozyskuje je, gdy odżywiamy się w racjonalny sposób.

A tymczasem badania pokazują, że z roku na rok łykamy coraz więcej syntetycznych witamin. Trudno zresztą tego uniknąć – tak wiele produktów jest o nie wzbogaconych: soki, margaryny, nawet słodycze. Czy to zdrowe?

Lekarze od dłuższego czasu toczą spór o to, czy lepiej witaminy przyswajać po prostu w pożywianiu, czy też łykać w tabletkach. Syntetyczne witaminy są bardziej skondensowane, na przykład „sztuczna” witamina C to czysty kwas askorbinowy, tymczasem naturalny ekstrakt z glogu poza tym kwasem zawiera dodatkowe substancje, między innymi flawonoidy.

– Naturalne źródła witamin mogą zawierać więcej substancji wspomagających i być przez to lepiej wchłaniane przez organizm – argumentują przeciwnicy pastylek. Ciężko tu też o przedawkowanie – organizm czerpie z pożywienia tylko tyle, ile potrzebuje. Rządziej też obserwuje się powikłania ze strony przewodu pokarmowego.

– Naturalne źródła witamin – owoce czy warzywa – mogą być gorzej tolerowane przez alergików – oponuje druga strona. Syntetyki są też lepsze z powodu wysokiej koncentracji środków aktywnych.

Kto ma rację – jak na razie żadne badania tego nie rozstrzygnęły.

Witamina B₂ jest w: fasoli, grochu, ryżu, mące, drożdżach, wątrobie, mleku, jajach oraz jarzynach. Uwaga: produkty te należy trzymać w ciemnych pojemnikach, bo światło słoneczne niszczy witaminę. Jej niedobór powoduje zmiany skórne: zajady, łojotok, zmiany w obrębie rogówki i jamy ustnej, światłowstręt i zahamowanie wzrostu. Dzielne zapotrzebowanie – około 1–2 miligramów.

Problemy z przyswajaniem witamin mogą wprowadzać antybiotyki, hormonalna antykoncepcja, środki uspokajające i przeciwbólne

W badaniu przeprowadzonym w ubiegłym roku przez miesięcznik o zdrowiu „Vita” spytano Polaków, jak dbają o zdrowie. Do czynnego uprawiania sportu przyznało się 22 procent. Preparaty witaminowe łyka ponad 52 procent badanych. Oto nasze wielkie zbiorowe rozgrzeszenie. Kłopot w tym, że drogi na skróty zbyt często wiodą na manowce.

OLGA WOŹNIAK

Witamina A powstaje w przewodzie pokarmowym z prowitamin, które zawarte są na przykład w: marchwi, pomidorach i papryce. W stanie gotowym znajduje się głównie w tranie rybim, wątrobie, mleku, maśle, żółtkach jaj. Niedobór lub brak witaminy A objawia się niedowidzeniem o zmierzchu (tak zwana kurza ślepotą), pieczeniem spojówek oczu na skutek ich wysychania i rogowacenia, a w cięższych stanach rozmiękaniem rogówki i jej owrzodzeniami, ponadto rogowacieniem skóry i wypadaniem włosów. Dzielne zapotrzebowanie człowieka na witaminę A wynosi około 1–2,5 miligramów.

Witaminę B₁ mają: warzywa strączkowe, produkty pełnoziarniste, wieprzowina, podroby, kapusta, rzodkiew, chrzan, drożdże, orzechy. Niedobór witaminy B₁ może wystąpić jako skutek długotrwałych chorób: biegunek, chorób gorączkowych, chorób wątroby, przy nadczynności tarczycy, w alkoholizmie lub przy źle zbilansowanych dietach. Objawy to zaburzenia czucia, osłabienie mięśni kończyn dolnych, obrzęki. Dzielne zapotrzebowanie – około 2 miligramów.

Witamina B₂ jest w: fasoli, grochu, ryżu, mące, drożdżach, wątrobie, mleku, jajach oraz jarzynach. Uwaga: produkty te należy trzymać w ciemnych pojemnikach, bo światło słoneczne niszczy witaminę. Jej niedobór powoduje zmiany skórne: zajady, łojotok, zmiany w obrębie rogówki i jamy ustnej, światłowstręt i zahamowanie wzrostu. Dzielne zapotrzebowanie – około 1–2 miligramów.

Witamina B₆ jest między innymi w: mięsie, jarzynach, ikrze dorsza. Jej niedobór występuje tylko wyjątkowo, na przykład u małych dzieci karmionych sztucznymi odżywkami oraz u alkoholików. Objawia się u dorosłych zmianami na odsłoniętej skórze kończyn oraz zapaleniem warg i języka. Dzielne zapotrzebowanie – około 2 miligramów.

Witamina B₁₂ występuje głównie w produktach zwierzęcych, zwłaszcza wątrobie i mleku. W niewielkim stopniu jest tworzona przez bakterie w przewodzie pokarmowym człowieka. Niedobór B₁₂ powoduje niedokrwistość złośliwą. B₁₂ stosuje się też w leczeniu zapalenia wielonerwowego i schorzeń wątroby. Prawdopodobne zapotrzebowanie dziennie człowieka na tę witaminę to około 0,002 miligramów.

Witamina C wzmacnia odporność organizmu, jest niezbędna do utrzymania prawidłowego stanu tkanki łącznej, między innymi włosowatych naczyń krwionośnych. Ułatwia wchłanianie żelaza. Jej niedobór powoduje szkorbut. Jest substancją nietrwałą, rozkładającą się częściowo w czasie gotowania. Najlepszym jej źródłem są surowe owoce, surowe warzywa i wątroba. Dzielne zapotrzebowanie człowieka wynosi 75–100 miligramów.

Witamina D zawarta jest w: rybach, maśle, jajkach, tranie, jej prowitamina są w drożdżach, nowalijkach i tkankach zwierzęcych. Uwaga: przyjmowanie jej jest konieczne, jeśli nasza skóra nie jest wystawiona na działanie słońca, wystarczy jednak 15 minut spaceru dziennie, by organizm sam sobie ją wyprodukował. Niedobór powoduje krzywicę, utratę zębów, łamliwość kości, natomiast nadmierne dawki wywołują odkładanie wapnia w tkankach miękkich. Dzielna dawka witaminy D zależna jest od wieku i wskazań lekarza.

Witamina E znajduje się w: soi, fasoli, kukurydzy, kielkach pszenicy, mleku, mięsie i jajach. Niedobór witaminy E powoduje prawdopodobnie postępujące osłabienie i paraliż mięśni, przypuszczalnie wskutek degeneracji nerwów. Dzielne zapotrzebowanie – 10–30 miligramów.

Witamina F występuje głównie w olejach roślinnych. U zwierząt pobudza wzrost. Wpływa na prawidłowy stan skóry i włosów. Nie stwierdzono niedoborów tej witaminy u ludzi.

Witamina H znajduje się między innymi w: wątrobie, żółtkach jaj, kapuście. Jej niedobór występuje głównie przy zniszczeniu flory bakteryjnej w jelitach, na przykład po leczeniu antybiotykami. Objawia się on zanikiem brodawek języka, zmianami zapalnymi skóry z drobnym łuszczeniem się naskórka (łupież), ogólnym osłabieniem, utratą łaknienia. Dzielne zapotrzebowanie – 0,1–0,3 miligramów.

Witamina K znajduje się między innymi w: szpinaku, kapuście, wątrobie. Niedobór witaminy K występuje najczęściej przy zniszczeniu flory bakteryjnej w jelitach w czasie leczenia antybiotykami lub sulfonamidami. Dawka dzienna witaminy K wynosi 1 miligram.

Witamina PP w warunkach naturalnych występuje w: wątrobie, pełnoziarnistym chlebie, mleku, jajach, świeżych jarzynach. Niedobór witaminy PP powoduje zespół objawów ze strony układu nerwowego i pokarmowego. Dawka dzienna – 15–35 miligramów.

WITAMINY W EUROPIE

Od 2005 roku w Unii Europejskiej zacznie obowiązywać prawo dokładniej regulujące sprzedaż preparatów witaminowych i suplementów. Dzięki niemu na opakowaniu powinny znajdować się ostrzeżenia dotyczące dokładnego składu, dawkowania, efektów niepożądanych, możliwych interakcji z innymi lekami. Będzie też zaostrzona procedura rejestracyjna takich środków.

Tekst opublikowany jest również w Wirtualnej Polsce w serwisie www.wiadomosci.wp.pl

Odnowa biologiczna

Modelowanie sylwetki

Korzystamy ze specjalistycznej aparatury wykonującej drenaż limfatyczny, który odchudza ciało. Głębokie ciepło poprawia przemianę materii. Elektrostymulacja nadaje lepszy kształt mięśniom oraz likwiduje nadmiar skóry. W przypadku gdy ciało jest bardzo zбите i twarde stosujemy dodatkowo masaż ręczny. Po serii zabiegów osoba jest szczuplejsza przynajmniej 4 centymetry w udach i 5 centymetrów w brzuchu.



Lifting bez skalpela

Dla pań po 35 roku życia proponujemy lifting twarzy przy pomocy prądów zbliżonych do bio-prądów. Potrzebna jest seria 8-16 zabiegów. Z wiekiem mięśnie twarzy zmieniają swój kształt i twarz „opada”. Naszym zadaniem jest więc zmniejszenie ilości skóry na powiekach, podniesienie policzków oraz spłycenie zmarszczek głębokich i usunięcie płytkich.



Depilacja laserowa

Aby na długo pozbyć się zbędnego owłosienia, można wykonać zabieg epilacji laserowej. Ponieważ ingerujemy głęboko w skórę - nie ma znaczenia opalenie się. Należy wykonać kilka zabiegów w odstępach 1-2 miesięcy. Ilość zabiegów zależy od koloru i grubości włosa.



GABINET OFERUJE:

- laserowe zamykanie naczynek krwionośnych,
- pojedynianie mięśni, masaże,
- kosmetykę, saunę, solarium.



GABINET ODNOWY BIOLOGICZNEJ
Warszawa, ul. Bracka 23 lok. 24
tel./fax (22) 827 65 70

www.odnowabiologiczna.w-wa.net

KUPON na bezpłatne badanie
składu ciała i zapotrzebowania kalorycznego

*prosimy o wcześniejszy telefon

Warszawa, ul. Bracka 23 lok. 24 tel./fax (22) 827 65 70

Nowy format reklam
w „Przekroju”
Jeden moduł formatu
60 x 37 mm

zaprojektuj swój T-SHIRT!
<http://montownia.pl>

CHCESZ POZNAĆ CIEKAWYCH LUDZI?
ODWIEDZ NAS!
GOLF W WILANOWIE
dla wszystkich
i po przystępnej cenie

Zapraszamy

Wszystkich chętnych do nauki i ćwiczeń gry w golfa na driving range, chipping green, sand bunker i putting green oraz do wspaniałej zabawy na torze mini golfa bez ograniczeń wieku.

OFERUJEMY m.in.

- imprezy golfowe dla firm,
- bale dla dzieci - golf catering,
- naukę gry w golfa z instruktorem.

APARTAMENTY Z WIDOKIEM NA MORZE wypoczywasz i zarabiasz

SPRZEDAŻ:
058) 774 73 11
0 603 596 863
e-mail: info@velaves.sky.pl
www.velaves.sky.pl

VELAVES
sprzedaż II etapu
KOMPLEKS APARTAMENTOWO-HOTELOWY
Władysławowo-Cetniewo
30 m do morza, dwa baseny: kryty i otwarty

OSTATNIE CHWILE
KSIĘCIA SIDDHARTY
w zbiorze najpiękniejszych
opowieści zen

Sic!

Henri Brunel
„Budda i kwiat”

Wydawnictwo Sic! • (22) 840 07 53
www.wydawnictwo-sic.com.pl

**INSTYTUT TERAPII
GESTALT
W KRAKOWIE**

Członek International Federation of Gestalt
Training Organizations-FORGEI European
Association

for Gestalt Therapy-EAGT

- Psychoterapia indywidualna, grupowa
- Trening pracy z ciałem, trening rozwojowy, treningi dla par
- Szkolenia dla profesjonalistów – Szkoła Trenerów i Psychoterapeutów (certyfikat ITG), cykl „ABC Pomocy Psychologicznej” warsztaty specjalistyczne
- Oferta dla biznesu – „A-Z trenera w biznesie” – cykl szkoleniowy
- Trening kreatywności, szkolenia dla menedżerów, szkolenia podnoszące efektywność pracy zespołu, moduły specjalistyczne

Tel/faks (12) 659 56 60;
e-mail: gestalt@gestalt.pl;
<http://www.gestalt.pl>

modele przyszłości



Fot. ELECTRONIC ARTS

Gra Sims 2, czyli jak wykorzystać do zabawy psychologię społeczną

PIOTR STANISŁAWSKI

GRA W BOGA

Politycy i wojskowi przewidują losy świata, tworząc – dzięki superkomputerom – modele całych narodów

Jaka jest najpopularniejsza gra komputerowa wszech czasów? To nie żadna strzelaninka czy wyścigi samochodowe, tylko „The Sims” – zabawa w boga. Gracz tworzy wirtualnych ludzi, a potem hoduje ich, obserwując, jak się zachowują w domu, jak zakładają rodziny i kłócą się z sąsiadami. Mało kto z grających zdaje sobie sprawę z tego, że sam jest wirtualnym pionkiem, kawałkiem równania w komputerowych grach, jakimi bawią się wielcy tego świata.

Pakistan płonie

Pamiętacie stary film „Gry wojenne” z 1983 roku? Nastolatek o mało co nie wywołał w nim III wojny światowej, gdy włamał się do superkomputera armii amerykańskiej, który kontrolował arsenał atomowy. Wszystko dlatego, że niechcący uruchomił grę symulującą konflikt atomowy, a maszyna nie potrafiła odróżnić rzeczywistości od świata wirtualnego. Dziś, ponad 20 lat później, tamta symulacja wzbudza co najwyżej nostalgiczny uśmiech. Współczesne programy wojskowe są o tyle nowocześniejsze, o ile komputery stały się sprawniejsze od początku lat 80.

– To jest Pakistan – mówi Ian Lustick, profesor nauk politycznych na University of Pennsylvania, pokazując siatkę kolorowych kwadratów. Każdy z nich reprezentuje inną grupę pakistańskiego społeczeństwa – różnice et-

niczne i światopoglądowe oznaczone są różnymi barwami. Fiolet to mieszkający w miastach urzędnicy, zieleń – wojskowi, a brudne khaki oznacza radykalnych muzułmanów.

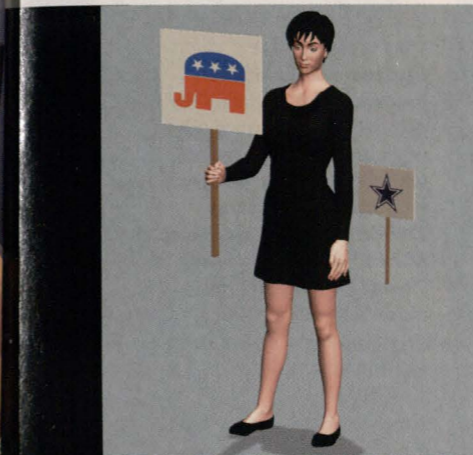
Gdy Lustick wciska „start”, mozaika ożywa – kwadraty przesuwają się i zmieniają kolory, pojawiają się monochromatyczne plamy, które po chwili rozpadają się na kolorowe grupy. W pewnej chwili na mapie zakwitają ospanate kropki – to oznaczenie miejsc, gdzie użyto broni jądrowej. Kropki szybko się rozprzestrzeniają i po chwili ogarniają większość wirtualnego

kraju. Koniec symulacji – po raz kolejny Pakistanowi nie udało się przejść od wojskowej dyktatury do rządów demokratycznych.

– Tak dzieje się w połowie wszystkich symulacji, jakie przeprowadzamy w wirtualnym Pakistanie – mówi Ian Lustick. – Wygląda na to, że nie należy martwić się fundamentalistami, tylko przejściem władzy w cywilne ręce.

Ludzkie szkielety

Czy takie komputerowe zabawy mogą być coś warte? W końcu odtworzenie mechanizmów rządzących wieloetnicznym państwem liczącym ponad 150 milionów obywateli wydaje się niemożliwe. Wygląda jednak na to, że wszystko jest kwestią odpowiedniego podejścia. Stare symulacje, które jeszcze do dziś stosowane są w wojsku, opierały się na połączeniu danych wywiadowczych ze statystyką i z doświadczeniem historycznym. W czasach gdy sytuacja na świecie



Fot. JOHN MACNEILL (3)

Oto Amy, która sympatyzuje z Partią Republikańską (słoń) i kibicuje drużynie Cowboys (gwiazda). Polityka jest dla niej ważniejsza od sportu (duża tablica)



Teraz Amy znalazła się wśród znajomych o różnych poglądach. Są tu fani koszykówki i zwolennicy Demokratów. Dla wielu z nich najważniejsze jest kibicowanie zespołowi Cowboys. Pod wpływem ich wszystkich poglądy Amy ewoluują. Choć jej sympatie polityczne nie uległy zmianie, to sport stał się od nich ważniejszy. Ten przykład pokazuje zmiany tylko dwóch cech modelu – duże symulacje polityczne uwzględniają ich znacznie więcej

tego szkieletu człowieka, który potem okleja się jego indywidualnymi cechami.

I tak tworząc symulację sytuacji w Iraku, analityk buduje postać hipotetycznego mieszkańca irackiej prowincji. Ten człowiek jest muzułmaninem, choć daleko mu do radykałów. Trzyma się z dala od głównego nurtu polityki. Tak wygląda szkielet – do takiego schematu można dopasować setki tysięcy osób. Czas na indywidualne cechy: oto syn naszego Irakijczyka przypadkowo zginął z ręki amerykańskiego żołnierza. To bardzo komplikuje schemat postaci: pojawia się niechęć do wojsk koalicji, przychylność dla bardziej radykalnych frakcji, skłonność do nieprzewidywalnych posunięć. Tak wygląda wirtualny model – oblepiony ciałem szkielet. W momencie rozpoczęcia symulacji

na ile dobrze programista określił zasady, według których modele na siebie działają.

W tym miejscu polityka i wojna zębiają się z zabawą – wojsko bardzo chętnie korzysta ze schematów opracowanych na potrzeby komercyjnych gier. Algorytmy, które napisano dla obu części gry „The Sims”, sprawdziło ponad 10 milionów osób – trudno o lepszą grupę testerów. Co prawda w grze wszystko jest umowne – relacje między postaciami są bardzo uproszczone, a wiele rzeczy gracz sam sobie dopowiada dzięki własnej wyobraźni. W wojskowych i politycznych symulacjach nie ma na to miejsca – tu od precyzji programisty może zależeć ludzkie życie czy powodzenie polityki zagranicznej państwa. To nie przesada, amerykańska armia traktuje takie systemy bardzo poważnie – kosztują

sto milionów dolarów projekt OneSAF, nad którym prace wciąż trwają, jest rozbudowanym światem, gdzie będą prowadzone ogromne gry wojenne z udziałem całych armii. Aby wiarygodnie odtworzyć zachowanie przeciwnika, w OneSAF wbudowano modelowanie oparte na jednostkach.

Współczesny terroryzm zmusił badaczy do opracowania jeszcze jednego modelu zachowania. Powstał superzbir – postać, która pozbawiona jest skrupułów, a jej głównym celem jest sianie zniszczenia. Nazywa się Jago, tak samo jak czarny charakter z Szekspirowskiego „Otelła”. Schematy zachowania Jago zbudowano na podstawie obserwacji znanych i uwięzionych już

terrorystów i przestępców. Okazuje się, że jeden taki Jago rzucony w stabilną grupę modeli potrafi w krótkim czasie doprowadzić do powstania ognisk zapalnych i wybuchu konfliktu.

Badając pozornie chaotyczne zjawiska, takie jak wybuchy niepokojów czy waśni narodowościowych, naukowcy stwierdzili, że metodą na ich zrozumienie jest redukcja ogromnego organizmu do prostszych schematów. Oczywiście nie można się ludzić, że w ten sposób powstanie komputerowy prorok dokładnie przewidujący losy ludzkości. Zresztą nie o to chodzi. Symulacje mają służyć do rozgrywania wirtualnych wojen czy wspomagania polityków w opanowywaniu konfliktowych sytuacji. Choć kto wie, może za następne 20 lat powstanie system, w którym swój wirtualny odpowiednik będzie miał każdy z nas?

była prosta, a strony konfliktu tylko dwie, ten mechanizm nieźle zdawał egzamin. Większość zachowań strony radzieckiej Amerykanie byli w stanie przewidzieć – ogromnym państwem rządził jeden człowiek, a jego zwyczaje i reakcje łatwo było poddać analizie. Dzięki wywiadowi znane było rozmieszczenie głowic jądrowych i plany ataku lub odpowiedzi na agresję. Zresztą moc ówczesnych komputerów nie pozwalała na zbyt złożone symulacje – maszyny raczej pomagały w katalogowaniu zdobytych informacji, niż zajmowały się rozbudowanym „gdymbaniem”. Dziś sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Zamiast jednego wroga armia musi obserwować niemal cały świat – siła głównego przeciwnika, terrorystów, polega właśnie na ich rozproszeniu i nieprzewidywalności. Jednak wraz z rozwojem mocy komputerów wojskowi analitycy dostali do ręki nowe, potężne narzędzie – modele oparte na jednostkach. Zamiast wykorzystywać ogólne dane statystyczne, programiści tworzą schematy niewielkich społeczności, a nawet jednostek. Powstaje coś w rodzaju społecznego, ekonomicznego i psychologicz-

w pamięci komputera znajdują się informacje o tysiącach takich modeli: niektórzy z nich to spokojni obywatele, którzy zyskali na obaleniu reżimu, inni są przedstawicielami niezadowolonej grupy, a jeszcze inni przesiąkniętymi fundamentalizmem fanatykami.

Jeżeli nasz Irakijczyk znajdzie się w grupie spokojnych, zrównoważonych ludzi, prawdopodobnie ukoi swój żal. Gdy jednak dostanie się pod wpływ radykałów, może stać się inicjatorem zamieszek czy szefem grupy terrorystów. Takie oddziaływania również można dość łatwo opisać – zależą one od tego, jak daleko od siebie mieszkają czy mogą podróżować poszczególni ludzie, czy mają dostęp do radia lub telewizji i tak dalej.

Zabawa i wojna

Jeżeli połączy się zachowanie tysięcy takich modeli w jedną symulację, powstaje komputerowy kraj działający jak miniatura prawdziwego. To, na ile taka zabawa podobna jest do rzeczywistości, zależy od tego, jak dokładne były dane wprowadzone na samym początku oraz

PIOTR STANISŁAWSKI

KORZYSTAŁEM Z TEKSTU JEFFREYA ROTHFEDERA „TERROR GAMES” Z MARCOWEGO „POPULAR SCIENCE” ORAZ MATERIAŁÓW Z INTERNETU

**Dla aktywnych**

Soczyście pomarańczowy zegarek TISSOT T-TOUCH ORANGE pokochają amatorzy ekstremalnych szaleństw. Czasomierz ma barometr, wysokościomierz, kompas, stoper i termometr – dostępne w szkiełku na dotyk. Zegarek jest wodoszczelny do 30 metrów, ma też wskaźnik stanu baterii. 2290 złotych
www.tissot.ch

**Kolorowe chłodzenie**

Stylizowana na lata 60. lodówka FAB 28 firmy SMEG chłodzi bez zarzutu nawet w ekstremalnie gorących warunkach i przy podwyższonej wilgotności powietrza. Chłodziarka ma pojemność 247 litrów, a zamrażalnik 21. Dostępna w kolorach: różowym, niebieskim, seledynowym, kremowym i stalowym. 6350 złotych
www.dombianco.com.pl

Kieszonkowy aparat

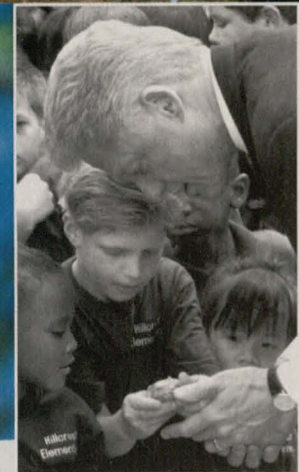
Cyfrowy aparat fotograficzny CYBER SHOT U 30 firmy SONY nie urwie szyi, bo waży zaledwie 123 gramy i mieści się w każdej kieszeni. Ma dwumegapikselową matrycę, hybrydowy wyświetlacz ciekłokrystaliczny oraz funkcję odtwarzania zdjęć z powiększeniem. 999 złotych
www.sony.com.pl

**W kolorze tęczy**

Obrączkę ze stali nierdzewnej POP IN z wiosenno-letniej kolekcji BIJOUX SWATCH trudno zgubić, bo jest w kolorach tęczy. Plastikowe części obrączki można mieszać, przekręcać i manipulować kolorami. Można też dokupić bransoletkę. Obrączka – 175 złotych, bransoletka – 195 złotych
www.swatch.com

**Z głową w chmurach**

Kabriolet SUZUKI CONCEPT S2 pozwala kierowcy bezpiecznie spoglądać w gwiazdy, bo wyposażony jest w zaawansowany system nawigacji, który trzyma kurs pobrany wcześniej z Internetu lub poczty elektronicznej. Konceptyjny samochód ma napęd na cztery koła, trzyczęściowy elektrycznie składany dach i silnik o pojemności 1,6 litra. www.suzuki.pl



U góry: Japońskie cmentarzysko Tamagotchi

Obok: Prezydent Clinton i wirtualne zwierzątko

Tamagotchi Plus

[popmoda]

Kaette kita Tamagotchi Purasu!!!” – mówią Japończycy, czyli „Tamagotchi Plus powraca!!!”. Zabawka, gra edukacyjna czy może najlepszy przyjaciel człowieka? Niewielki kolorowy breloczek w kształcie jajka, z małym kwadratowym ekranem podbił serca Japończyków w połowie lat 90. Tamagotchi (zdrobnienie od słowa „tamago” – jajko) zastąpił dzieciom domowe zwierzątko, a samotnym dorosłym – dzieci. Po ośmiu latach legendarne wirtualne zwierzątko znów pojawiają się w kieszeniach młodszych i starszych mieszkańców Kraju Kwitnącej Wiśni.

Porwanie kurczaka

Małego stworka z ekranu, który przypominał kurczaczka, należało karmić, kiedy był głodny, zabawiać, kiedy się nudził, i sprzątać, kiedy nabrudził. Wszystkich czynności dokonywało się za pomocą trzech klawiszy, ale nie można było go spuścić z oka na dłuższą chwilę. Natychmiast przywoływał swojego właściciela głośnym bipaniem. Słynne są już anegdoty o biznesmenach, którzy musieli zabierać Tamagotchi ze sobą do pracy. Przesuwali ważne spotkania, wychodzili nagle z zebrania do toalety, wszystko po to, by nakarmić wirtualne zwierzątko albo się z nim pobawić. Zdarzyło się również kilka wypadków samochodowych spowodowanych przez panie, które w czasie jazdy chciały się zająć piszczącym plastikowym jajkiem. Natomiast w pogon za czterema chlystkami, którzy wyrwali dziecku Tamagotchi, wyruszyło nie tylko kilku policjantów, lecz także wsparł ich z powietrza śmigłowiec. Niedośzli porywacze zostali na szczęście schwytani!

Drugie życie

O tym, jak blisko właściciele są związani ze swoim Tamagotchi, świadczą liczne fora dyskusyjne w Internecie. Można na nich znaleźć nawet epitafia ku pamięci zmarłych pociech: „Bruno, dlaczego musiałeś umrzeć... twoje ostatnie chwile, to bipanie, spałem i kiedy się obudziłem... ty byłeś już martwy” albo „Odpoczywaj w spokoju, moja droga Destiny, mamusia będzie bardzo za tobą tęskniła, ale wiem, że jeszcze do mnie wrócisz. Kocham cię – Mamusia”. Właściciele, czasami nawet kilku Tamagotchi, są na całym świecie. Firma Bandai sprzedała dotychczas ponad 40 milionów tych zabawek. Od początku posłużyła się sprytnym chwytym w dystrybucji. Towar był dostarczany w małych ilościach, a sklep nie był wcześniej informowany o dostawie. W ten sposób długie kolejki zniercierpliwionych klientów na ulicach same napędzały popyt i zainteresowanie. Zabawka nie była droga, kosztowała tyle co bilet do kina. Zapotrzebowanie było tak duże, że wytworzył się nielegalny rynek podróbek z Hongkongu i Tajwanu. Ich cena była czasem nawet kilkadziesiąt razy wyższa od oryginału. W tym roku w marcu najpierw na rynek japoński trafił zupełnie nowy model Tamagotchi Plus, który wyposażony jest w port komunikacyjny podczerwień. Zabawki mogą się między sobą poznawać, zakochiwać, a nawet brać ślub i mieć dzieci. Poza tym zostały dodane nowe funkcje, lepsza rozdzielczość, większa pamięć, a cena pozostała stara. Firma Bandai zamierza sprzedać do końca 2005 roku ponad dwa miliony sztuk Tamagotchi Plus. Czy wirtualne zwierzątko czeka drugie życie?!

JACEK SKOLIMOWSKI



Fot. RAFAŁ BALAJ/PRZEGLĄD SPORTOWY

KILLERKA

Tłamsi i wbija w kort rywalki, ale brak jej doświadczenia. A jednak Marta Domachowska dostała szansę dołączenia do światowej czołówki

Listę uczestniczek warszawskiego turnieju J&S Cup wypełniają nazwiska ze światowej czołówki, na czele z Francuzką Amélie Mauresmo i Amerykanką Venus Williams. Jednak polscy kibice „białego sportu” będą trzymać kciuki za 18-letnią Martę Domachowską. Urodziwa warszawianka jako pierwsza od czasów występów Magdaleny Grzybowskiej (pod koniec lat 90. była 30. tenisistką świata) ma szansę na awans do pierwszej setki światowego rankingu. Warunkiem jest „tylko” dobry występ w warszawskim J&S Cup. Przez ostatnie miesiące Polka systematycznie pnie się górę. W połowie kwietnia znalazła się już na 149. pozycji. Występ w Warszawie ma kluczowe znaczenie dla jej dalszej kariery. Zresztą gdzie wygrać, jak nie u siebie...

POTENCJAŁ JEST, WYGRANE PRZYJDĄ?

Od co najmniej czterech lat Domachowska jest nadzieją polskiego tenisa. Już jako 14-latkę wyraźnie wybijała się na tle rówieśniczek

– osiągała coraz lepsze wyniki w turniejach juniorskich. Zawdzięczała to głównie niekonwencjonalnemu jak na polskie warunki stylowi gry. Marta gra bowiem niezwykle ofensywny tenis. Ma instynkt „killera”. Każdą nadlatującą piłkę chce uderzyć z jeszcze większą siłą, tak by rywalkę dosłownie stłamsić i wbić w kort. Jednak dziś w dorosłym tenisie to już nie wystarcza. Większość czołowych tenisistek świata gra w ten sposób, dodając do tego precyzję i masę rutyny, której Domachowskiej niekiedy brakuje.

Na zeszłorocznym J&S Cup Polka w pierwszej rundzie trafiła na doświadczoną Czeszkę Renatę Voracovą. Po pierwszym przegranym secie Domachowska rozgrzała się i weszła w rytm. Wygrała drugi, ale słabnąca w oczach Czeszka wymogła na sędzim przerwanie meczu z powodu „zapadających ciemności”. Dzień później Voracova oddała Polce zaledwie jednego gema. Marcie zostały tylko złość i łzy, bo przez brak własnego doświadczenia i cwaniactwo rywalki szansa uciekła.

– W tym roku będzie inaczej – zapewnia Domachowska w wywiadach. Zwłaszcza że przez ostatnie 12 miesięcy wiele się zmieniło. Polka ma stałego sponsora, co w polskim tenisie nie jest takie oczywiste, dwóch trenerów i rodzinny sztab, który wspomaga ją w codziennym życiu zawodowej tenisistki. Efekt – awans z czwartej do drugiej setki w tenisowej hierarchii.

Nawet jednak taki skok nie zagwarantowałby jej udziału w warszawskim turnieju. Tu pomogła jej specyfika obliczania punktów światowego rankingu.

IM WYŻEJ, TYM ŁATWIEJ

Każdy z rozgrywanych na świecie 57 turniejów (w tym cztery wielkoszlemowe) ma swoją „wagę”, która przekłada się na liczbę punktów za awans do kolejnych rund. Im bardziej prestiżowy turniej, tym więcej punktów do zdobycia. Dodatkowo za pokonanie każdej z rywelek regulamin przewiduje przyznanie punktów „bonusowych” – w zależności od pozycji przegranej. Aby szybko awansować do światowej czołówki, trzeba więc grać dużo w największych i najlepiej punktowanych turniejach.

Jest jednak jeden szkopuł. O dopuszczeniu do imprezy z cyklu WTA Tour decyduje... ten sam ranking. Obowiązuje zasada – im ktoś wyżej, tym łatwiej mu grać w dużych turniejach i ma więcej sposobności do zdobycia kolejnych punktów. W ten sposób koło się zamyka.

Istnieje jednak malutka furka. Organizacja zawodowych tenisistek (WTA) dopuszcza instytucję dzikich kart przyznawanych przez organizatorów turniejów. Dzięki temu zawodniczki z niskim rankingiem mogą być dopuszczone do rywalizacji z mistrzyniami.

Taka przepustka zaoszczędza mozolnego przebijania się przez dziesiątki małych turniejów, gry w eliminacjach, niepewności i – co niezwykle ważne w młodym wieku – pozwala rozsądnie dysponować siłami młodych zawodniczek. Doskonałym przykładem takich ekspresowych awansów w rankingu WTA dzięki dzikim kartom są kariery obu sióstr Williams.

BŁYSKAWICZNY AWANS SIÓSTR W.

Kariery obu panien Williams od początku zaplanował ich despotyczny ojciec Richard. Starsza, Venus, po raz pierwszy dała o sobie znać w wieku 14 lat. Na turnieju w Oakland, oczywiście dzięki dzikiej karcie, pokonała tenisistkę z pierwszej pięćdziesiątki, a potem o mały włos nie wygrała z Hiszpanką Arantxą Sanchez Vicario, która była wtedy u szczytu kariery. Swój pierwszy zawodowy sezon Venus zakończyła na 204. pozycji. W 1997 roku jako pierwsza od 40 lat nierozstawiona tenisistka wygrała wielkoszlemowy US Open.

W tym samym roku 16-letnia Serena, choć sklasyfikowana na miejscu 304., została dopuszczona do turnieju w Chicago, bo dzięki wpływom ojca dostała dziką kartę. Organizatorom odpłaciła, sprawiając dwie olbrzymie

niespodzianki. W drugiej rundzie pokonała ówczesną siódmą raketę świata Francuzkę Mary Pierce, a w ćwierćfinale była najlepszą tenisistką świata – Amerykankę Monicę Seles. Takie osiągnięcie katapultowało ją z pozycji 304. na 102. i rozpoczęło jej marsz do miejsca liderki rankingu WTA, co osiągnęła w 2002 roku.

Na marginesie można dodać, że obie panny Williams do dziś zarobiły na korcie (bez kontraktów reklamowych) ponad 26 milionów dolarów.

Domachowska nie ma już szans na powtórzenie błyskawicznego awansu sióstr Williams, ale nie zmienia to faktu, że to właśnie w Warszawie rozstrzygną się jej sportowe losy – każda runda tego turnieju daje dużo więcej punktów do rankingu niż runda w turniejach niższej rangi, w których dotąd grywała nasza tenisistka. Będąc w połowie drugiej setki rankingu, Domachowska ma szansę znaleźć się nawet w pierwszej setce...

ADAM ROMER

Rozmowa z WOJCIECHEM FIBAKIEM

ADAM ROMER: Czy Marta Domachowska ma szansę, by w Warszawie zwyciężyć z najlepszymi? WOJCIECH FIBAK: Wszyscy jej tego życzymy, ale jej występ na kortach Warszawianki to wielka niewiadoma. Marta bez wątpienia ma potencjał, ale na ile jest silna psychicznie? W zeszłym roku nie wytrzymała ciśnienia, choć była wielka szansa. Sam szybki, mocny bekhend i forhend to za mało. Czy ma dość szybkie nogi, czy jest dość zwrotna, czy poradzi sobie w sytuacji kryzysowej? Oczywiście występ w Casablance [z eliminacji dotarła tam do ćwierćfinału – przyp. red.] napawa optymizmem, ale z paru wygranych meczów nie można wyciągać zbyt pochopnych wniosków.

Czyli nie powinniśmy się spodziewać zbyt wiele?

– Tego nie powiedziałem. Jeśli Domachowska wierzy w siebie i przejdzie do drugiej rundy, to ma szansę wygrać i z Mauresmo, i z Venus Williams. Bo gdzie ma wygrać, jak nie u siebie? Takie szanse trzeba wykorzystywać! Gdy ja 30 lat temu grałem



na kortach Legii w Pucharze Davisa z Włochem Panattą, to on zbierał pojedyncze gemy, choć był światowej klasy graczem.

Sugeruje pan, że ściany będą pomagać Polkom? – Nie tylko ściany. Zagrają na swoim korcie, w swoim mieście i przed swoją publicznością. Dla czołowych tenisistek warszawski turniej będzie pierwszym na niezwykle wolnej nawierzchni ziemnej, a tenis, który zobaczymy, będzie zupełnie inny od tego z szybkich kortów amerykańskich. To, że rok temu w finale były dwie najwyższej rozstawione tenisistki, to istny cud. Przy zmianie nawierzchni, jak wiosną w Europie, zawsze jest masa niespodzianek. I w tym upatrywałbym szansy dla Polek. Nie tylko dla Domachowskiej, ale też dla Joanny Sakowicz. Będą tylko musiały dać z siebie wszystko.

ROZMAWIAŁ ADAM ROMER

J&S CUP
zawodowy turniej tenisowy z cyklu WTA Tour
Korty Warszawianki, 26 kwietnia – 2 maja 2004.
Pula nagród: 585 tysięcy dolarów.
Nawierzchnia: czerwona ziemia.
Udział wezmą między innymi:
Amélie Mauresmo (Francja, aktualnie 3. na świecie), Venus Williams (USA, 16.), Nadia Pietrowa (Rosja, 7.), Wiera Zwonariewa (Rosja, 11.), Paola Suarez (Argentyna, 13.), Swietłana Kuzniecowa (Rosja, 14.)
Zwycięzcy otrzymają 93 tysiące dolarów i 195 punktów rankingowych, finalistka – 49,5 tysiąca dolarów i 137 punktów.

RANKING WTA:
1. Justine Henin-Hardenne (Belgia) 7367 punktów,
2. Kim Clijsters (Belgia) 6280,
3. Amélie Mauresmo (Francja) 3457,
4. Lindsay Davenport (USA) 3231,
5. Anastazja Myszkina (Rosja) 2828,
16. Venus Williams (USA) 1480,
149. Marta Domachowska 207,75.

LISTA SCHINDLERA

Wielki
Zwycięzca
w historii
przyznawania
Oscarów®

PO RAZ PIERWSZY NA DVD VIDEO

W SPECJALNYM DWUPŁYTOWYM WYDANIU ORAZ LIMITOWANEJ EDYCJI DLA KOLEKCJONERÓW





MAREK RYBARCZYK

SZPIEG z PRZYZWAITOŚCI



FOT. DZIEK (PRZEJEWÓSC) MARTINA GUDRUN/FRTSCH, BERLIN



FOT. CORBIS/FREE

Fritz Kolbe (u góry po lewej) uważał się za uczciwego niemieckiego obywatela. Dlatego wykradał dokumenty z ministerstwa Joachima von Ribbentropa (wyżej, po lewej). Szpiega nie wykrył nawet Heinrich Himmler, szef gestapo i SS (na zdjęciu obok Ribbentropa)

FRITZ KOLBE był najważniejszym szpiegiem aliantów. Po wojnie Niemcy uznali go za zdrajcę, a Amerykanie utajnili jego niezwykłą, bohaterską historię. Prawdę o superagencji poznajemy dopiero dziś

Scena jak z serialu o kapitanie Kłosie. Tyle że prawdziwa. 1944 rok. Zaciemnione gabinety ministerstwa spraw zagranicznych Rzeszy w Berlinie. Pomimo alarmu bombowego ktoś został na górze. Szara postać fotografuje supertajne dokumenty. Potem już tylko drżenie serca przy wyjściu z ministerstwa. Zabandażowane wokół nogi mikrofilmy opuszczają pilnie strzeżony budynek. Znowu się udało.

Z taką nieprawdopodobną brawurą działał najważniejszy aliancki szpieg II wojny światowej – Fritz Kolbe.

Kolbe był zwykłym urzędnikiem, ale głęboka wiara w słuszność sprawy, której służył, dodawała mu odwagi nawet w dramatycznych momentach. Gdy obradujący w ministerstwie szefowie MSZ Ribbentrop i MSW Himmler zażądali dokumentów, które akurat fotografował, nie stracił zimnej krwi. Błyskawicznie ukrył aparat i pobiegł z teczką do archiwum. Zdążył odłożyć ją na miejsce na chwilę przedtem, nim zgłosił się po nią ministerialny posłaniec. Zdobyte informacje Kolbe przewoził z narażeniem życia do Szwajcarii, gdzie przekazywał je Amerykanom. Każda z podróży przypominała grę w rosyjską ruletkę.

Kolbe przekazał aliantom niezwykle istotne informacje, między innymi dotyczące desantu w Normandii i rakiet V1 i V2. Po wojnie jednak rozplynął się w powietrzu. Amerykanie utajnili jego personalię, bo był nadal ekspertem CIA. Niemcy nie przyznawali się do niego, uznając za zdrajcę. Postać Kolbego

FOT. ROBERT F. SARGENT/CORBIS/FREE

znali przez dziesięciolecia niemal wyłącznie jego koledzy z CIA. A przecież w historii II wojny światowej odegrał rolę zupełnie wyjątkową. Dopiero 33 lata po jego śmierci Niemcy dostali do rąk monografię francuskiego historyka Lucasa Delattre'a „Sam przeciwko Hitlerowi. »Zdrada« Fritza Kolbego”.

Jak na książkę historyczną praca Delattre'a sprzedaje się doskonale. To kolejna bezkompromisowa monografia o wojnie, jaka ukazała się w ciągu ostatnich lat. Dla Niemców Fritz Kolbe jest postacią szczególnie ważną – to jeden z garstki aktywnych opozycjonistów antyhitlerowskich. Sami Niemcy niewiele wiedzą na temat działalności tych „cichych bohaterów”. Dziennikarz radia Deutsche Welle Andrzej Pawlak powiedział „Przekrojowi”, że to w pewnym sensie wina samego Kolbego. – Kiedy w RFN odkryto opozycję antyhitlerowską z pułkownikiem Stauffenbergiem jako jej najbardziej malowniczą postacią, Kolbego być może uznano za człowieka mniej „medialnego”, nienadającego się do kreowania mitów – przypuszcza Pawlak.

„Przekrój” dotarł do syna superszpiega – Petera Kolbego. Zebraliśmy także wszystkie odtajnione do dziś tropy jednego z największych agentów współczesności.

DEWIZA WYTWÓRCY SIODEŁ

Wszystko zaczęło się od ulubionego powiedzonka ojca Fritza Kolbego, berlińskiego rymarza: – Zawsze rób w życiu to, co uważasz za słuszne, i nigdy się nie bój. Idealizm wzmocnił w Kolbem młodzieżowy ruch Wandervogel kładący nacisk na szczerość i prawdę. Młody Fritz uwielbiał skórzane niemieckie spodnie, ale nie znosił wojny. Trafił na nią w 1918 roku. W wieku 18 lat służył w batalionie inżynieryjnym. Po wojnie zdał egzamin do służby dyplomatycznej. 11 lat spędził w niemieckiej ambasadzie w Madrycie. Narodziny Trzeciej Rzeszy obserwował z oddali z rosnącym przerażeniem. Wybuch wojny w 1939 roku zastał go w konsulacie niemieckim w Afryce Południowej. Z wahaniem wracał do kraju rządzonego przez faszystów. Siedmioletniego syna Petera wolał zostawić w Afryce pod opieką byłego służącego (żona Kolbego zmarła na gruźlicę).

Kolbe pogardzał hitlerowcami. – To kłamcy, którzy chcieli ogłupić ludzi. Hitler po mistrzowsku wykorzystał do własnych celów ekonomiczne potrzeby i pustkę duszy mas – wspominał po wojnie. Mimo nacisków nigdy nie wstąpił do partii hitlerowskiej. Wezwany przez szefów na ideologiczną spowiedź udawał głupka. Nie udzielał jasnych odpowiedzi. Wciągnął za to swoich rozmówców w dyskusję na temat filozofii życia. Napisali o nim w raporcie, że jest solidnym pracownikiem i ma dobry charakter, ale z uwagi na kontakty „z marksistami i Żydami” nie ma szans na legitymację partyjną.



FOUJULSTEINBERG

Kolbe wykorzystywał do ratowania Żydów blankiety paszportów przywiezione z konsulatu w Kapsztadzie. Załamany rządami faszystów w Niemczech, chciał uciekać za granicę. Ale jego przyjaciel, prałat zakonu benedyktynów, przekonał go, że nie powinien nigdzie wyjeżdżać – lepiej ugodzić w reżim, pozostając w samym jego środku.

Doskonała okazja nadarzyła się w 1941 roku. Kolbego skierowano do pracy w dziale kierowanym przez Karla Rittera, oficera łącznikowego MSZ z dowództwem Wehrmachtu. W ręku Kolbego zbierały się raporty Abwehry i korespondencja dyplomatyczna napływająca z 40 niemieckich ambasad i placówek.

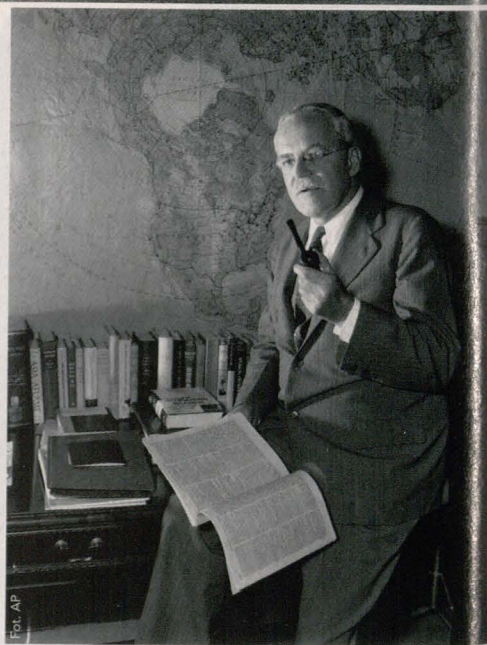
TO JEDEN Z NAS

Był inteligentny i zdyscyplinowany. A do tego „wół roboczy”. Karl Ritter nie mówił o nim inaczej niż „niezastąpiony”. Kolbe uzyskał także pozytywną opinię kontrwywiadu. – To była trochę komedia. Bez żadnych kompromisów wyłudowałem w kręgu najlepiej poinformowanych pracowników ministerstwa – wspominał. Rzeczywiście zdaniem historyków tylko Führer miał lepszy od Kolbego wgląd w dokumenty niemieckie.

– Kolbe przetrwał, bo był szarym szeregowym biurokrata. Wielki nikt. Okazuje się, że

Powyżej:
Siedziba
niemieckiego
MSZ
w Berlinie.
Tutaj
od 1939 roku
pracował
Fritz Kolbe

Allen Dulles
(rok 1954),
szef CIA,
zaufał
Kolbemu,
a dzięki pracy
superszpiega
zrobił karierę
w Agencji

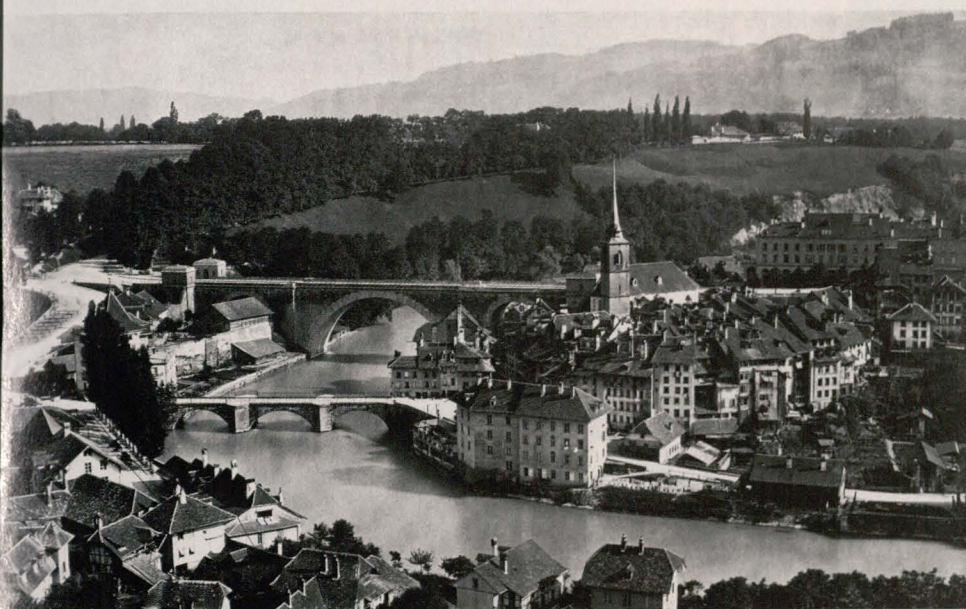


FOUJULSTEINBERG

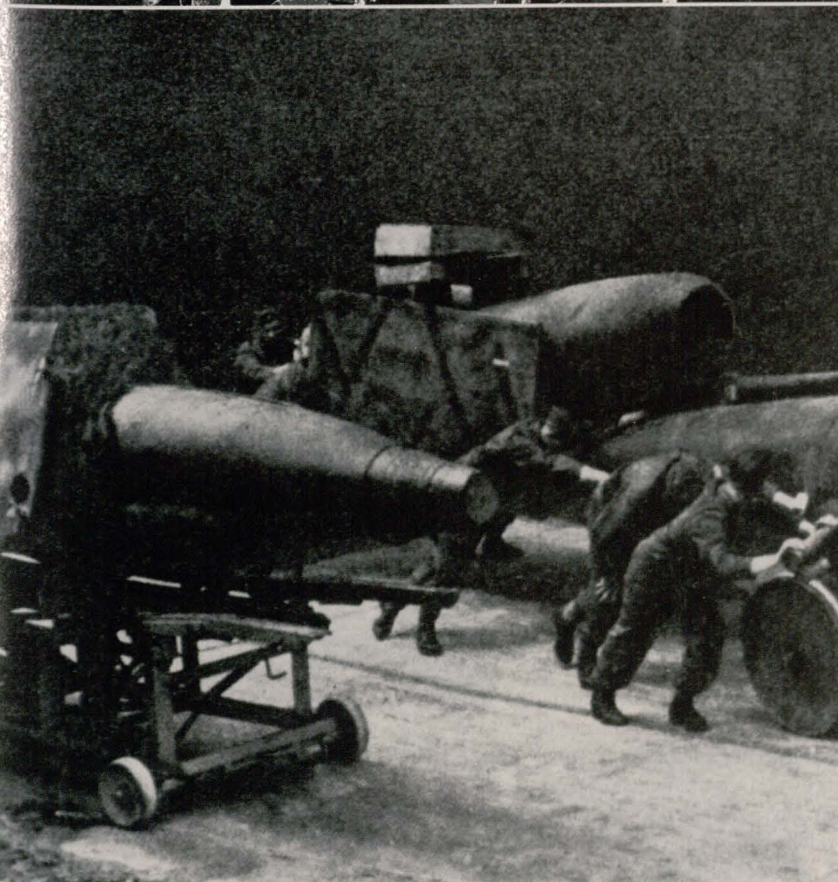
nawet faszystowska dyktatura nie jest w stanie wszystkiego kontrolować – wyjaśniał w rozmowie z „Przekrojem” Delattre, autor książki o Kolbem.

Kolbe już od jakiegoś czasu wykradał tajne dokumenty, ale nie był w stanie przekazać ich aliantom. Udało mu się dopiero w 1943 roku dzięki mało znanej po dziś dzień opozycji antyfaszystowskiej w Niemczech. Wspomnienia Kolbego dowodzą, że w ministerstwie spraw zagranicznych pracowało kilkudziesięciu „opozycjonistów”. Mówili o sobie wzajemnie: „To jeden z nas”. Taką przeciwniczką Hitlera była

Fritz Kolbe jest postacią szczególnie ważną – to jeden z garstki opozycjonistów antyhitlerowskich. Ponadto miał dostęp do najważniejszych dokumentów Rzeszy. Lepiej poinformowany od niego był tylko Hitler



FOUJULSTEINBERG



Powyżej:
Berno
w latach 40.
Fritz Kolbe
wymknął się
tu z Berlina,
by nawiązać
kontakt
z aliantami

Dzięki
Kolbemu
w 1944 roku
alianci
dowiedzieli się
o lokalizacji
fabryk rakiet V1

FOUJULSTEINBERG

także koleżanka Fritza z Wandervogel, córka pruskiego arystokraty Maria von Heimerdinger z wydziału poczty kurierskiej MSZ. Heimerdinger, domyślając się działalności Kolbego, załatwiła mu misję kurierską do Szwajcarii.

Wieczorem 15 sierpnia 1943 r. Kolbe wyszedł z ministerstwa na berliński dworzec. Po drodze minął kancelarię Rzeszy i ministerstwo propagandy. Nikt z przechodniów nie mógł przypuszczać, że niepozorny urzędnik z dyplomatyczną pocztą to najgroźniejszy wróg Hitlera. Do nóg Kolbe przymocował dwie koperty z mikrofilmami i kopiami najtajniejszych dokumentów. Punktualnie o 20.20 pociąg odjechał w kierunku granicy szwajcarskiej. Kolbe jako ministerialny wysłannik uniknął rewizji. Nie spał całą noc. Odetchnął dopiero w Szwajcarii.

ANGLICY NIE WIERZĄ W CUDA

W Bernie roilo się od szpiegów i podejrzanych typów oferujących dyplomatom rewelacyjne informacje. Wokół węszyły dziesiątki agentów gestapo. Kolbe musiał być bardzo ostrożny. Z ulicznego automatu zadzwonił do doktora Ernesta Kocherthaler, niemieckiego Żyda, z którym zaprzyjaźnił się jeszcze w Madrycie.

Podczas spotkania dał Kocherthalerowi kopię tajnego dokumentu i wysłał go do ambasady brytyjskiej. Kiedy ten w imieniu Kolbego zaofiarował Brytyjczykom współpracę, attaché wojskowy uznał całą rzecz za prowokację. Kolbe był zbyt wspaniałym nabytkiem, by mógł być prawdziwy. Jak miał dowieść, że jest wielbłądem – urzędnikiem Rzeszy gotowym za darmo, z narażeniem życia ujawnić największe sekrety? Ponadto brytyjscy dyplomaci unikali jak ognia kontaktów z niemiecką opozycją, by nie drażnić Rosjan. Moskwa obawiała się, że Niemcy mogą odsunąć od władzy Hitlera i zawrzeć jednostronny pokój z Brytyjczykami.

Doktor Kocherthaler był jednak uparty. Znalazł przez znajomego bankiera dojście do placówki amerykańskiej. Wkrótce zjawił się z plikiem tajnych dokumentów w gabinecie dyplomaty Geralda Mayera.

NOCNE SZPIEGÓW ROZMOWY

Mayer połknął haczyk. Pracował w Bernie dla OSS (Biura Usług Strategicznych), poprzednika CIA. W przeciwieństwie do Brytyjczyków starannie przeczytał dokumenty Kolbego. Zrobili na nim tak piorunujące wrażenie, że pobiegł do gabinetu Allena Dullesa, szefa siatki szpiegowskiej OSS w Szwajcarii. Ten postanowił zaryzykować. Jako młody dyplomata w Szwajcarii Dulles zlekceważył prośbę o spotkanie pewnego nieznanego Rosjanina. Żałował tego później. 11 kwietnia 1917 r. zamiast grać w tenisa z piękną koleżanką, mógł się spotkać z Włodzimierzem Leninem. Wódz rewolucji przyniósł ważną wiadomość: Rosja podpisze pokój z Niemcami i wycofa się z wojny. Od tego czasu Dulles

Po wojnie nie dostał posady w ministerstwie – było tam zbyt wielu eksnazistów. Wtedy uświadomił sobie, że dobry członek ruchu oporu powinien być martwy. A przecież bez jego bohaterstwa wojna pochłonęłaby tysiące ofiar więcej

wyznawał zasadę: nigdy nie odmawiać spotkania – nawet nieznanemu.

O północy Dulles i Mayer rozpoczęli spotkanie z Kocherthalerem i jego protegowanym. Stał przed nimi kandydat na szpiega Fritz Kolbe: lysiejący Niemiec wagi koguciej o okrągłej twarzy i żywej gestykulacji. Mayer nalał wszystkim drinki, ale atmosfera była bardzo sztywna. Rozmowa ciągnęła się do trzeciej nad ranem. Kolbe opowiadał o swojej karierze. Tłumaczył, że od trzech lat pracuje w Berlinie dla oficera łącznikowego MSZ. Mówił z dumą, że na jego biurko trafiają kopie raportów z niemieckich ambasad, ale także doniesienia wojskowe. Pokazał odbitki i mikrofilmy 186 dokumentów.

Amerykany jednak obawiali się podstępny. – Bylibyście naiwni, nie podejrzewając mnie – przekonywał Kolbe – ale pomyślcie sami, czy podstawiony agent przywiózłby wam tak wiele dokumentów? Zapewnił, że jest przyzwoitym niemieckim patriotą, któremu sumienie nakazuje zrobić wszystko, by skrócić tę wojnę. Nie chciał słyszeć o żadnym wynagrodzeniu.

Amerykany w końcu postawili na Kolbe. Otrzymał pseudonim George Wood i numer 674. Przed wyjazdem z Berna zostawił Dullesowi list do swojego syna Petera. – Dajcie mu to, jeśli zastrzeli mnie gestapo – powiedział.

NA TROPIE CICERO

Od razu z dworca w Berlinie przyszedł do swojego gabinetu. – Pracuję w biurze – mówili jego szefowie i wychodzący do domu koledzy. Tymczasem George Wood pilnie wylądował z morza papierów kopie pism cennych dla aliantów. W latach 1943–1945 Kolbe odbył sześć podróży kurierskich do Szwajcarii. Za każdym razem był bliski wpadki. Podczas wyprawy do Berna w październiku 1943 roku nie zaryzykował upychania mikrofilmów w spodniach. Ocaliło mu to życie. Na granicy szwajcarskiej został dokładnie przeszukany. Kiedy żandarmi kazali mu otworzyć torbę, Kolbe wycedził przez zęby: – Oto poczta dyplomatyczna i pieczęć Rzeszy. Jeśli chcecie, możecie je złamać! Żołnierze nie ośmielili się otworzyć koperty ze swastyką odcisniętą w czerwonym wosku. Po zakończeniu rewizji Kolbe zamknął się w toalecie na dworcu. Sam złamał pieczęć na wielkiej kopercie. Wewnątrz znajdowały się dwie inne. Pierwsza,

z pieczęcią MSW, miała być dostarczona do przedstawicielstwa w Bernie. Druga była przeznaczona dla amerykańskiego wywiadu. Kolbe szpikował też mikrofilmami zegarki wysyłane do reperacji do Szwajcarii oraz kartki z życzeniami dla berneńskich przyjaciół.

Alianci dostali od Kolbego w ciągu dwóch lat współpracy aż 1600 tajnych hitlerowskich dokumentów. Dzięki jego ostrzeżeniu ocalał konwój płynący z Argentyny do Wielkiej Brytanii: w ostatniej chwili statki zmieniły kurs, unikając zatopienia przez niemieckie okręty podwodne.

Kolbe ostrzegał już w październiku 1943 roku o planach likwidacji tysięcy Żydów we Włoszech i o aresztowaniach wśród działaczy francuskiego podziemia. Pod koniec wojny dostarczał informacji o tajnych niemieckich próbach z rakietami V1 i V2. Podał lokalizację zakładów produkujących części do tajnej broni. Informował o nastrojach w Niemczech i statystykach produkcji niemieckich fabryk.

Jedną z największych zasług Kolbego było zdemaskowanie niezwykle groźnego niemieckiego szpiega działającego w ambasadzie brytyjskiej w Stambule. Był nim służący ambasadora działający pod kryptonimem Cicero. Agent dorobił duplikat klucza do sejfu w willi dyplomaty, dzięki czemu mógł zdobyć, a następnie przekazać Niemcom informacje o planowanym desancie na zachodzie Europy. Kolbe wyszedł go w szyfrogramach z ambasady niemieckiej w Turcji i zadenuncjował Amerykanom.

Dzięki George'owi Woodowi alianci dowiedzieli się, gdzie Niemcy oczekują otwarcia drugiego frontu. – To były najważniejsze informacje od jakiegokolwiek szpiega w czasie całej II wojny światowej – przyznał po latach dyrektor CIA Richard Helmes. Ale do wiosny 1944 roku doniesienia Kolbego przyjmowano z niedowierzaniem. Wiele z beczennych informacji zmarnowano.

DOBRY BOHATER – MARTWY BOHATER

Po wojnie Kolbe był ekspertem CIA. Ożenił się ponownie – z młodą pielęgniarką Marią Fritsch. Wspólnie wyjechali do USA na zaproszenie amerykańskiego wywiadu. Kolbe miał nadzieję na pracę w Departamencie Stanu. Chciał też zdobyć dewizy na bilet do Afryki Południowej, by odwiedzić syna (zobaczyli się dopiero w 1953 roku). Miał jednak duże pro-



Po wojnie superszpieg Kolbe utrzymywał się z drobnych prac biznesowych i urzędniczych. Dzięki Dullesowi został przedstawicielem amerykańskiego producenta pił tarczowych



Powyżej: Kolbe ze swoją żoną Marią żyli bardzo skromnie. W 1954 roku odpakował z radością cenny podarunek – butelkę dobrego wina

Obok: Na nartach w Austrii. Od lewej Fritz i Maria Kolbe z przyjacielem, agentem CIA Harrym Hermsdorffem (1954 rok)

blemy z adaptacją i nauką języka. Superszpieg Kolbe okazał się też kiepskim biznesmenem. Nabrany przez oszusta stracił 20 tysięcy franków, które przyjął od CIA jako zabezpieczenie dla syna. Państwo Kolbe wrócili do Niemiec. Fritz złożył podanie o stanowisko urzędnicze. Nie dostał jednak posady, mimo że przyjęto sto tysięcy byłych urzędników Rzeszy. Zdecydowały wpływy w ministerstwie byłych nazistów. – Kolbe uświadomił sobie wówczas, że dobry członek ruchu oporu powinien być martwy. Gdyby zginął z rąk gestapo, zostałby legendą – podkreśla w rozmowie z „Przekrojem” francuski historyk Lucas Delattre.

Maria i Fritz zamieszkali w kawalerce na przedmieściach Frankfurtu. – Mamy szczęście, że trafiło nam się to mieszkanie – ironizował rozżalony szpieg – gdybyśmy byli nazistami, żyłoby nam się lepiej. Utrzymywał się z drobnych prac biurowych. Próbował też sił jako dziennikarz. W 1953 roku szefem CIA został Allen Dulles – to on uwierzył 10 lat wcześniej, że skromny urzędnik Rzeszy może być jednocześnie superszpiegiem. Dulles załatwił Kolbemu posadę przedstawiciela amerykańskiego producenta pił tarczowych w Szwajcarii. Kolbe zmarł w 1971 roku jako nieznany nikomu biznesmen. Na cmentarz w Bernie przyszło osiem osób. Do żałobników dołączyło dwóch tajemniczych mężczyzn. Po pogrzebie złożyli na grobie Kolbego wieniec od dyrektora CIA.

KWESTIA „ZDRAJCY”

W 1999 roku na polecenie prezydenta Clintona odtajniono część amerykańskich archiwów, wśród nich opasłe teczkę raportów Kolbe. Wkrótce stało się jasne, że bez bohaterstwa niemieckiego biurokraty zwycięstwo nad Hitlerem pochłonęłoby setki, a może tysiące ofiar więcej. „Niedocenienie przez nowe Niemcy roli, jaką odegrał Kolbe w zwycięstwie nad hitleryzmem, było niesprawiedliwością. Mam nadzieję, że nadejdzie taki dzień, kiedy ten błąd zostanie naprawiony” – pisał na krótko przed śmiercią w 1969 roku Dulles. Taka szansa pojawiła się dzisiaj. Przetłumaczona w marcu na niemiecki biografia Kolbego wywołała spore zainteresowanie. O jego dokonaniach dyskutuje się w niemieckich mediach.

– Historia Kolbego pokazuje, że nawet zwykli Niemcy byli w stanie zrobić coś, by walczyć z szaleństwem reżimu Hitlera – a w powojennych Niemczech Kolbe został potraktowany jak odszczepieniec – pisał magazyn „Stern”.

Peter Kolbe niechętnie rozmawia o ojcu – pewnie ma do niego żal, że przedłożył karierę szpiega nad rolę ojca. Ale jest dumny z jego dokonań. Podkreśla, że mimo swoich powojennych losów jego ojciec nigdy nie miał żadnych wątpliwości, że postępował słusznie. „Zdrada” była kwestią przyzwoitości.

MAREK RYBARCZYK



O co chodzi w chodzie?

W artykule pani Doroty Sajnug zatytułowanym „Chód po wybojach” znów pobrzmiewają echa konfliktu wywołanego już prawie dwa lata temu przez czołowych działaczy PZLA, z panią prezes Ireną Szewińską na czele. Do dziś ciągnie się za mną niczym niepotwierdzone kłamliwe twierdzenie, jakobym podczas mistrzostw Europy w Monachium – cytuję z artykułu – „występowałem w kurtce z logo browarów, ale na koszulce ostentacyjnie zaklejał je czerwoną taśmą”. W stwierdzeniu tym nie ma nawet cienia prawdy, co jestem w stanie w bardzo prosty sposób udowodnić. Może więc słynący ze świetnych zdjęć „Przekrój” opublikuje choćby jedno takie, które wykaże, iż łamałem umowę z firmą Żywiec. Kładę na szali wszystkie pieniądze,

jakie wypłacił mi dotychczas z tytułu umowy mój indywidualny sponsor, czyli Elite Cafe. Życzę powodzenia, ja zaś chętnie pokibicuję poszukiwaniom. Rozumiem, że mogą być atrakcyjnym pretekstem do wywoływania aferek i skandalików medialnych, nie mam jednak pojęcia, dlaczego ma być w to wplątana moja siostra. Po co na siłę udowadniać tezę, że niechcę warszawskiej centrali do mojej osoby przenosi się automatycznie na Sylwii? Podlega ona wszystkim kryteriom kwalifikacyjnym, jakim poddani są wszyscy lekkoatleci, i w istocie do momentu otrzymania nominacji olimpijskiej będzie musiała wykazywać się, podobnie jak ja, tak zwaną gotowością startową, czyli dobrym stanem zdrowia potwierdzonym udziałem w lipcowych mistrzostwach Polski w Bydgoszczy. Nie mam pojęcia, dlaczego ten temat jest przedmiotem dyskusji pani redaktor Doroty Sajnug z panem Jackiem Zamecznikiem, który z całą pewnością nie odpowiada ani za politykę informacyjną Związku, ani tym bardziej za skład kadry olimpijskiej. Radzę na przyszłość nieco lepiej zbadać temat, zanim tak szanowany magazyn z tradycją jak „Przekrój” wyda swoje sądy o kadry olimpijskiej, moim stosunku do obowiązków reprezentanta Polski oraz drodze Sylwii Korzeniowskiej

do sportowego mistrzostwa. Z wyrazami szacunku
ROBERT KORZENIOWSKI
KRAKÓW, 13 KWIETNIA 2004 R.

Dla nikogo chyba nie jest tajemnicą, że od dawna źle się dzieje w Związku Lekkiej Atletyki. Do dziś niezakończony spory rzutują na przyszłość młodych i świetnie zapowiadających się sportowców. W czasie rozmowy z Jackiem Zamecznikiem z PZLA odniosłam wrażenie, że Związek dotąd nie wybaczył zawodnikom, którzy zdecydowali się na sponsoring Elite Cafe. Stąd jego niechętny stosunek do Sylwii. W swoim tekście wykazałam jedynie niekonsekwencje Związku. Zawodniczka uzyskała określone minimum niezbędne do zakwalifikowania się na igrzyska, więc drzwi na olimpiadę powinny stać przed nią otworem. Nagle jednak okazało się, że to nie wystarcza. Związek żąda od niej kolejnych potwierdzeń dobrej formy. Po co więc ustala się owo minimum? Pan Robert Korzeniowski może być spokojny o swoje pieniądze. W Monachium nie zaklejał logo browarów. Za pomyłkę przepraszam.

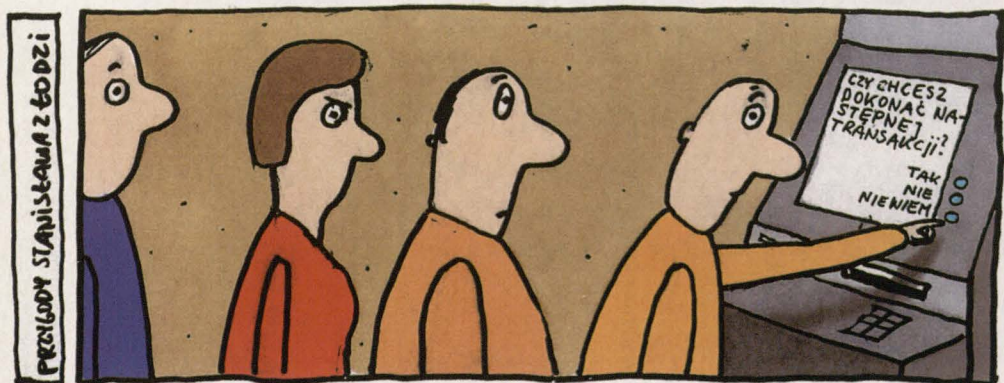
Dorota Sajnug

Bardzo przepraszamy mecenasza Jerzego Naumanna za błąd w pisowni jego nazwiska w tekście „Proszę wstać, cyrk idzie” w numerze 16. „P”.

Joanna Gorzelińska
Max Suski

Czekamy na Państwa listy.

Nasz e-mail: redakcja@przekroj.pl Nasz adres: ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa.



© MAREK RACZKOWSKI

PRZEKROJ
Założony w roku 1945 w Krakowie
Redaktor: **MARIAN EILE**

ADRES REDAKCJI:
UL. WIEJSKA 12A, V.P., 00-490 WARSZAWA.
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 25 25
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL

E-MAIL:
redakcja@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY - WYDAWCA:
Piotr Najszub

PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Agnieszka Dajbor

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Jacek Kowalczyk

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:
Elżbieta i Bogdan Zochowscy

SEKRETARZE REDAKCJI:
Magda Gędziągowska, Marcin Sendecki,
Maria Świetlik (zastępca)

ASYSTENTKA:
Anna Romotowska

KULTURA:
Bartek Chaciński (szef), Marcel Andino Velez,
Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska,
Andrzej Saramonowicz,
Justyna Sobolewska

KRAJ:
Magda Papuzińska (szef), Marcin Fabjański,
Joanna Gorzelińska, Dorota Sajnug, Max Suski,
Paweł Wieczorek, Michał Wójcik

ŚWIAT:
Wawrzyniec Smoczyński (szef), Filip Łobodziński,
Andrzej Lomanowski, Jakub Mielnik, Marek Rybarczyk

NAUKA:
Olga Woźniak (szef), Piotr Stanisławski

ROZRYWKA:
Marcin Pieszczyk

PRACOWNIA GRAFICZNA:
Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Patrycja Kühn,
Małgorzata Laska, Agata Loth,
Maciej Morus, Krzysztof Zakrzewski

PAN OD RYSUNKÓW:
Jacek Ziemieński

FOTOEDYCJA:
Tomasz Kniolek (szef), Marcin Kapica, Marcin Kędryna,
Bogdan Kręzel (fotograf), Olga Piłśniak, Marek Szczepański

KOREKTA:
Lucyna Dyczkowska (szef), Tatjana Hardej,
Dariusz Janiszewski

ARCHIWUM:
Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok

PRZYGOTOWALNIA:
Edipresse Polska - Zbigniew Szymański (dyrektor)

REDAKTOR TECHNICZNY:
Alan Jawor

SEKRETARIAT: Iwona Chmielewska

EDIPRESSE
POLSKA

WYDAWCA:
EDIPRESSE POLSKA S.A.
UL. WIEJSKA 12, 00-490 WARSZAWA.
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 00
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:
Zbigniew Napierala

WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:
Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:
Paweł Satkowski

DYREKTOR MARKETINGU:
Izabela Bochenek

DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH:
Agnieszka Smit

PUBLIC RELATIONS:
Marcin Fedisz

DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKROJ”:
Iwona Zabielska-Stadnik

DZIAŁ DYSTRYBUCJI I PRODUKCJI:
Grzegorz Barek - dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:
Adriana Olczak, Magda Ołędzka
KONKURSY@PRZEKROJ.PL

BIURO REKLAMY:
Ewa Kozłowska - dyrektor,
Anna Orłowska - zastępca dyrektora,
Artur Dudek, Jagna Federowicz, Maciej Grelik,
Grażyna Janiak, Anna Maślińska, Małgorzata Skorupa
ul. Wiejska 12, 00-490 Warszawa
tel. (0-prefiks-22) 584 22 95 - 297 - 311 - 584, - 594
faks (0-prefiks-22) 584 22 92

DRUK:
WINKOWSKI SP. Z O.O. - RADZYMIŃ
PAPIER: OKŁADKA - GALERIE FINE 90 GSM,
PRODUCENT - M-REAL
SRODEK - GALERIE BRITE 60 G;
PRODUCENT - M-REAL

PRENUMERATA: U WYDAWCY
Izabela Mroczek, Agnieszka Bogdańska
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 29 LUB 584 22 30
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 22 32
PRENUMERATA@PRZEKROJ.PL
PRENUMERATA.KONKURSY@EDIPRESSE.PL

PRZEZ POZTE
PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE
NA TERENIE CAŁEGO KRAJU

PRZEZ RUCH SA
INFORMACJA TEL. (0-PREFIKS-22) 532 87 31,
FAKS (0-PREFIKS-22) 532 87 32

NA CAŁYM ŚWIECIE W INTERNECIE
WWW.EXPORTIM.COM
FAKS/TEL. +46-8-6639963

ARTYKULÓW NIEZAMÓWIENYCH NIE ZWRACAMY.
REDAKCJA ZASTĘPIA SOBIE PRAWO DO ZMIAN
I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKULACH I LISTACH.

„Przekrój” wydaje polecenia kulturalne



PORNO BAJKI

W ich piosenkach jest jak w starej bajce o sroczce, co kaszkę warzyła i małym dawała: temu dała, temu dała, temu dała, a temu łepkę urwała. W takiej konwencji krwawych „edukacyjnych” powiastek dla dzieci pisze Martyn Jacques (śpiew, akordeon) swoje teksty o prostytutkach, narkomanach i mordercach. Towarzyszy mu Adrian Hüge (perkusja), były rzeźnik, i Adrian Stout (kontrabas),

Tiger Lillies

który był zwykłym muzykiem jazzowym, dopóki pozostała dwójka nie zwiadła go na manowce makabrycznego kabaretu. Nie zostali wymyśleni przez Rolanda Topora. Istnieją naprawdę i grają od 15 lat. Są bardziej krwawi niż heavy metal. I śmieszniejsi od metalowców – tyle że w ich wypadku jest to humor zamierzony. Sami mówią o sobie „surrealistyczna pornografia”. U nas wrzucono ich do worka z piosenką aktorską – i dobrze, bo niewątpliwie koncert Tiger Lillies będzie ozdobą jubileuszowego Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. (BACH)

THE TIGER LILLIES
W RAMACH 25. PPA,
26.04 WROCŁAW,
CENTRUM SZTUKI IMPART

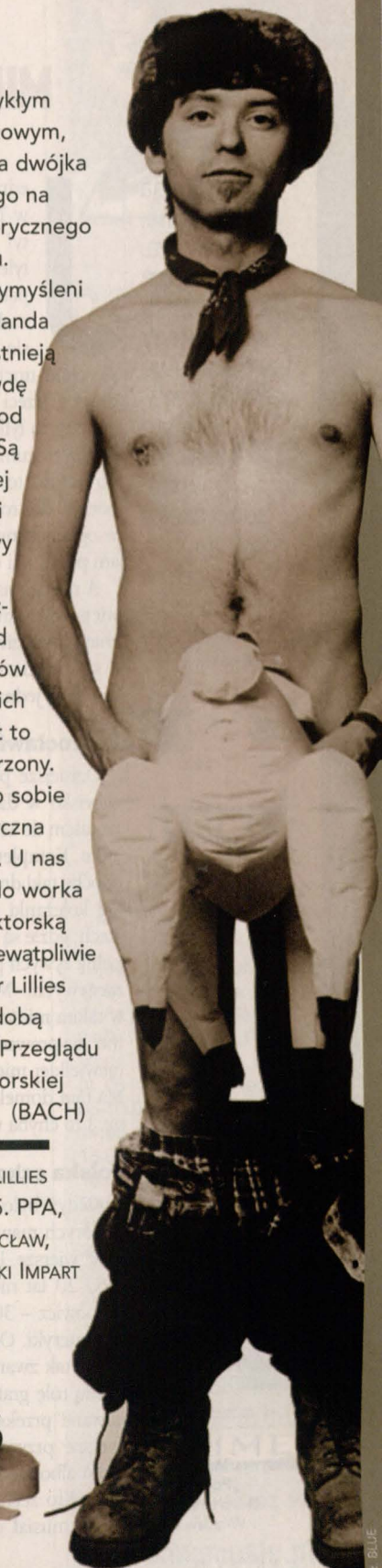


Foto: BLUE

INSTRUKCJA OBSŁUGI KRYSTYNY MIŁOBĘDZKIEJ

Ta poezja jest trudna, niszowa, wymaga od czytelnika współpracy i nie obiecuje lekkich snów. Ale kto te trudności pokona, tego czeka fascynująca podróż po świecie jednej z największych poetek naszych czasów

Jedno Ty ubrane w tyle tego? ja w Ty? Ty w my? Ty jedno w tylu ty? / ty, nie wiem nawet które, tyle tyle tego ty". I tak dalej, patrz obok. Zdaje się wam, że mało co z tego rozumiecie? To się wam tylko zdaje. Jakbyście się choć trochę skupili i przeczytali raz, drugi i trzeci te dwa wersy (wiersz jest dłuższy, to tylko jego początek), na pewno byście zrozumieli. A jak nie wszystko i nie do końca, to też nie szkodzi. Bo pewna poezja do rozumienia nadaje się tylko w ograniczonym sensie. I nie jest to błąd ani poety, ani czytelnika.

A między nami mówiąc, jest to przecież wiersz o jakimś „ty” i jakimś „ja”, i zakochanym zadziwieniu „ja”, że w tym „ty” tyle się mieści cudowności, także „ja” i „my”. Trzeba jednak zacząć od początku.

Z Wrocławia do Puszczykowa

Dzisiejsze polskie poetki to wyjątkowe zjawisko w dziejach literatury, ale nawet na takim tle Miłobędzka to wyjątek od wyjątku. Kompletnie niezależna, osobna. Już choćby taki drobiazg, że wszystkie jej wielkie koleżanki mieszkają w wielkich miastach, gdzie są księgarnie, tramwaje, domy pełne żywych przyjaciół i cmentarze pełne nieżywych. Miłobędzka też mieszkała w takim mieście – Wrocławiu – ale lata temu wyprowadziła się do Puszczykowa, niewielkiej miejscowości pod Poznaniem. Ma tam domek, a w nim najbliższą rodzinę. I to chyba wszystko.

Polska szkoła lingwistyczna

Kiedyś było w Polsce dwóch poetów, o których mawiano, że uczyła się od nich pisać wiersze. Jeden – Miron Białoszewski – od 20 lat nie żyje. Drugi – Tymoteusz Karpowicz – 30 lat temu wyprowadził się do Ameryki. Obaj stworzyli polską szkołę poezji tak zwanej lingwistycznej, w której ważną rolę grały skomplikowane i wyrafinowane przekształcenia języka. Niektóre wiersze przypominały wielopiętrowe zagadki albo labirynty pełne utajonych znaczeń. Kto zechciał wejść w ten magiczny świat, musiał odtąd słuchać dwóch gło-

TYLE TEGO TY

sów jednocześnie – głosu poety i głosu własnego. Część zapisanych w wierszach znaków i znaczeń nabierała bowiem jakiegokolwiek sensu tylko wtedy, gdy nadawała im go wyobraźnia czytającego. Lektura polegała często po prostu na wybieraniu z różnych możliwości. Było to jak czytanie znaków z kształtu chmur, z rytmów liści, głosów ptaków o piątą rano. Oczywiście w skrajnych przypadkach.

Miłobędzka jest z tej szkoły

Dziś już właściwie nieistniejącej, a raczej istniejącej właśnie w niej, ostatniej i największej mistrzyni. Zresztą to już nie żadna szkoła, tylko wspaniały, osobny, najwyższej jakości świat poetycki ze swoim kosmosem i swoją ziemią, swoją cywilizacją i przyrodą. Składa się nań zaledwie siedem czy osiem szczuplutkich tomików wydanych w ciągu ponad 40 lat pisania. Wiele z tych wierszy ma

po kilka linijek, niektóre po jednej. Na przykład taki poemat w czterech słowach: „umarła z niewypowiedzianej nienawiści (miłości)”. Albo taki, gdzie aż pięć słów: „jakoś się urządzić pewnie i przejściowo”. Oparte są na stosunkowo prostej grze słownych przeciwieństw. Ale za to ileż miejsca do zagospodarowania (wyobraźnią) między tą nienawiścią a miłością czy pewnością a przejściowością.

Wemniewięci

Ja tu tak zachwalam i zachwycam się, i wielkich słów używam, pisząc o tej skromnej i niekrykliwej poezji, gdy tymczasem Czytelnik otworzy w dowolnym miejscu najnowszy – powiedzmy – tomik Miłobędzkiej i przeczyta coś takiego: *są na fotografii! matkajciec klombkojesion piwonie wemniewięci, nareszcie bezpieczni!*

Krystyna Miłobędzka

*jedno Ty ubrane w tyle tego? ja w Ty?
Ty w my? Ty jedno w tylu ty?*

ty, nie wiem nawet które, tyle tyle tego ty

*ty wijące bluszcze, płynące głosem
mlekiem krwią rzekami*

*ty stojące przede mną domem, tłukące
głową o ścianę*

ty, które liści igli nagli goni tuli

wpadające w słowo, dziecinnie proste

*ty spod cegły wylażące karaluchem,
biegnące chmurami i po telefonicznych drutach*

*ty, które pisze bardzo piękny wiersz
ale go nie prowadzi do puenty*

Ani chybi pomysli: ktoś tu zwariował. To jest wiersz? Te jakieś posklejane słowa i o czym to właściwie jest? Ktoś tu kit wiska i tyle. No dobrze. A gdyby tak uspokoić nerwy i powolutku wszystko przeczytać jeszcze raz?

Fotografia. Widać matkę i ojca autorki, zapewne objętych, trzymających się za ręce albo przynajmniej stojących jedno blisko drugiego. Dlatego w wierszu będą też razem, w jednym słowie. Gdzieś obok nich klomb z jesionem i jakiś tajemniczy koń, może należący do ojca, ułana, a może nie. Tworzą zapewne drugą grupkę bohaterów fotografii i dlatego także będą w wierszu razem, w jednym słowie. Osobno – piwonie. Dlaczego osobno? Nie wiem. Ale gdzieś tam są i nie mieszają się z resztą towarzystwa, przez co nabierają ważności. I wszyscy uwiecznieni na tym kruchym kawałku tekturki. Zapewne dawno nie ma ich między żywymi. Są, powiada wiersz, „nareszcie bezpieczni”, bo już ich ani śmierć nie dotknie, ani ogień, ani inne zniszczenie – nawet wniebowzięcie! – bo są „wemniewięci”. Wzięła ich na wieczne przechowanie pamięć i miłość autorki.

Kartofel, mleczny ząb, śmierć

Miłobędzka pisze o sobie i swoich najbliższych, nigdy i nigdzie nikogo nie nazywając wprost. Pisze o domu, w którym mieszka, o zdziwieniu istnieniem trawy, nieba, kartofla, mlecznego zęba, śmierci, samotności starej kobiety wracającej z zakupów, strąconych talerzach i nieodchodzeniu ani bliżej, ani dalej. Przygląda się uważnie wszystkiemu, co jest nie tyle w środku, ile między: ludźmi, rzeczami. Pisze, że gubi czasowniki, ale ocala rzeczowniki. Wciąż pyta o wszystko zaplątana w codzienną otchłań między życiem a nicością. Na wiele z tych pytań ani ona, ani ja, który po wielokroć czytałem jej wiersze, wciąż coś nowego w nich znajdując, nie znamy odpowiedzi. Ale chyba nikt, także ona, tego nie oczekuje.

Ja wiem, że to wariactwo w czasach telewizyjnych seriali, fascynujących wojen na górze i na dole, w barwnym zgiełku wieloustego świata polecać wymagające niezwykłego skupienia i odważnej wyobraźni wiersze wydrukowane w szaro-czarno-białej książeczce, w niszowym nakładzie, w niszowym wydawnictwie. Cóż mam na swoją obronę? Zapewne nic, kilkaset słów. Ale gdyby nie to nic, czułbym się o wiele bardziej niczym.

TADEUSZ NYCZEK

marysia
sadowska



najnowsza
płyta
już w sklepach

STYL

PRZE
KROJ

LOOK

FILIPINKA

PC

cgm.pl

TROLL

Zapraszamy na koncerty:

| | |
|----------|--------------------------|
| 16.04 | Sopot klub „Sfinks” |
| 19.04 | Warszawa „Klubokawiarńia |
| 23.04 | Bytom „Fantom” |
| 24.04 | Kraków „Prozak” |
| 30.04 | Katowice „Megaclub” |
| 01.05 | Gliwice Plac Krakowski |
| 05-10.05 | Lille Francja |
| 14.05 | Bielsko Biała „Klimat” |
| 15.05 | Bydgoszcz „Sonobar” |
| 16.05 | Poznań „Malta” |
| 20.05 | Gdańsk „Metro” |
| 21.05 | Olsztyn „Boomtown” |
| 22.05 | Białystok „Metro” |
| 28.05 | Poznań „Blue note” |
| 29.05 | Szczecin „Brama” |
| 19.06 | Sopot „Enzym” |

Atmosferę na koncertach podkręca

RIMMEL

Management: 502 400 422, 502 438 380

sonymusic.pl
marvsiasadowska.pl



KRYSTYNA MIŁOBĘDZKA
„PO KRZYKU”,
Biuro Literackie,
Wrocław 2004

arcydzieło ●●●●●●●●
 świetne ●●●●●●●●
 dobre ●●●●●●●●
 przeciętne ●●●●●●●●
 słabe ●●●●●●●●
 dno ●●●●●●●●

książki
film
muzyka
teatr
wystawy
telewizja



HYMN O NAJWŚCIEKLEJSZEJ PANIENIE

Tym razem nie ma co liczyć na spektakularne, wieloosobowe sceny walki

●●●●●○
Skarbem tej historii jest Uma Thurman.

Bez jej niezwykłego wdzięku film nie miałby nawet procenta swojego uroku

Jestem zakłopotany – już raz pisałem recenzję z tego filmu i już raz mi za nią zapłacono. Skoro jednak i Tarantino, i Miramax nie mają takich dylematów, każąc sobie podwójnie płacić za jeden film, to może niepotrzebnie hamletyzuję.

Ale jeśli nawet nie jest to problem natury etycznej, to praktycznej: jak – do faka! – napisać dwie recenzje z tego samego filmu, żeby się nie powtarzały? Jedyne, co można zrobić, to opisać nową treść, ale za to Czytelnicy „Przekroju” wypatroszyliby mnie jak Uma Thurman legion żółtków w części pierwszej. Może zatem to, co mam do powiedzenia, ujmę w luźnych punktach?

1. Chłopięce fascynacje reżysera – lubię je i podzielam. Utylizacja kiczowatych pomysłów zaczerpniętych z filmów klasy B i C – jakież to ekscytujące! Zresztą czy znajdzie się w Polsce facet, co w dzieciństwie choć raz nie narysował własnego komiksu o Batmanie albo o Klossie? Albo o podziemnym froncie, wodorostach i pasożytach czy kapitanie Żbiku?... Dlatego poddaję się bajaniom Tarantina bez nadmiernych wymagań. Mimo iż widzę, że:

2. Tempo – no, nie jest oszałamiające, najłagodniej mówiąc. Oczywiście Taran-

tino za dużo wie i umie, by narazić widzów na nudę, ale akcja chwilami się słamazarzy. Bohaterów Tarantina zawsze cechowała urocza grandilowencja (kto nie wie, co to, niech sprawdza szyciutko w słowniku, bo znajduje się w sferze wpływów Samoobrony!), tym razem jednak jest tego stanowczo za dużo ze szkoda dla rytmów opowieści. Jeśli zaś chodzi o:

3. Rozwiązania dramaturgiczne – też nie ma co liczyć na spektakularne, wieloosobowe sceny walki. W ogóle część druga opowieści jest bardziej... kameralna. Panna Młoda (Uma Thurman) poświęca swą pełną pasję uwagę jedynie trzem osobom: a) Buddowi (Michael Madsen), który nadal jest człowiekiem brzydkim moralnie, czemu da wyrafinowany wyraz i za co dobry Bóg pozbawi go życia przy użyciu szatańskiego zwierzęcia pełzającego; b) Elle Driver (Daryl Hannah), kobiecie zawistnej i jednookiej do czasu; 3) *last but not least* – mężczyźnie swego życia (i śmierci), czyli tytułowemu Billowi (David Carradine). A ponieważ Panna Młoda, niczym wielbielki dosi, wybiera środki najtańsze, więc proszę się nie spodziewać komplikacji narracyjnych. Ale to wszystko wybaczam, bo:

4. Uma Thurman – kobieta inteligentna i piękna! – jest skarbem tej historii. Bez jej niezwykłego wdzięku, wyrażającego się w niemal idealnej proporcji chłodu i żaru, film nie miałby nawet procenta swojego uroku. Uroku, na który wielki wpływ mają też:

5. Zdjęcia – szalenie lubię wizualizację świata, którą proponuje Tarantino. Jego pomysły mają często skąpe telewizyjne rozwiązania, ale – jak on to robi! – w kinie sprawdzają się doskonale. Zachwyca mnie, jak udanie reżyser łączy banalne ustawienia kamery z formalnymi „odjazdami”. I wszystko pasuje! Może to mylnie sugerować, że nie ma właściwie żadnych zasad, ale Tarantino ma po prostu organiczną łatwość łączenia ujęć w fantastyczne sceny. A wszystko dzięki temu, że pracował w wypożyczalni filmów. I jak wierzyć rodzicom, kiedy krzyczą, że ślęczenie przed telewizorem nie rozwija?!... Ogólnie zatem:

6. „Kill Bill vol. 2” jest przyzwoitą rozrywką – a w porównaniu z „Pasją” Gibsona filmem wręcz familijnym, więc można zabrać także i dziadków, mówiąc im, że na swój sposób również jest to historia z pierwiastkiem transcendencji.

ANDRZEJ SARAMONOWICZ



ODWROTNOŚĆ NUDY

CZY TONY SOPRANO JEST DOBRYM CZŁOWIEKIEM?

A Carmela, jego żona, feministką? I co by było, gdyby Tony czytał Machiavellego zamiast Sun Tzu? Na te i wiele innych pytań odpowiada 17 esejów zawartych w książce „The Sopranos and Philosophy: I Kill Therefore I Am” („Rodzina Soprano i filozofia. Zabijam, więc jestem”). Napisali je filozofowie z amerykańskich uczelni, zagorzali fani serialu. Poprzez postaci członków mafii i ich losy przedstawiają czytelnikom teorie filozoficzne, rozprawiają o metafizyce, epistemologii, postmodernizmie. „Rodzina Soprano i filozofia” to już siódma pozycja powstałej w 2001 roku serii „Kultura Popularna i Filozofia” wydawnictwa Open Court. Wcześniej uczeni w podobny sposób przeanalizowali



„Rodzina Soprano”

między innymi „Simpsonów” (tytuł jednego z esejów: „Czy Nietzsche usprawiedliwiłby złe zachowanie Barta?”), „Buffy, postrach wampirów”, „Matriksa” i „Władcę Pierścieni”. Jesienią ukazą się kolejne książki, o Harrym Potterze i Woodym Allenie. Jak się jednak okazuje, nie każdy twór popkultury zasługuje na uwagę uczonych. Czuwający nad całym projektem profesor William Irwin odrzucił propozycję napisania o serialach „Ostry dyżur” i „Przyjaciele”, bo „pozbawione są podstawowej głębi dla filozoficznego dyskursu”... (IK)



Przed El Cidem długa droga do dorosłości

●●●●●○ CID TO NIE CUD

Hiszpańska animowana superprodukcja najpierw się lepi, a potem rozłazi

W dobrej baśni reguły są nieskore do zmian. W „El Cidzie” mamy więc początek zgodny z zasadami gatunku: „dawno, dawno temu...”. Mamy niesforne i pełnego wdzięku młodziana, który przejdzie ostrą szkołę życia, nim stanie się facetem pełną gębą. Mamy wreszcie niezbędną listę pompacyjnych hasel (honor, przyjaźń, zdrada) odmienianych przez wszystkie przypadki i tragiczne rozdarcie między miłością a lojalnością. Wszystko to lepi się w baśniową mozaikę gładko i sprawnie, ale najdroższa produkcja w dziejach hiszpańskiej kinematografii miała być czymś więcej: rękawicą rzucaną animowanej konwencji rodem z Disneya i Pixara. Zgoda, rysunkowa kreska schemat przelamuje, tyle że w dziedzinie narracji, psychologii postaci i nieodzownego w baśni przesłania dominuje standard.

Klasyczna, eksploatowana i w literaturze (Corneille!), i w kinie („El Cid” z Charltonem Hestonem i Sophią Loren) legenda XI-wiecznego rycerza tym razem wygląda zatem cokolwiek banalnie. Wymóg dziecięcej widowni? Wątpię, zwłaszcza że na ekranie króluje przemoc, chociaż bez nadmiaru krwistej czerwieni. Siedzący obok mnie w kinie pięciolatek co jakiś czas nerwowo zasłaniał oczy. A na nadwrażliwca nie wyglądał.

„EL CID – LEGENDA O MĘŻNYM RYCCERZU”, REŻ. JOSE POZO, Hiszpania 2003, Vision, premiera 16 kwietnia

PAWEŁ T. FELIS



www.MINI.com.pl



OTWARTY NA WYZWANIA



JESZCZE DWA KÓŁKA



DO BIEGU, GOTOWI, START!

WYSTAWA

100 LAT PLAKATU ROSYJSKIEGO
100 ЛЕТ РУССКОГО ПЛАКАТА



WARSZAWA
Muzeum Teatru Wielkiego

29.03 - 30.05.2004

www.interart.com.pl/wystawa

SPONSORZY:
ARCTIC PAPER
PATRONI MEDIALNI:
onet.pl
PULS KRAJU
ams
gazeta
TOK
CITY
TRIP
ORGANIZATORZY:
ART

„KILL BILL VOL. 2”, REŻ. QUENTIN TARANTINO, USA 2004, Monolith, premiera 23 kwietnia

CAŁA PARA W PIERSI

Taka płyta, jaka forma reklamy

Po trzech latach przerwy i ogólnym braku sukcesów komercyjnych Janet Jackson publicznie obnażyła swoją pierś. Sądząc z okładek płyt i teledysków, zanościło się na to od dawna. Ale sposób, w jaki zagrała dwa miesiące temu, był wybitny! Po pierwsze, „odślonięcia” dokonał sam Justin Timberlake. Po drugie, akcja mia-



Fot. DAVID PHILIP/AP



JANET JACKSON „DAMITA JO”, Virgin

JACEK SKOLIMOWSKI

SĄSIADKI

Pośród składanek z kobiecymi piosenkami ta jest najgrubsza, najbardziej dostojna (wypełnia ją wszak gładki i dość szlachetny pop-jazz) i wyładowana wielkimi nazwiskami wokalistek. Sąsiadkami są tu Norah Jones i Hanna Banaszak, Natalie Cole i Patricia Kaas. Doradzałbym poraktować ją raczej jako okazję do wytopienia kilku nowych nazwisk z ulubionej półki niż kupienia taniej balladowych hitów w hurtowej (2 płyty!) liczbie. Tak czy owak, ma niewątpliwie najlepszy stosunek przebojowości do ceny. A przy obecnej modzie na jazz o popowym zabarwieniu całość może zadowolić i trzy pokolenia. (BACH)

RÓŻNE WYKONAWCZYNI „RENDEZ-VOUS ON THE JAZZ BOULEVARD VOL. 2”, Universal



Fot. MACIEJ ZIENKIEWICZ/AG

Fisz jest już nie polową, tylko jedną piątą rosnącej grupy Tworzywo Sztuczne. W tle – jego obrazy

BRACIA Z TWORZYWA

Emade czarodziej i Fisz poeta – dwójka braci Waglewskich wciąż na dobrej ścieżce

Jeśli w przyszłym roku ktoś i ten materiał Tworzywa Sztuczne zgłosi do Frydryka w kategorii „album roku – muzyka klubowa”, zalecam wizytę u laryngologa. Jeszcze gorzej, gdy braciom Waglewskim na nowo wskaże pulę z etykietką „hip-hop”, zapewne skazując ich na dzielenie wspólnej kategorii z Jeden Osiem L. Choć słychać tu zarówno odwołania do hip-hopowych korzeni Fisz i Emade, jak i ich aktualne fascynacje klubową elektroniką, a nawet nowy jazz, jako całość „Wielki Ciężki Słoń” nie daje się podporządkować żadnemu z tych gatunków.

Nie powinni być zaskoczeni ci, którzy ostatnimi czasy słyszeli Tworzywo Sztuczne na żywo. Na koncertach bowiem studyjny duet Waglewskich przeobraził się w twórczy kolektyw gotowy odważnie eksperymentować, a nowych środków wyrazu poszukiwać daleko poza ramami hip-hopu. I tak pierwsze dwa albumy Fisz firmował jako solista z Emade w roli ukrytego w jego cieniu producenta. Znakomita płyta „F3” sprzed półtora roku powstała pod szyldem Fisz i Emade jako Tworzywo Sztuczne. Dziś mamy już tylko Tworzywo Sztuczne – regularną grupę, w której równie dużo do powie-

dzenia co bracia mają gitarzysta Jurek Zagórski, basista i klawiszowiec Stasz Starship oraz trębacz Dominik Trębski.

Myli się ten, kto myśli, że Emade w pełni zrealizował się na swoim niedawnym „Albumie producenckim”. Ta płyta to kolejny kolejny dowód producenckiej wyobraźni młodszego z Waglewskich. A w tekstach Fisz bierze definitywny rozbrat z hip-hopową sceną. Słuchając, jak deklamuje: „Jestem niedomyty glon, jestem defekt, czeski film”, żegnamy Fisz rapera, by z radością powitać poetę pełną gębą – nierzadko surrealistycznego, ideowo coraz bliższego własnemu ojcu, liderowi Voo Voo.

Tworzywo raczej nie pojawi się teraz na jednej scenie z kolegami z hip-hopowej braci, nawet tymi najbardziej alternatywnymi. Prędzej zobaczymy ich w towarzystwie Mikołaja Tizaski, Wójtki Mazolewskiego czy Bunia, z którymi zresztą przyszło im już nagrywać jako Bassisters Orchestra. Czyżby dziś wiatr w żagle zapomnianej nieco trójmiejskiej sceny yassowej miał zawiąć od strony Warszawy? Być może, ale następnym razem Waglewscy i tak wymyślą coś nowego.

BARTEK WINCZEWSKI



Tworzywo Sztuczne „Wielki Ciężki Słoń”, Asfalt

KSIĄŻĘ ZNÓW RZĄDZI

Po 20 latach od klasycznej płyty „Purple Rain” świat jest starszy – ale nie Prince



PRINCE „MUSICOLOGY”, Columbia

Można nie lubić tego 46-letniego dziś stylizowanego mężczyzny o wysokim głosie, który połączył czarny soul i funk z białym rockiem. Ale pełne lekkości, wręcz ażurowe nagrania Prince’a to jeden z fenomenów świata muzyki – starzeją się wolniej niż cokolwiek innego. Przez ostatnie lata był wielkim nieobecny – problemy zaczęły się, gdy zamiast na muzyce skoncentrował się na swoim wizerunku i pseudonimie.

Od 1993 roku występował jako „symbol” – bezimienny muzyk opisywany tylko znakiem graficznym. Potem kazał na siebie mówić „Artysta Znany Wcześniej Jako Prince”. Dziś można odrząbić tryumfalny powrót jego pierwotnego pseudonimu – Prince zaakcentował ten moment występem u boku Beyoncé na rozdaniu nagród Grammy i świetną płytą „Musicology”. Ta ma fragmenty godne najlepszych momentów w jego karierze, jak ballada „A Million Days” czy przypominający lata 80. „Cinnamon Girl”.

Właśnie w latach 80. na porządku dziennym było opisywanie twórczości Prince’a ja-



Fot. SONY

ko „muzyki przyszłości”, nowego języka muzyki w dużej mierze opartego na brzmieniu i produkcji. I ciekawie jest w 2004 roku stwierdzić, że to była święta prawda. Dziś Prince w sam raz pasuje do otaczającej go konkurencji, a przecież nie zmienił się jakoś szczególnie od tamtej pory – po prostu konkurencja go dogoniła. Wszystko wróciło na swoje miejsce.

BARTEK CHACIŃSKI

SKAZANI NA RADIO

Dziesięć radiowych hitów na jednej płycie!



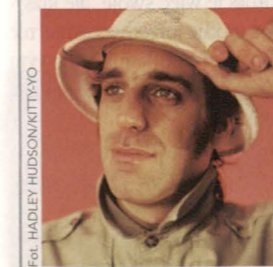
Fot. POLSKIE RADIO

Uwaga, grupa eM jest skazana na sukces. Najpierw zwycięstwo w konkursie dla młodych zespołów w radiowej Trójce, potem wspólne (i udane!) koncertowanie na polskiej części trasy Myslovitz, entuzjastyczne teksty w prasie. O wydanym właśnie albumie „Kilka wyjść” już można powiedzieć, że to jeden z faworytów muzycznych podsumowań, które czekają nas pod koniec roku. Deklarowany „alternatywny gitarowy pop” w wykonaniu eM oznacza, że muzycy wsłuchują się w modnych nowojorkczyków, w szczególności Interpol, a czasami w jeszcze modniejszych The Strokes. Od pierwszych eM wypożyczyło brzmienie, od drugich – skłonność do przebojowych i bezpretensjonalnych melodii. Wszystko wskazuje na to, że piosenki z „Kilku wyjść” staną się radiowymi hitami.

RAFAŁ MADAJCZAK

eM „KILKA WYJŚĆ”, Polskie Radio

WIELKI GONZO



Fot. HADLEY HUDSON/KITTYO

Gonzales to obok Peaches i Taylora Savvy jeden z grona kanadyjskich artystów, którzy przybyli do Berlina na początku lat 90. W krótkim czasie stał się sztandarową postacią niemieckiego undergroundu. Jest prawdziwym showmanem i kompletnym egocentrykiem i mitomanem – regularnie opowiada prasie wyjątkowo wymyślne historie na swój temat, choćby taką, że jest posiadaczem trzech jąderek. Uważa się za „rapującego Woody’ego Allena” i odżegnuje od porównań z ulicznym rapem i jego przesłaniem. I też hiphopowcy nie chadzają na jego występy, co nie dziwi, bo Kanadyjczyk co prawda porusza się na obrzeżach hip-hopowej stylizacji, ale też wirtuozersko grywa na fortepianie. Wariacje muzyczne i prześmiewczo-impresyjne teksty to specjalność Gonza. Ostatnio wyprowadził się z Berlina do Paryża, co może oznaczać zmianę muzycznych zainteresowań. Na ostatnim Slamdance Festival we Wrocławiu można było obejrzeć polski film dokumentalny o tym artyście: „Gonzales über alles”. Powtórka projekcji – podczas zbliżającego się warszawskiego koncertu Gonzalesa. (DOM)

GONZALES, 24.04 WARSZAWA, CDQ



JESTEŚ PORUSZONY?



DO BIEGU, GOTOWI, START!



OTWARTY NA WYZWANIA



www.MINI.com.pl

- zrób zdjęcie 1 maja
- masz tylko 24 godziny
- w projekcie biorą udział wszystkie państwa wchodzące do Unii Europejskiej
- akcja jest otwarta - każdy może nadesłać zdjęcie

- wszystkie zdjęcia przedstawiać będą zapis jednego dnia - 1.05.2004

- rezultatem projektu będzie wystawa zbiorowa oraz album fotograficzny

- więcej informacji na stronie internetowej www.fotofestival.com



Roma Gąsiorowska i Piotr Głowacki w czasie teatralnej spowiedzi

... CIEKAWOŚĆ ROZGRZESZA ZBRODNIĘ

Grzegorz Jarzyna bawi się nami, mówiąc: jest wina, ale kary nie będzie

„BASH” NEILA LABUTE’A, REŻ. _ (GRZEGORZ JARZYNA), Teatr Rozmaitości – Tereń Warszawa

Od jakiegoś czasu dyrektor Jarzyna gania mnie po całej Warszawie i zmusza do oglądania swoich spektakli wszędzie, byle nie w teatrze. Tym razem w budynku dawnej drukarni „Życia Warszawy” na Marszałkowskiej. Obchodzę ostrożnie głęboką na dwa piętra wyrwę w podłodze, która dzieli scenę od zaimprovizowanej widowni, przytulam się do zakurzonej ściany i czekam, co z tego wyniknie.

W „Bashu” (*bash* oznacza przypadkowe uderzenie) wychodzi się z podobnego założenia co w jednej ze scen „Idioty” Dostojewskiego, kiedy to Nastazja Filipowna proponuje swoim gościom *petit*

jeu (pti że), małą salonową grę. Niech po kolei opowiedzą o największym grzechu, jaki popełnili w życiu. Tam zabawa nie udaje się najlepiej, bo wszyscy od razu usprawiedliwiają się i rozgrzeszają. Tu przeciwnie, nikt się już nie certoli. Cóż za wstyd przyznać się do winy? Przecież ludzie chcą zobaczyć siedzącą w nas świnie. Jarzyna przedstawia trzy ludzkie spowiedzi w konwencji telewizyjnego programu à la „Wybacz mi” albo „Urzekła mnie twoja historia”. Na postawionej tuż nad przepaścią czerwonej kanapie zasiadają: zagrożony wylaniem z pracy młody japiszon, który nie zapobiegł śmierci

własnego dziecka, bo wykalkulował sobie, że jak mu będą współczuć, to nikt go nie zwolni. Para naręczonych opowiadająca o zabójstwie dokonanym przez chłopaka w męskiej toalecie. Wreszcie współczesna Medea, która zabiła syna, karząc jego ojca za wykręcenie się od odpowiedzialności za nią i za niego. Pokazuje świat wytrącony z równowagi przez zbrodnię, Jarzyna bawi się nami, mówiąc: jest wina, ale kary nie będzie. Bo ty, widzu, swoją ciekawością rozgrzeszasz zbrodnię. Sprawiasz, że wszystko jest tylko na pokaz.

Niestety, „Bash” Jarzyny nie jest równie głęboki jak wzmiankowana wyżej wyrwa w podłodze. Wielkiego teatru z dramatu LaBute’a nie będzie. Gdy mijają pierwszą fascynacja światem, w jaki wprowadził nas reżyser, zaczynamy łapać tekst za uszami banału. Tu coś szeleści, tam też papier. Zwykła rzecz – w drukarni.

Rozmaitości w tym sezonie szukają świeżych tekstów, nowych tematów i bohaterów. Także nowej przestrzeni i aktorstwa. Co do dwóch ostatnich punktów – zgoda. Nikt za was tej roboty, chłopaki, nie wykona. Róbcie więc swoje, ale klasyki w świeżym grobie przedwcześnie nie zakopujcie, bo z jej spotkania z nowym aktorem i nową przestrzenią wyniknąć może wiele dobrego.

ŁUKASZ DREWNIAK

PS Jedna gwiazdka za podły uśmiech aktora Kosińskiego w finale jego monologu, druga za wrażliwość na dźwięk Danuty Stenki, trzecia za dyskretną sceniczną obecność Romy Gąsiorowskiej, która gra i wygląda tak, że ciarki chodzą po plecach.

... JASKÓŁCZY NIEPOKÓJ

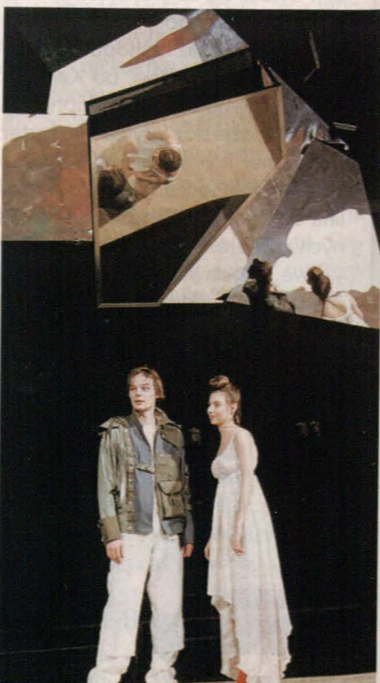
Udatna etiuda na dwóch Kordianów i kilka rozczarowań

„KORDIAN, CZYLI PANOPTIKUM STRACHÓW PÓLSKICH” WEDŁUG JULIUSZA SŁOWACKIEGO, ADAPTACJA I REŻYSERIA ADAM SROKA, SCENOGRAFIA JOANNA PIELAT-RUSINKIEWICZ, Teatr Powszechny imienia Kochanowskiego w Radomiu

Przed siedmiu laty w Opolu spektaklem „Dziady albo Młodzi czarodzieje” Adam Sroka podjął wyzwanie tkwiące w słynnej tezie Marii Janion o końcu paradygmatu romantycznego w polskiej kulturze. Spróbował odkleić Mickiewicza od szkolnych nawyków. Najnowsza realizacja – tym razem drugiego najsłynniejszego dramatu romantycznego – jest kontynuacją tamtych prób. Nie ma tu Cara czy Wielkiego Księcia, a niechętny wolnościowym aspiracjom papież jest tylko konturem z mgły – jak wiele zjaw z przeszłości. Tematem jest „jaskółczy niepokój” Kordiana i jego niepewne wchodzenie w świat znaczone kolejnymi rozczarowaniami: do kobiet, autorytetów, życia publicznego. Obok młodego Kor-

diana (Andrzej Rosmus z krakowskiej PWST) na scenie jest Kordian w sile wieku, jeszcze nie stary, ale już nie naiwny (dobra rola Jarosława Rabendy). Niektóre partie tekstu aktorzy mówią unisono, jak jedna istota, a po chwili ich myśli rozchodzą się do tego stopnia, że stary Kordian przejmuje kwestie sarkastycznego Doktora-Szatana ze szpitala wariatów. Spektakl utrzymany w lubianej przez Srokę manierze teatru perypatetycznego (widownia wędruje za aktorami po teatrze) trudno, rzecz jasna, traktować jako pełną, skończoną interpretację Słowackiego. To raczej impresja czy etiuda, ale idąca w kierunku kwestii najwyższych dziś w kanonicznym dziele naszego romantyzmu.

JACEK SIERADZKI



FOT. MARIAN STRUDZIŃSKI/TEATR POWSZECHNY W RADOMIU

wystawy

FIZIA WIDEOARTYSTKA

Do warszawskiego Zamku Ujazdowskiego zjeżdża Pipilotti Rist, królowa sztuki wideo. Wielka frajda gwarantowana

Od kilku lat nazwisko Szwajcarki Pipilotti Rist krąży po najwyższych szczeblach artystycznej hierarchii. Jest gwiazdą wielkich biennale i czołowych muzeów. W naszej części Europy jeszcze tych słynnych wideoinstalacji nie pokazywano. Zadebiutują 26 kwietnia w salach warszawskiego Centrum Sztuki Współczesnej. Milada Śliżińska, kuratorka wystawy, promienieje. Wyciąga wielki segregator z nazwiskiem Pipilotti Rist na grzbiecie. – Proszę zobaczyć, sprowadzenie tej wystawy do Polski zajęło sześć lat – mówi. – Ale dlaczego Rist jest dziś taką gwiazdą? – pytam prowokująco. – Bo jest cudowna! – odpowiada bez wahania Śliżińska. I trudno się z nią nie zgodzić.

Cudowność nie jest stanem rzeczy łatwym do zdefiniowania. Naj-

strump, znana też jako Fizia Pończoszanka. Szwajcarska artystka nie przypadkiem nosi jej imię. Urodziła się w 1962 roku jako Charlotte, w dzieciństwie zwano ją Lotti. Przed to zdrobienie artystka dodała imię szwedzkiej anarchofeministki i tak powstała Pipilotti Rist.

Zanim zorientowała się, że kamera wideo jest najprostszym sposobem wyrażania pomysłów, grywała w zespołach rockowych, robiła im scenografię do koncertów. Realizowała teledyski. Kto panicznie boi się pojęć typu „sztuka wideo”, niech potraktuje to, co robi Pipilotti, właśnie jako teledysk. Ona sama nie widzi nic złego w mieszanii kultury pop i „sztuki wysokiej”. Sama robi to nagminnie. Na przykład w instalacji „Sip My Ocean”, pięknym śnie o podwodnym świecie, słyszymy Pipilotti, jak

nuci „Wicked Game” – rewny przebój Chrisa Isaaca. Aż dreszcz przechodzi, gdy się pomyśli, czym mogłyby być teledyski, gdyby nie powstały dla żadnego szybkiego zysków show-biznesu. Aż dreszcz przechodzi na myśl, że można wyjść z zaczarowanych przez Pipilotti sal Zamku Ujazdowskiego, pożyczyc kamerę i zabawić się z własną wyobraźnią.

A o co poza zabawą z wyobraźnią chodzi Pipilotti Rist? Przecież to trzeba wyjaśnić, pisząc o sztuce. Proszę bardzo. Rist w swych instalacjach mówi o kondycji ludzkiej przełomu wieków, miłości i samotności, seksualności, o byciu kobietą. O wyzwolicielskiej sile sztuki. O tym, jak tę siłę zdetonować. I o tym, że ludzka kreatywność jest nieskończona. Nawet wtedy, kiedy wszyscy myślą, że sztuka już się skończyła.

MARCEL ANDINO VELEZ

PIPILOTTI RIST, WIDEOINSTALACJE, 27.04–13.06 Warszawa, CSW, Zamek Ujazdowski



ODWROTNOŚĆ NUDY



FOT. LEGNICKA GALERIA SZTUKI

A JAK ANNA, CZYLI KANTOR RYSOWNIK

Pierwszy raz można zobaczyć tak dużą kolekcję rysunków Tadeusza Kantora

Kolekcja rysunków skompletowana osobiście przez Kantora została po raz pierwszy zaprezentowana publicznie w Legnickiej Galerii Sztuki. Na wystawie „Kolekcja A” znalazły się prace z okresu studiów Kantora w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, pejzaże z czasów wojny, szkice teatralne, projekty dla Teatru Cricot 2 i cykle malarskie „Chłopcy z gazetami” i „Wędrowcy”.

Kantor tworzył rysunki przez całe życie i przywiązywał do tej kolekcji niezwykłą wagę. Chciał uniknąć rozproszenia jej w prywatnych kolekcjach i muzeach na świecie. Wybrał więc 289 rysunków wykonanych różnymi technikami, osobiście je posegregował i ułożył w cykle odpowiadające kolejnym etapom twórczości. Dzięki temu kolekcja stała się swoistym dziennikiem – pozwala poznać artystę jako ucznia, dojrzewającego młodzieńca, wreszcie mężczyznę w sile wieku. Przekazując w 1987 roku pisemnie swoje prace Annie Halczak, ówczesnej szefowej Cricoteki, Kantor znacznie ograniczył możliwości ich prezentowania. Chciał, by stała galeria stworzona w jego krakowskiej pracowni.

– Na legnickiej wystawie zostało zaprezentowanych około stu rysunków, czyli jedna trzecia całego zbioru. To pierwsza tak duża ekspozycja tej kolekcji – powiedziała Anna Halczak, opiekunka wystawy, która będzie wkrótce prezentowana w Jeleniej Górze i Warszawie.

ARTUR GUZICKI

„KOLEKCJA A”, Legnicka Galeria Sztuki, wystawa czynna do 25 kwietnia



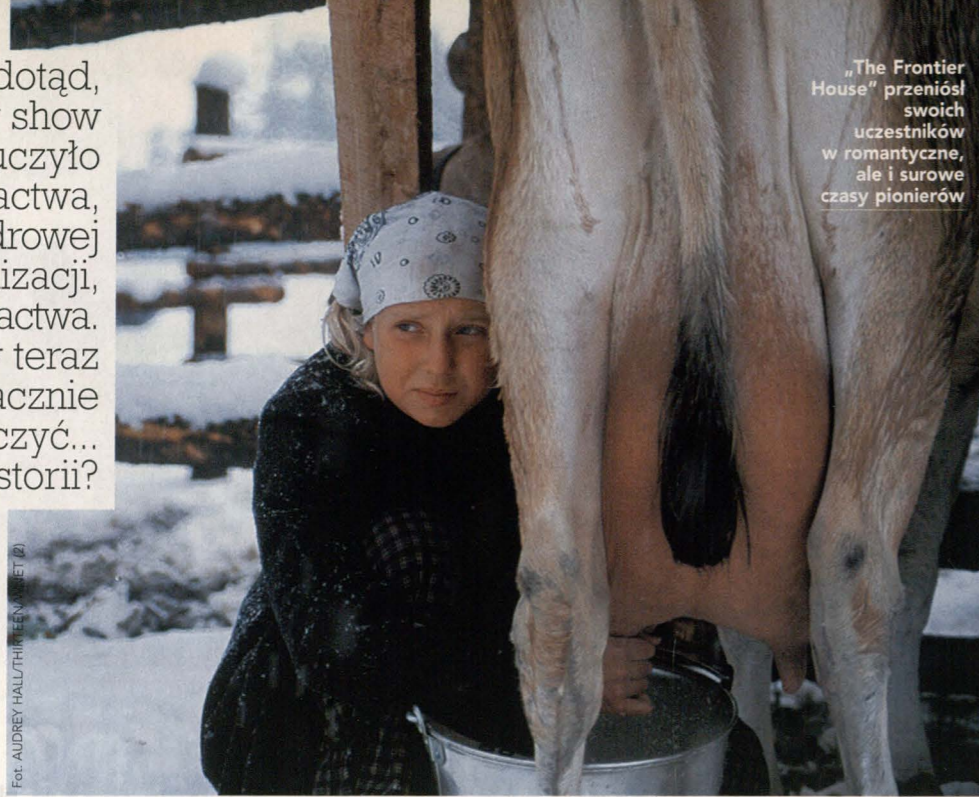
Kto boi się sztuki wideo, może potraktować prace Rist jak teledyski

łatwiej to zrobić poprzez przykład. Zatem – cudowna jest kobieta idąca chodnikiem, w błękitnej sukience i czerwonych pantoflach. Cudownie jest patrzeć, jak uśmiecha się i wielkim metalowym kwiatem rozwała szyby zaparkowanych wzdłuż chodnika samochodów. Pomieszenie słabości i siły, piękna i gwałtownego chaosu – wideo „Ever Is Over All”, jedno z czterech, które będzie można obejrzyć w Warszawie, jest wizualną ucztą na cześć wolności. Taką ucztę mogłaby wydać Pippi Lang-



www.MINI.com.pl

Jak dotąd, reality show uczyło cwaniactwa, niezdrowej rywalizacji, podglądactwa. Czy teraz zaczniesz uczyć... historii?



For: AUDREY HALUTHIEN (NET) (2)

„The Frontier House” przeniósł swoich uczestników w romantyczne, ale i surowe czasy pionierów



For: MICHAŁ SIAW MICHALAK (2)



Do zamku w Grodźcu już w maju wprowadzą się Szwedzi

SHOW W RUINIE

Wójt gminy Zagrodno Waldemar Matoliniec zaciera ręce z radości. Szwedzi objechali aż osiem państw Europy Wschodniej i nie dość, że wybrali Polskę, to jeszcze wybrali zamek leżący na terenie jego gminy. Już w najbliższy poniedziałek (26 kwietnia) ekipa szwedzkiej telewizji SVT rozpocznie w średniowiecznym zamczysku w Grodźcu (województwo dolnośląskie) przygotowania do realizacji reality show „Riket” („Królestwo”). Na 50 dni zostanie tu zamkniętych i przeniesionych w realia średniowiecza 15 uczestników. Będą hodować zwierzęta, uprawiać ziemię i walczyć o władzę. – Podpisaliśmy kontrakt na trzy lata, bo Szwedzi planują kilka edycji programu – tłumaczy wójt Matoliniec. Oznacza to, że przez trzy miesiące w roku zamek zamknięty będzie dla zwiedzających, ale wójt liczy, że i tak turystów przybędzie (zwłaszcza ze Szwecji), a co więcej, już planuje, że dekoracje po reality zostaną. Poza tym Szwedzi sfinansują remont Grodźca. – Już teraz dla potrzeb programu zrobią podłogę i kominek w Sali Książęcej – opowiada. Szwedzi będą mogli zobaczyć „Riket” dopiero w listopadzie, ale już wiadomo, że to jedno z największych przedsięwzięć telewizyjnych w Szwecji w tym roku i pierwsze w Szwecji reality show zupełnie nowego typu – „historical reality”.

Nie oddychać!

„178 dni bez bez papieru toaletowego, 4272 godziny bez elektryczności, 256 320 mi-

nut bez komputera i 15 379 200 sekund bez telewizji” – całkowite odcięcie uczestników od cywilizacji było atrakcją amerykańskiego „The Frontier House” (PBS).

Kilka rodzin umieszczono w owianej romantycznym mitem epoce pionierów, a telewizzowie z zapartym tchem i, jak się później okazało, z nieukrywaną zazdrością (!) śledzili ich zmagania z surową przyrodą, budowę domów, łowienie ryb w strumieniu, hodowlę warzyw.

Już wkrótce podobną przygodę będą mogli przeżyć uczestnicy „The Colony”, którzy cofną się o 200 lat i wylądują na wybrzeżu Australii, rozpoczynając walkę o przetrwanie. Projekt realizują wspólnie telewizje brytyjska i australijska. Bo to właśnie Brytyjczycy są mistrzami w wymyślaniu historical reality, a konkretnie telewizyjna producentka Caroline Ross Pirie. To ona wpadła na pomysł, jak ożywić przeżywający kryzys gatunek reality show.

Zasady nowego formatu są proste: wybrać epokę, znaleźć odizolowany dom, w którym wiernie odtworzy się wnętrza, wybrać grupę ochotników, rozdać im role oraz odpowiednią listę nakazów i zakazów obowiązujących w danym historycznym momencie, włączyć kamery... i obserwować, co się będzie działo. W Wielkiej Brytanii, gdzie wciąż żywe jest przywiązanie do tradycji i historii, a ślady społeczeństwa klasowym jeszcze się nie zabiły, ten typ programów był strzałem w dziesiątkę. I tak w 2001 roku jako jeden z pierwszych powstał „1940’s House”, w którym współczesna rodzina na osiem tygodni prze-

niosła się w lata 40., żyjąc się wojennymi rancjami i chowając w schronie przed nalotami.

Wielki Brat w czepkach

Dwa lata temu na zlecenie Channel 4 powstał „The Eduardian Country House”. Tym razem inną rodzinę – typowych przedstawicieli klasy średniej – cofnięto wraz ze „służbą”, czyli indywidualnymi uczestnikami programu, do początków XX wieku. Służba zamieszkiwała niższą kondygnację domu, przez 15 godzin dziennie sprząając, gotując, robiąc zakupy, usługując, a „państwo” na wyższych piętrach urządzało bale i przyjęcia, wydając polecenia i pokrzykując na podwładnych. Co sobotę o 20 niemal trzy miliony Brytyjczyków siadało przed telewizorami, żeby śledzić intrygi, kłótnie i niedozwolone romanse. A następnego dnia kraj dzielił się na obrońców „służby” i na zwolenników „państwa”, co zazwyczaj pokrywało się z politycznymi poglądami dyskutantów.

Wkrótce potem Pirie wymyśliła „The Regency House”, o którym ironicznie mówiło się „Wielki Brat w czepkach”. Szczęść kobiet i szczęściu mężczyzn wraz ze służbą, panem i panią domu oraz przyzwoitkami przebrano w kostiumy i na okres dziewięciu tygodni zamknięto w posiadłości rodem z powieści Jane Austen. Producenci zaznaczyli, że zależy im na podkreśleniu „romantycznego” charakteru programu, czyli relacji między kobietami i mężczyznami. A były to czasy, gdy kobiecie nie było wolno poruszać się samej, przerywać mężczyźnie, mawiać się, pokazywać zębów w uśmiechu, pa-

lić, oddychać zbyt głośno, okazywać emocji, uprawiać sportu. Jedynymi dozwolonymi zajęciami były: spacer po korytarzu i oglądanie portretów przodków, robótka ręczna, lekcje pianoli i śpiewu (po to, żeby zabawiać mężczyzn), pisanie listów. W tym samym czasie mężczyźni uczyli się strzelać i fechtować, jeździli na polowania i oddawali się rozmaitym uciechom suto zakrapianym winem.

Uczy czy bawi?

Czy „historyczne reality” to wciąż tylko rozrywka, czy może już edukacja? Emisja „The Eduardian Country House” pokazała, że ten program był raczej eksperymentem psychologicznym niż lekcją historii. Bo mimo sztucznej scenarii i odgrywanych ról pojawiły się prawdziwe uczucia niesprawiedliwości i zawiści z jednej strony (służba) oraz wyższości i pogardy z drugiej (państwo). W ostatnim odcinku producenci postanowili rozładować rosnącą nienawiść, organizując bal dla służących. Wszystko zakończyło się potworną awanturą, a po emisji programu uczestnicy jeszcze długo szkalowali się wzajemnie na łamach gazet.

Z drugiej strony widzowie, poznając realia kolejnych epok, faktycznie mają szansę poznać własną historię i kulturę. I tak „The Regency House” w namacalny sposób uświadomił, ile – na szczęście – zmieniło się w kwestii praw kobiet przez ostatnie 200 lat.

Edukacja podszyta tylko rozrywką jest celem pracujących w Polsce Szwedów (w końcu „Riket” realizuje publiczna telewizja). – Im więcej ról społecznych człowiek przeżyje, tym jest bogatszy – tłumaczy historyk, profesor Andrzej Paczkowski. Profesor nie przepada za gatunkiem reality show, ale chętnie obejrzałby dobrze zrobiony program, w którym „byłoby więcej reality, a mniej show” i który nie „przekraczałby granic dobrego smaku”. Można założyć, że taki program na pewno zainteresowałby Polaków, bo bardzo lubimy bawić się w odtwarzanie historycznych wydarzeń. – Mamy tumienie rycerskie, rekonstrukcję bitwy pod Grunwaldem, a ostatnio słyszałem, że w rocznicę bitwy nad Bzurą kilkanaście osób przebiera się i bawi w zdobywanie mostu – zwraca uwagę profesor Paczkowski.

Na razie żadna z polskich telewizji nie jest (albo się do tego nie przyznaje) zainteresowana historycznymi reality. Tymczasem profesor Paczkowski ma w zanadrzu całą listę ciekawych momentów w polskiej historii, które mogłyby stanowić tło dla podobnego programu: dwór Zygmunta Starego, czasy przewrotu majowego, powstanie warszawskie, wreszcie stan wojenny... Takie reality, którego uczestników podzielono by na opozycjonistów chyłkiem produkujących bibułę i aparat bezpieczeństwa, mogłoby na nowo rozgrzać emocje Polaków. Pomysł kontrowersyjny? – Kontrowersje są potrzebne, żeby budzić dyskusję, a przecież czasem trzeba się pokłócić! – mówi profesor.

Może więc szkoda, że nasza własna pasjonująca historia na razie służy wyłącznie jako dekoracja?

AGNIESZKA JUCEWICZ, MASA

FILM WE FRANCJI OBEJRZAŁO PRAWIE 4 MILIONY WIDZÓW



Kociak

FILM INNY NIŻ WSZYSTKIE
W KINACH OD 23 KWIECZNIA



DO BIEGU, GOTOWI, START!



JESTEŚ PORUSZONY?



www.mini.com.pl

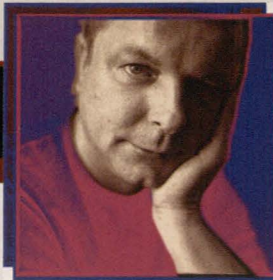
„Uwielbiam Kociaka, zarówno film jak i postać – za poczucie humoru, cudownie chaotyczne wypowiedzi, przebrania. Ale przede wszystkim za ogromną dawkę czułości i aktorstwo – nie do podrobienia!”
Monsieur Cinéma

„Połączenie dobrej świetnej zabawy z dużymi emocjami!”
Télé Ciné Obs

„Sukces filmu to sukces Gada Elmaleha: wszystkie sceny z jego udziałem przepelnione są czarem, gracją i wielkim talentem aktorskim.”
Le Figaro

„Dużo śmiechu w komedii pełnej smacznych dialogów. Świetne aktorstwo.”
Le Parisien

KULINARNE
PIÓRO
POLSKI



TADEUSZ PIÓRO

Rozważania europejskie

Rozszerzeniu Unii Europejskiej towarzyszyć ma mnóstwo imprez artystycznych celebryjących kulturową różnorodność kontynentu, lecz niewiele słyhać o pokrewnych im wydarzeniach kulinarnych. Dlatego postanowiłem akcesję uczcić w sposób prywatny, domowy i skromny, podając najlepsze potrawy, jakich udało mi się skosztować w różnych krajach Europy. Najlepsze, czyli takie, które przyrządzono w sposób zjawiskowy i których smak pamiętam wyraźnie nawet po 20 latach. Sporządziłem zatem spis tych potraw, żeby wybrać spośród nich takie, jakie bez zbyteńnego trudu mógłbym zrekonstruować. Zanim opowiem, co się dalej działo, przedstawiam spis.

Szczupak pieczony w sosie chrzanowym (Berlin); lasagne z sosem pesto (okolice Genui); sałata z wędzonym jesiotrem i turbot w sosie szampańskim (Rheims); wołowina po burgundzku (okolice Irancy); ragout z samy (Wiedeń); cielęcina w sosie tuńczykowym (Londyn); mule gotowane na parze (Dublin); bażant pieczony (okolice Balamonu); szparagi pieczone na ruszcie z sosem romesco (Barcelona); polędwica wołowa z rusztu z borowikami i porów (Warszawa); zupa z ziemniaków i porów z olejem z pestek dyni (Moguncja); zupa rybna (Marsylia).

Muszę zaznaczyć, że brałem pod uwagę wyłącznie dania europejskie, i to bez rejonizacji – stąd włoskie vitello tonnato w Londynie.

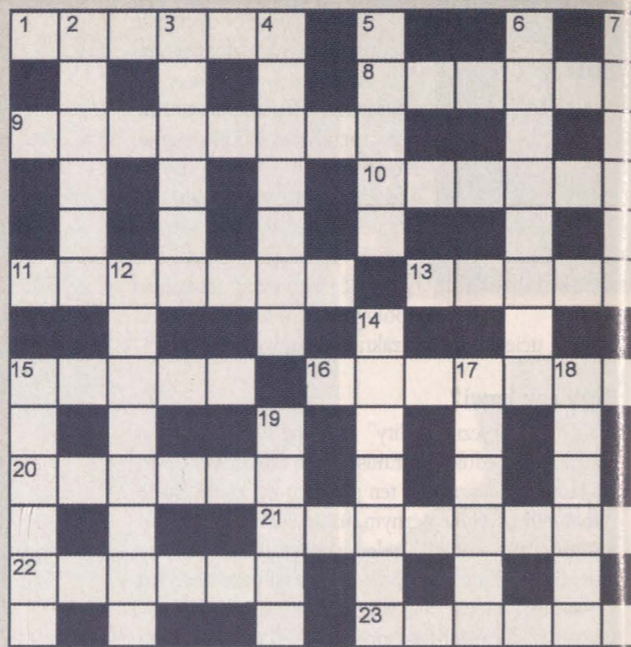
Jak widać, lista nie jest długa – dania zjawiskowe pamięta się tak dobrze, bo są rzadkością. Sporządzenie jej sprawiło mi wielką przyjemność, która jednak zmieniła się w nerwowe zakłopotanie, kiedy przeszedłem do wyboru konkretnych dań na akcesyjną kolację. Czy w kwiet-

niu dostanę świeżego szczupaka? Albo turbota? Albo mule? W Warszawie raczej nie dostanę, bo w miejskich stawach oraz rzece Wiśle żyją wprawdzie ryby i skorupiaki, lecz inne i nie wiadomo, czy jadalne. (Wiem, że w stawach w Łazienkach roi się od ryb – podobno smacznych – lecz nie jestem kłusownikiem). Sama będzie mrożona, podobnie jak bażant – a warunkiem koniecznym do powstania potrawy zjawiskowej jest najwyższa jakość i świeżość składników, co wyklucza posługiwanie się mrożoną rybą czy zwierzyną. Turbot złowiony w Atlantyku zbyt długo będzie podróżował, by mógł do mojej kuchni trafić odpowiednio świeży. Szkoda czasu na mrożone borowiki. Cóż pozostaje?

Lasagne, sałata z wędzonym jesiotrem, zupa z ziemniaków i porów, wołowina po burgundzku, cielęcina w sosie tuńczykowym, polędwica wołowa z rusztu (bez borowików) i – być może – szparagi z sosem romesco. Ewentualnie zupa rybna. Czyli pomieszanie z poplątaniem, Europa pokrojona tęnym nożem i rzucona na talerz. Lecz z tego mizmaszu można wyłonić dwa jadalospisy. Pierwszy to: szparagi, sałata z wędzoną rybą, zupa z ziemniaków i porów, wołowina po burgundzku, drugi zaś – lasagne, vitello tonnato, zupa rybna, polędwica wołowa. Jeżeli szparagi okażą się nie do zdobycia, a zupa rybna – niewykonalna, i tak zostanie przyzwoite menu z trzech dań, nie licząc deseru, o którym sporządzając listę, zapomniałem. Nie będzie tu jednak problemu, bo zjawiskowy deser jadłem tylko jeden – suflet z Grand Marnier (Paryż). O szczególnych technicznych – za tydzień. ■

www.przekroj.pl/pioro

KRZYŻÓWKA nr 17



POZIOMO:

- 1. MIZERNIE KOŃCZY
- 8. CHEĆ DO ZAOSTRZENIA
- 9. HONOR ZA GÓRĄ
- 10. DOKOŁA STAWU I STAW
- 11. RAZI CICHU
- 13. JEDZENIE, NA JEDZENIE
- 15. ZWIĄZANY Z RADIEM
- 16. SPOSÓB KORZYSTANIA Z HAKA

20. PO WYROSTKU

- 21. WÓDZ W CUKIERNI
- 22. CZŁOWIEK Z MARMURU
- 23. CZŁOWIEK Z WYSPI

PIONOWO:

- 2. WĘGIEL W PIÓRNIKU
- 3. PRZED TAK JEST
- 4. STOŁEK Z PLECAMI

5. JEST TYLKO JEJ DWA

- 6. NIESYMPATYCZNY CZARNY
- 7. PÓŁ KARTKI
- 12. A WŁAŚNIE ŻE CAŁY!
- 14. MAŁA SZKAPA
- 15. GŁOSY CHÓREM
- 17. SPANIE ZA PIENIADZE
- 18. ANTYZAPOMI-NALSKI
- 19. W GODLE NIEKTÓRYCH REPUBLIK

Rozwiązanie krzyżówki nr 14:

Poziomo: 4. bombka 7. oliwka 8. surwus 9. technika 10. piekarz 12. Gniew 14. trupa 16. flaszka 20. szczypta 21. zakupy 22. kłuska 23. myszka

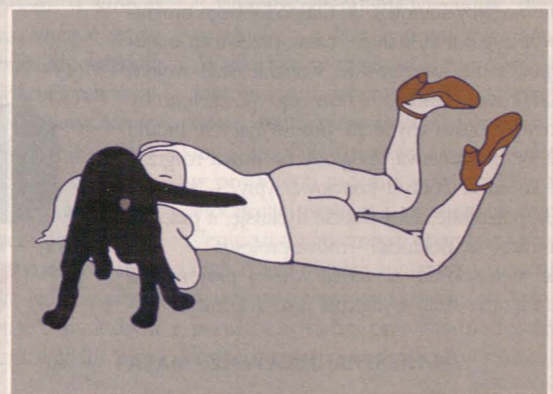
Pionowo: 1. postęp 2. cięcie 3. kariera 4. bosak 5. margines 6. klucz 11. kapelus 13. Mleczko 15. regaty 17. aparat 19. wyspa

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 12 nagrody wylosowali: Michał Benec, Wąbrzeźno; Agnieszka Cwalina, Gdańsk; Maciej Kowalski, Kartuzy; Janusz Puszał, Tamorzec; Wanda i Cezary Szadkowsy, Międzyrzecze. Gratulujemy!

Pomiędzy Czytelników, którzy do wtorku 4 maja (decyduje data stempla pocztowego) nadesłali poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy książki **Bory Cosića „Deklaracja celna”** (Czarne).

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 17 lub Krzyżówka 17

AGATA BOGACKA

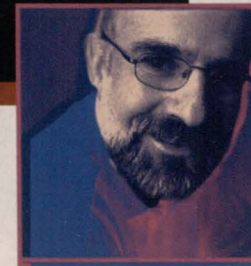


„My z psem”

WWW.BASTER.ART.PL

WINNY

BIEŃCZYK



MAREK BIEŃCZYK

Kryształ i gest

Gdyby ktoś (Monika Olejnik, Katarzyna Kolenda-Zaleska, Jolanta Pieńkowska) zapytał mnie, czym jest wino doskonałe, zwróciłbym wzrok w stronę horyzontu, westchnął elegijnie i wykonał nieokreślony gest dłonią. Widziałem to kiedyś w kinie, scena toczyła się w dylizansie, stary już Casanova (grał go Mastroianni) konwersował z towarzyskami podróży o zmysłach i ideałach, a gdy go hrabianka (grała ją Hanna Schygulla) spytała, czym jest miłość doskonała, zapatrzył się w okno, wprowadził na twarz grymas wyższości i palcem okutym w złoty sygnet zakreślił w powietrzu niejasny, drżący znak.

Do odpowiedzi na tego rodzaju pytania lepiej nadają się gesty niż opisy, milczenie niż słowa. Głęboko w pamięć zapadło mi wyznaczenie pewnego kiperka, dużej klasy znawcy, który rok temu otworzył podczas winiarskiego kursu Château Haut-Brion 1989. Pociągnął nosem, wziął łyk i zaniemówił. Doznanie było tak silne, że przepraszył swych słuchaczy, odszedł w ciemny kąt i tam, siedząc nad kieliszkiem, zaczął płakać.

Skoro nie da się słowami, pozostają gesty dłoni, ewentualnie łzy. Może też rumieńce na twarzy, mrowienie w żyłach; tam, gdzie zbywa nam mowy, zaczyna gadać ciało, które nawiązuje z doskonałością własną, niekontrolowaną przez nas rozmowę. Zawsze mi się zdawało, że doskonałość wina nie znajdzie obiektywnego wyrazu, że wyjawia ją co najwyżej nasze subiektywne drżenie. Lecz oto ujrzalem wczoraj kilka laboratoryjnych zdjęć, które zadały mi bobu. Przedstawiają one skryształizowane krople wina; składają się z kryształowych promyków, które tworzą w kroplach różne rysunki.

Technikę uzyskiwania tego rodzaju obrazków opracowano kilkanaście lat temu, wzorując się na piktoralnych analizach ludzkiej krwi. Jako pierwsza do celów reklamowych wykorzystana je niedawno Anne Leflaive w Burgundii. Bardziej zresztą ideowych niż reklamowych; białe burgundy Leflaive



Doskonały biały burgund 2000 od Anne Leflaive w wersji skryształizowanej

powstają wedle zasad biodynamiki odwołującej się do energii solarnych i kosmicznych harmonii. Są to wina istotnie wielkie, etykieta jej wina najsłynniejszego, Bâtard-Montrachet, mógłbym nosić w portfelu zamiast zdjęcia żony czy dzieci. Seria przedstawień krystalicznych struktur win, mająca pokazać „fizjologiczny stan żywej istoty”, ujawnia świetnie, czym różni się wino doskonałe od wina słabego. W tym pierwszym kryształki są długie i rozgałęziają się finezyjnie, nie zachodząc jednak na siebie; tworzą rodzaj pełnego werwy, lecz harmonijnego bukietu, delikatnego i precyzyjnego,

rysowanego jakby japońską kreską. Nie widać w nim żadnych zgrubień, zakłóceń, dominacji jednych pasm nad drugimi. W winie słabszym (lub w winie młodym, zbyt wcześniej utworzonym) struktura okazuje się chaotyczna, widać, że wino, jak pisze analityk, „nie umie zarządzać organizacją swych sił”. Wino słabemu nie już nie pomoże, dobre wino młode, kiedy łyknie już tlenu, wygładza swą krystaliczną strukturę; obrazy sporządzone kilkadziesiąt godzin po otwarciu butelki pokazują, że bałagan wśród kryształków zaczyna zanikać i wytwarza się rysunek coraz bardziej symetryczny.

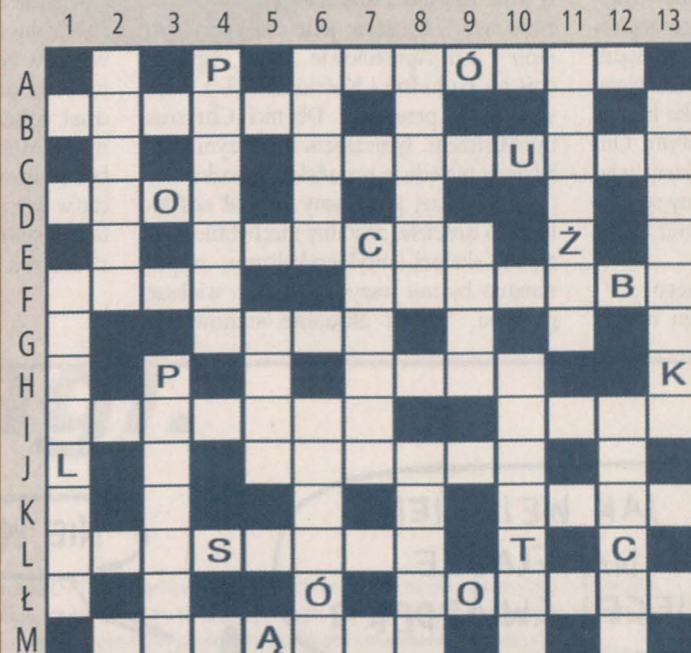
Wszystko to jest dziwne, ładne i daje do myślenia. Gdyby jednak Katarzyna Kolenda-Zaleska (Monika Olejnik, Jolanta Pieńkowska) spytała, jak smakował mi Bâtard-Montrachet od Anne Leflaive, westchnąłbym wciąż elegijnie i wykonał nieokreślony ruch dłonią. ■

www.przekroj.pl/biencyk

JOLKA nr 17

OKREŚLENIA PODANO W INNYM SZYKU NIŻ KOLEJNOŚĆ WYRAZÓW W DIAGRAMIE. PO WYPEŁNIENIU DIAGRAMU NALEŻY ROZSZYFROWAĆ NASTĘPUJĄCE HASŁO:

J12 - F9 - K10 - J3 - G6 - C11 - I5 - Ł13 - J10 - L5 - E6 - B4 - D1 - F2 - I4 - G1 / Ł11 - F11 - H10 - F1 - C7 - K6 - E4 - A2 - L6 - M3 / L3 / D8 - E9 - E13 - M6 - K3 - H7 - C4 - B11 - A6 - B1 / D13 - I13 - I3 - I11 - K11 - M10 - G4 - C8 / I1 - B3 / C9 - D6 - K12 - A8 - G5 / G13 - K1 / Ł8 - A10 - L7 - M2 - H5 - C2 - L8 / J9 - B5 - M4 - F10 - G9.



Rozwiązanie jolki nr 14: WOKÓŁ DZBANUSZKA SKRZACIK CHODZI Z HALABARDĄ (z fraszki „O naszym gospodarstwie” K.I. Galczyńskiego).

Rzędami: gekon, inicjator, Zulus, kolonista, Eurydyka, niskość, złom, lwiamia, ucho, radca, dozor, Hradczany, kitka, stokrotka, lgarz. Kolumnami: grzybek, Hoss, Mauer, kolejki, Bojko, ślinociąg, kmięć, rabat, jutrzienka, Kolumb, taniocha, brzytwa, trąba, drwa, torbac.

WYRAZY 8-LITEROWE:

- drogowszak wilka
- literek akurat na akurat
- bal z żołądkiem
- bez niego mielibyśmy jeden rodzaj wczasów mniej

WYRAZY 7-LITEROWE:

- zaczynamy bez damy!
- jeniec brydzysty
- ser, któremu bliżej do Mikołaja niż do Władysława
- cztery kąty i częstokół piąty
- stawonóg von Jungingen
- kolderka mogily
- twarżowy problem żaden problem
- owad wywiadu

WYRAZY 6-LITEROWE:

- ma wspólnego przodka z... podlotkiem
- nie rusz, Juanko, tego kwiatka

- Wielki olimpijczyk od Instytutu
- pierwsze prefabrykatory
- parkurowa sztuczka zimy
- Buzza wiózł bez muz
- ważniejszy niż jadłospis
- szansa na sukces bakalii
- ciepłe słowa w ciężkich czasach
- Stumilowa z Tygryskiem i Rosomaczkiem
- Popielowe kąpielisko
- WYRAZY 4-LITEROWE:
 - w węd okolo
 - cztery kółka z czterema kółkami
 - dekalog paczki
 - 78% wdechu
 - lks z Guerniki
 - w kartoflane bogini tęczy
 - niepokieszenie pięści
 - wszystko pionurem zalał

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 12 nagrody wylosowali: Elżbieta Beres, Sanok; Tadeusz Duloski, Chranów; Jacek Gliński, Wrocław; Alicja Głowacz, Gdańsk; Helena Sowińska, Kraków. Gratulujemy!



ZALEWAJKA

KAZIMIERZ KUTZ



Fot. BOGDAN KRZEL

Mam szansę w zaświatach

Kiedy nastają święta, związane przecież z tradycją chrześcijańską, wszystkie media unifikują się. No i wieje nudą jak w afrykańską kanikulę. Zwłaszcza dla pozeracza gazet, który oczekuje ożywczego impulsu umysłowego w świąteczne dni, przyjemności czytania niewiele. Czuje się mękę redaktorów w odwalaniu przymusowej roboty, a ta rozrasta się w lawinę wzniosłych banalów. Lepszy byłby przewlekły ból zęba. Chyba że umrze ktoś taki jak ksiądz Stanisław Musiał i ukaże się fragment jego książki (rozmowy rzeki), która nie mogła ukazać się za jego życia. („Za taką książkę mnie zniszczą... wydacie to po mojej śmierci”).

Właśnie 5 marca śmierć zniecka go zabrała i świąteczny „Tygodnik Powszechny” wydrukował fragmenty książki jezuitę z Krakowa. Dzięki Niemu – a miałem przyjemność cieszyć się jego przyjaźnią – wielkanocne dni wzmocniły mnie jego mądrością i urzekły jego odwagą cywilną. Spadł prosto z nieba jak podarunek na święta. Dzięki Niemu nie stały się li tylko bałtyckim śledziem w oleju rzepakowym. Oto dwa cytaty: „Dla mnie człowiekiem wierzącym jest każdy, kto w specjalny sposób przeżywa pytania: kim jestem?, oraz: czym jest świat?”.

Za pośrednictwem świątecznego „TP” dowiedziałem się, że od dawien dawna

mam przepustkę do nieba. A tym samym pojawiła się niespodziewana nadzieja spotkania księdza Stanisława po tamtej stronie i wyściskania go z całej mocy. Zdarza się nam ocierać o ludzi, dzięki którym mamy prawo domyślać się, że Bóg jednak istnieje. Ksiądz Stanisław Musiał był jednym z nich.

O naszym katolicyzmie ksiądz jezuita powie: „Na sytuację w polskim Kościele patrzę dosyć pesymistycznie. Jeśli materialnie duchowieństwo w dalszym ciągu będzie odstawać od społeczeństwa, to obrażam sobie taką małą rewolucję francuską. Jeśli z jednej strony będziemy mieli dużo biednych w Polsce, z drugiej tak silna będzie klasa bogatych, do której należy wielu księży (wystarczy porobić zdjęcia naszych domów, klasztorów, plebanii), to – kto wie – może dojść do jakichś aktów obrazoburczych. W roku rewolucji francuskiej 95 procent ludzi przystąpiło w Paryżu do komunii wielkanocnej. A wystarczyły dwa, trzy lata i Kościół widzialny został zmieciony”. I jeszcze jeden: „Gdyby oni, Piotr i inni Apostołowie, Paweł, oglądali dziś to, co ludzie i Kościół zrobili z Jezusem, byłiby przerażeni. Dla nich Chrystus był Mistrzem. Tymczasem my uczyniliśmy z Niego nieledwie pogańskiego bożka”.

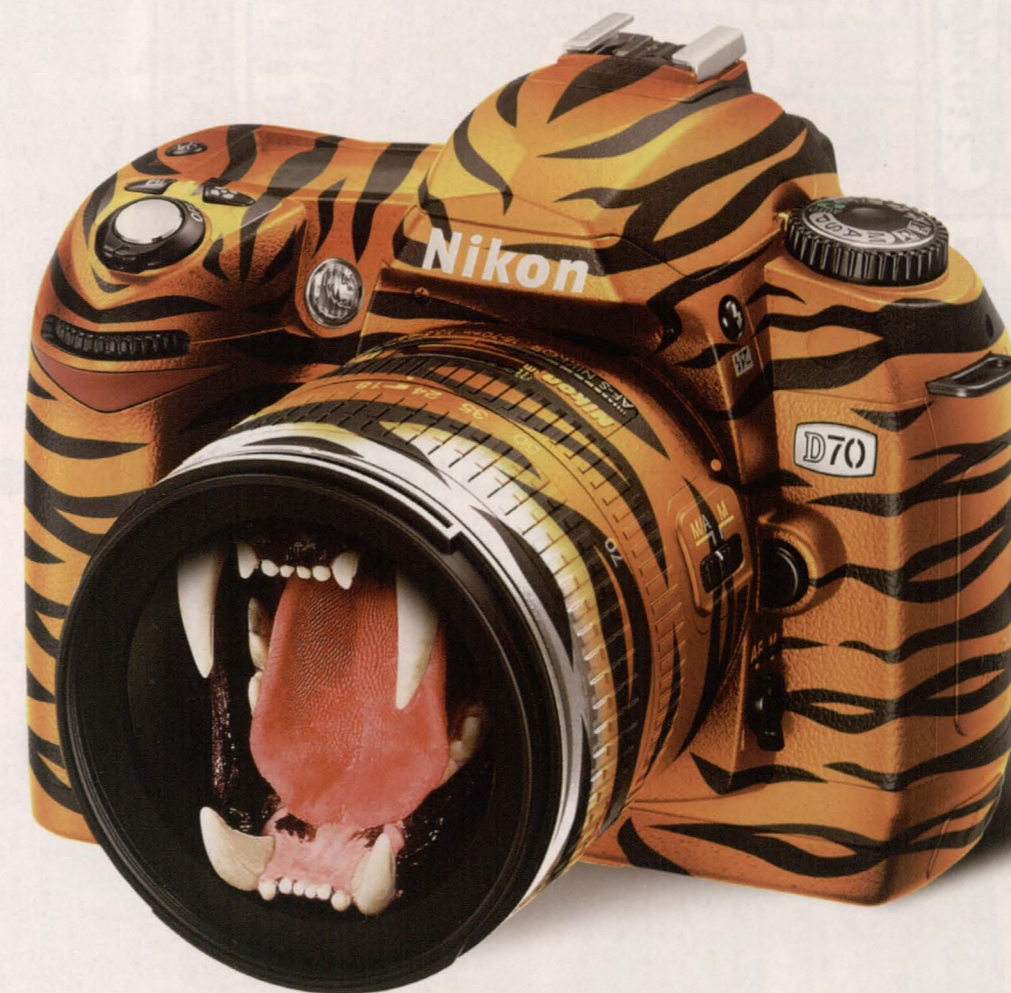
Gdyby niżej podpisany napisał coś takiego o Kościele, zostałby niechybnie wbity na skalpel antyklerykalizmu; wspomniano by mu wszystkie małe i większe grzeszki, byłe i aktualne stanowiska,

wszystkie rozwody i w ogóle cały behavior. Wymuszano by na mojej osobie emigrację do Niemiec albo jakichś innych Dardaneli, a z całą pewnością potępiony byłbym za obrazę polskiego społeczeństwa i katolickiej Ojczyzny. Z martwych wstałaby cała nadwiślańska uroda wszetecznej tęsknoty za szafotem.

Odwaga cywilna jest dziś również rzadka jak szarotki w Tatrach. Poziom załgania jest u nas wprost proporcjonalny do zależności partyjnych, korporacyjnych i instytucjonalnych. A także powiązań korupcyjnych. W Kościele jest luksusem, od kiedy katolicyzm stał się wiarą urzędową. A więc od wczesnego średniowiecza. Stąd wszystkie jego schizmy. Mimo to zdarzali się odważni księża. Nie tak dawno żyło pomiędzy nami dwóch, których stać było na odwagę głoszenia swoich przekonań. Pochodzili z tych samych stron i nazywali się Józef Tischner i Stanisław Musiał. Postawa moralna wobec prawdy była miarą ich wiary w Chrystusa. Byli apostołami. Wywodzili się z chłopskiej, małopolskiej biedy i nigdy się od niej nie odcinali. Stała się ich duszpasterską cnotą, bo pojmowali kapłaństwo jako służenie ludziom, z których się wywiedli. Dlatego tyle gorzkich słów padło z ich ust pod adresem współczesnego Kościoła: jego bombastycznego monumentalizmu, tryumfalizmu i pychy. A także łapczywości kleru na dobra doczesne.

Mikołaj Kopernik dopiero w 1543 roku wydał w Norymberdze swoje „De revolutionibus orbium coelestium”. Kiedy wiedział, że schodzi z tego świata. Ksiądz Stanisław Musiał już nie żyje i jego wola może być realizowana. Miejmy nadzieję, że jeszcze w tym roku nasze dłonie dotkną obwoluty ostatniej książki ubogiego jezuitę z Krakowa. ■

www.przekroj.pl/kutz



Odwagi.



D70

www.nikon.pl

Lustrzanka cyfrowa D70 to połączenie najlepszych cech lustrzanek i aparatów cyfrowych. To 6,1 megapikseli, szybkość aparatu analogowego, wymienna optyka, płynna, intuicyjna obsługa, łatwe menu i czytelny wyświetlacz podający ustawienia ekspozycji. Trzeba mieć odwagę, żeby zgłębić sens obrazu. Trzeba mieć Nikona.

Model D70 jest dostępny wyłącznie w kolorze czarnym.



At the heart of the image

TATO, CZY JAK WEIDZIEMY DO UNII, TO NA FLADZE BĘDZIE WIĘCEJ GWIAZDEK?

NIE WIEM, SYNU.

WILHELM SASNAL

